tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 21 (1220)
22-28.05.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. PIOTR KIMLA
TEFLONOWOŚĆ PiS

MAŁGORZATA ŻUBER-ZIELICZ
SENIORZY – NIEDOCENIANY ELEKTORAT

TAJEMNICE KONTRAKTÓW NA ŚWIATŁOWODY

CELEBRYCI ROZPIJAJĄ POLAKÓW

# ZABÓJCZE SMS-y

## KARAĆ BEZMYŚLNYCH KIEROWCÓW

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
21 >
9 771509 311300

# MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

**UKRAINA – GOŚĆ HONOROWY**

**25-28 maja,** PKiN i plac Defilad

- Blisko tysiąc autorów i wydawców z Polski i świata
- Wśród gości: prof. Jerzy Bralczyk, Andrzej Sapkowski, Zyta Rudzka, Joanna Bator, Łukasz Orbitowski, Radek Rak, Wit Szostak, Magdalena Kordel, Yrsa Sigurdardóttir, Wojciech Chmielarz, Anna Kańtoch, Maciej Siembieda, Roy Jacobsen i Anneliese Pitz, Won-Pyung Sohn, Li Ang, Maciej Wojtyszko, Adam Wajrak, Justyna Suchecka, Janina Bąk
- Miliony Mostów - program literacki Ukrainy
- Festiwale: Kryminalna i Komiksowa Warszawa
- Program dla dzieci

**targiksiazkiwarszawa.pl**

## WSTĘP BEZPŁATNY

Organizator

Gość Honorowy

Patronat honorowy

Patronat honorowy

Wydarzenia towarzyszące

Patronat medialny

eprasa.pl 674c1a68f

Jerzy Domański

# Głupki z komórką przy uchu

Gdy dookoła widzimy coraz więcej podziałów, wydaje się, że nic już nas z wieloma grupami nie łączy. A jednak jest coś takiego jak znak firmowy Polaka. I nie myślę tu o biało-czerwonej, orle ani nawet o przyśpiewce „Polacy, nic się nie stało". To, co nas łączy, widzi codziennie każdy kierowca. Przez całą dobę. Młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni. Wykształceni i ci, co do szkoły mieli pod górkę. Mieszkańcy stolicy i małej wioski. Jadą z komórką przy uchu. Rozmawiają, wystukują SMS-y. Podejmują jakieś decyzje, coś kupują, sprzedają, flirtują, dyscyplinują dzieci. Nie ma takiej sprawy, której by Polak nie załatwił przez telefon. Wszystko w czasie jazdy. O tragicznych efektach tej głupoty pisze w tym numerze Kornel Wawrzyniak. Ilu ludzi zabili tacy kierowcy? Ile ofiar trafiło do szpitali? Jak wielkie są straty materialne z powodu tego masowego szaleństwa? Wiem, że oburzą się osoby, które nigdy nie używały telefonu w czasie jazdy. Ale to, co piszę, jest także w ich interesie. Ofiarami bezmyślnych kierowców, którym brakuje wyobraźni, są przecież niewinni ludzie. Za policyjnym komunikatem, że jakiś samochód zjechał ze swojego pasa i doprowadził do wypadku, bardzo często kryje się drogowy terrorysta. Co czwarty wypadek jest z ich winy. To znaczy, że nie ma godziny bez spowodowanego przez nich nieszczęścia. Ilu ludziom zafundowali dożywocie na wózku? Ile jest tragedii rodzin? Są wyroki sądowe, ale zaostrzenie kar nie pomogło. Te kary ciągle są zbyt niskie. Przestępca drogowy musi wiedzieć, że wisi nad nim taka kara, żeby chociaż ze strachu odłożył telefon.

Piszę to jako kierowca, który prawie codziennie widzi lekceważenie przepisów. Każda podróż to nerwy i ekstremalne emocje. Czy ciągle musimy być bezradni wobec chamów obojga płci i w każdym wieku, którzy łamią elementarne zasady ruchu drogowego? Łamią, bo ciągle mogą. Trzeba więc takich rozwiązań, które sprawią, że głupek z komórką przy uchu będzie sensacją, a nie codziennością.

## POMOŻECIE?

Któż nie lubi maja? Świat zielenieje, majowe zapachy pobudzają zmysły i wpływają na nastroje. U nas też przybywa optymizmu. Będą kolejne numery tygodnika. Ponad 500 osób przekazało nam darowiznę. Wielu Czytelników zapowiedziało comiesięczne wpłaty. To dla nas bardzo ważne. Każda stała, nawet symboliczna darowizna pozwala nam lepiej zaplanować tegoroczne wydania. Wasza postawa nas mobilizuje. I zobowiązuje do jak najlepszego redagowania PRZEGLĄDU. Zgodnie z zapowiedzią telefonuję do tych darczyńców, którzy podali numery. Nikogo nie zostawię bez rozmowy. Bardzo dziękuję za życzliwość i proszę o wpłaty na konto:

**Fundacja Oratio Recta**
**Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821**
**z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU"**

BĄKOWSKI

Bądź z nami na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie
25-28 maja 2023 r.
(czwartek-niedziela)
PRZEGLĄD serdecznie zaprasza na nasze stoisko nr 12/G w namiocie G przed PKiN
Czekamy z nową książką i rabatami targowymi!
Spotkaj się z naszymi autorami
Wstęp wolny
Więcej informacji na s. 11



eprasa.pl 674cf1a68f

# W NUMERZE


**KRAJ**
8 **SMS-y śmierci**
Przez komórki giną ludzie
13 **Upijanie Polaków**
Reklamy alkoholu hulają w sieci
16 **W cieniu stalkera**
Bezsilność ofiar
18 **Tajemnice budowy sieci światłowodowych**
Dotacje dla wybranych
22 **Student traci, UAM się bogaci**
Poznański akademik pod młotek

**ZAGRANICA**
26 **Skąd pożyczyć na życie**
Kredyty studenckie w USA
30 **Hiszpania walczy z suszą**
Wszystko przez turystów?

**OPINIE**
32 **Małgorzata Żuber-Zielicz**
Seniorzy – niedoceniony elektorat
34 **Piotr Kimla**
Teflonowość PiS
36 **August Grabski**
Zachar Prilepin
– pisarz uwikłany w politykę

**HISTORIA**
40 **Geniusz z pogranicza**
Polsko-niemiecki świat Kopernika

**KULTURA**
43 **Qulturalia**
44 **Cena sztuki**
– rozmowa z Andrzejem Miękusem
66 **Artur Nacht-Samborski. Akty**

**PSYCHOLOGIA**
48 **Jak być dobrymi rodzicami**
– rozmowa z Joanną Flis

**ZDROWIE**
52 **Seks w epoce zmian**
– rozmowa z dr. n. med. Andrzejem Depką

**OBSERWACJE**
55 **Begonia z gruntu dobra**
Przed latem w ogrodzie

**ZWIERZĘTA**
58 **Łoś – rezydent mokradeł**
Powrót na biebrzańskie bagna

**FELIETONY I KOMENTARZE**
3 **Jerzy Domański**
Głupki z komórką przy uchu
21 **Jan Widacki**
Bardzo dobra zmiana
25 **Roman Kurkiewicz**
Strażacy, pielęgniarki, szewcy, politycy i influencerzy
29 **Andrzej Romanowski**
Lęk przed Rosją
39 **Tomasz Jastrun**
Dożywocie
51 **Wojciech Kuczok**
Jednostka chorobliwa


48
PSYCHOLOGIA

## JAK BYĆ DOBRYMI RODZICAMI
– rozmowa z Joanną Flis

55
OBSERWACJE

## BEGONIA Z GRUNTU DOBRA
Przed latem w ogrodzie

58
ZWIERZĘTA

## ŁOŚ – REZYDENT MOKRADEŁ
Powrót na biebrzańskie bagna

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK (4)

eprasa.pl 674cf1a68f

# 80-LECIE KOŚCIUSZKOWCÓW

W ramach obchodów 80. rocznicy utworzenia 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki 18 maja złożono wieńce pod pomnikiem Kościuszkowców na warszawskiej Pradze. W uroczystości, zorganizowanej przez Stowarzyszenie Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców, wzięli udział m.in. przedstawiciele jednostek wojskowych i szkół, kultywujących tradycje 1. DP, władze Pragi Północ, Legionowa i stowarzyszeń kombatanckich.

W czasie uroczystości prezes Zarządu SORK gen. dyw. Piotr Czerwiński przypomniał historię powstania 1. DP oraz rolę i znaczenie wszystkich żołnierzy, którzy szli od wschodu. Niestety, po raz kolejny zabrakło reprezentantów Ministerstwa Obrony Narodowej oraz Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, co kompromituje te instytucje i kierujących nimi urzędników państwowych. Kto nie szanuje przelanej polskiej krwi, ten nie zasługuje na pensje z podatków Polaków.

1. Wśród zebranych pod pomnikiem był 99-letni kpt. Jerzy Henkel, który przeszedł cały szlak bojowy 1. DP, od Lenino aż do Berlina. Obok prezes SORK gen. Piotr Czerwiński.

2. Wieniec od tygodnika „Przegląd" złożyli: Paweł Dybicz, Robert Walenciak i Joanna Biegalska.

FOT. JACEK ŁAGOWSKI (3)



eprasa.pl 674cf1a68f

**Po 2015 r.** zrobiono w Wojsku Polskim czystkę. Wyrzucono lub zmuszono do odejścia tych, którzy mieli wiedzę. **Zwolniono prawie 20 generałów, ponad 300 pułkowników i kilkuset podpułkowników.** To, co teraz się dzieje, jest pokłosiem tych czystek.

•

**Polska,** jak nikt na świecie, **ma czołgi wielu marek:** amerykańskie, niemieckie i koreańskie K2. Nie da się tego przełożyć na sprawny system logistyczny i obsługowo-remontowy.

•

**Prawie 75% Polaków popiera zakaz korzystania z mediów społecznościowych** przez nieletnich (28% chce zakazu do 13. roku życia, 23% do lat 15, a 13% do lat 18) – badania UCE Research.

•

**Na inflację narzekają wszyscy, ale nie banki.** Te w pierwszym kwartale miały najwyższe zyski w swojej historii. Rekordziści to: PKO BP (1454 mln zł netto), Pekao SA (1446 mln zł), Santander BP (1192 mln zł), ING (909 mln zł), Bank Handlowy (604 mln zł) i BNP Paribas (488 mln zł).

•

Dziennikarze „Rzeczpospolitej" **Tomasz Krzyżak i Piotr Litka** ustalili że w latach 1944-1989 co najmniej **1,1 tys. małoletnich zostało wykorzystanych seksualnie przez ok. 300 duchownych i świeckich pracujących w Kościele.** Skala przestępstw jest o wiele większa, bo tylko niewielki procent takich spraw zostaje zgłoszony.

•

Do **rządu Morawieckiego** biorą już jak leci. Wystarczy chęć szczera i można dołączyć do ponad setki ministrów i wiceministrów. Posadę wiceministra dostała nawet **Jadwiga Emilewicz.** Kiedyś kabaretowa wicepremier z poręki Gowina, teraz zajmie się współpracą z Ukrainą. Polskim przedsiębiorcom z góry współczujemy.

•

Flagowy program mieszkaniowy PiS został zamknięty, bo okazał się całkowitą klapą. **Miał być 1 mln mieszkań do 2023 r., a w ciągu siedmiu lat wybudowano 19,8 tys.** W budowie jest jeszcze 32,4 tys. Więcej nie będzie. Za ten propagandowy pic nawet nikt nie przeprosił.

•

**Wsiewołod Kniaziew, przewodniczący Sądu Najwyższego Ukrainy,** został przyłapany na przyjęciu 3 mln dol. łapówki. Podobne zarzuty ma kilkunastu innych sędziów.

•

O 6,1%, licząc rok do roku, spadła w marcu sprzedaż detaliczna. Polacy mocno trzymają się za kieszeń.

•

**Zofia Kucówna,** wybitna aktorka teatralna i filmowa, świętowała **90. urodziny** w Domu Artystów Weteranów w Skolimowie.

•

Na terenie **Krakowa** od 1 lipca obowiązuje **zakaz sprzedaży alkoholu** w sklepach i na stacjach benzynowych między północą a godz. 5.30. Za uchwałą przygotowaną przez prezydenta miasta głosowało 32 radnych, a pięciu wstrzymało się od głosu.

•

Najpopularniejszymi slangowymi słowami w Polsce są **hajs, ściema i masakra.** 92% Polaków przyznaje się do posługiwania się slangiem (badania e-platformy Preply).

# PRZEBŁYSKI

## Ocieranie się o wyspę

Choć u wielu papież Polak traci, ciągle więcej jest takich, którzy robią, co mogą, by się do niego przytulić. Bywa i tak, że są to zabawne zabiegi. Jak na wyspie Rybaki, jednej z pięciu wysp na jeziorze Lubie w Zachodniopomorskiem. Jacyś gorliwcy postawili tam w otoczeniu drzew krzyż i marmurową tablicę. Z intrygującym napisem: „VII wieków Gudowa. 100. rocznica urodzin św. Jana Pawła II, który kajakiem ocierał się o wyspę Rybaki w 1955, 1967, 1976 r. A.D. 2020".

Aż żal, że papież skończył na ocieraniu się o wyspę. I oczywiście nie ma w tym żadnej aluzji erotycznej.

## Biedroniowi zaszkodziła Finlandia

Jak ten czas galopuje. Już dwa miesiące minęły od triumfalnej wypowiedzi Roberta Biedronia, że załatwił Polkom legalną i darmową aborcję w Finlandii. Załatwił. Ale tak, że Finowie o tym nie wiedzą. Wszystko udało mu się przeprowadzić w czasie niespełna 10-minutowej rozmowy z Sanną Marin, ówczesną premier Finlandii. Tej rozmowy, którą Kancelaria Premiera Finlandii nazwała grzecznościową. I absolutnie bez żadnych obietnic. Cały Biedroń. Prawdomówność to nie jest jego drugie imię.

## A Ratajczakowi Biedroń

Oj, dolo, moja dolo, można by zaśpiewać Jakubowi Ratajczakowi, asystentowi Roberta Biedronia, gdy znowu musi tłumaczyć wyskoki szefa. „Plus dodatni" z tego ściemniania ma Ratajczak taki, że plecie już prawie jak jakiś poseł. Nie wierzycie? To posłuchajcie, jak tłumaczył wpadkę Biedronia w Finlandii: „Był to raczej gest solidarności (ze strony Sanny Marin). Nie doszło do porozumienia, a ostatecznie i tak było za wcześnie, by o tym mówić. Ustaliliśmy jedynie, że dyskusje na ten temat będą kontynuowane".

## Krawczuk dał, Cywińska zabrała

Jeszcze jeden przykład, jak bardzo prawdziwa historia Polski różni się od propagandy IPN. Legendarny reżyser Jerzy Hoffman wspomina w „Polityce", jak to było z kręceniem „Ogniem i mieczem". Dotację na film przyznał mu prof. Aleksander Krawczuk, minister kultury w PRL. Wywalczył ten temat w ramach likwidacji białych plam w stosunkach między Polską a ZSRR. Niestety, wsparcie cofnęła Izabella Cywińska, pierwsza minister kultury z Solidarności. Bo Hoffman nie był z jej obozu. I później przez dziewięć lat musiał szukać środków na ten film.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, YOUTUBE (2)

eprasa.pl 674cf1a68f

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

# PYTANIE TYGODNIA | Na czym polega magia grilla?

**MACIEJ NOWAK,**
*krytyk kulinarny*

Wiem, że grill to wielka namiętność moich rodaków, ale – co zrobić – mnie jakoś nie zachwyca. Nie kręcą mnie mięsa rzucone na ruszt, z których tłuszcz spływa na rozżarzone węgle, tworząc opary czegoś, co biochemicy poetycko nazywają wielopierścieniowymi węglowodorami aromatycznymi, a co stanowi skuteczną substancję rakotwórczą. I nie żebym stał się wzorem człowieka dbającego o zdrowy styl życia! Problem w czym innym. Otóż słabo znoszę „mężczyźniany" styl bycia, a grill polski jest dla mnie właśnie jego wyrazem. Grill to zawsze gotowanie rodzaju męskiego, zawsze wbrew letnim okolicznościom natury. Człowiek chce celebrować czas miłej kanikuły, dobrą pogodę i letnią beztroskę, a tu pojawiają się tematy brutalne, dymiące i brudzące. I jeszcze w atmosferze oczekiwań na komplementy, bo przecież wrażliwe męskie ego żywemu nie przepuści bez odpowiedniej ilości hołdów dla kulinarnego fallocentryzmu. Być może zbawieniem dla tego stylu kucharzenia byłoby wyzwolenie go spod władzy facetów?

**HENRYK MARTENKA,**
*publicysta, tygodnik „Angora"*

Magii w grillowaniu nie widzę żadnej, bo trudno ją dostrzec w nieumiarkowanym pochłanianiu marynowanych mięs, kiełbas czy pieczonej kaszanki i obfitym zapijaniu tłuszczu alkoholem. Pieczenie na patyku czy rożnie jest plebejską tradycją, stosowaną dużo wcześniej, nim Amerykanie – podpatrzywszy to u Indian – wykreowali globalną modę na grilla, tworząc atrakcyjny element stylu życia, przeniesiony z czasem przez hollywoodzkie kino do kultury masowej. Widzę też we współczesnym grillowaniu czytelny atawizm. Jakąś tęsknotę do gromadnego przesiadywania nad rozpalonym, dymiącym ogniem; przeczuwam podświadome pragnienie plemiennej wspólnoty i potrzebnego wszystkim poczucia bezpieczeństwa. Dziś grillowanie to rytualna, choć mało ambitna rozrywka, prześna i demokratyczna, do tego akceptowana nawet przez wegan. Więcej nie napiszę, bo wiatr niesie, że sąsiad zza płotu już mięso na ruszt kładzie…

**DR KATARZYNA GROWIEC,**
*psycholog społeczna, SWPS*

Atrakcyjność wspólnego grillowania odwołuje się prawdopodobnie do doświadczeń naszych odległych przodków. Gdy ludzie opanowali sztukę rozpalania i podtrzymywania ognia, zbierali się przy nim, aby przygotować jedzenie, ogrzać się i ochronić przed drapieżnikami. Najnowsze badania szacują, że stało się to ok. 800 tys. lat temu. Z tego czasu pochodzą najstarsze krzemienne narzędzia noszące ślady ognia. Gdy ludzie opanowali dodatkowo sztukę komunikowania się za pomocą języka, przy ogniu opowiadano historie. Ludzie skupieni wokół ognia tworzyli grupę, a w czasach prehistorycznych, aby przetrwać, trzeba było być jej częścią. Dzisiejsze grillowanie jest symbolicznym powrotem do tych prehistorycznych korzeni.

*Rozmawiał Kornel Wawrzyniak*



eprasa.pl 674cf1a68f

# SMS-y ŚMIERCI

## Przez komórki używane za kierownicą giną ludzie

Kornel Wawrzyniak

– Mamy zespół, nawet popularny w okolicy. Jechaliśmy niedawno zagrać koncert za miasto, jakieś półtorej godziny drogi. Kolega wsiadł za kółko zespołowego busa, wyciągnął komórkę i wsadził ją w uchwyt. Pomyślałem: OK, może facet potrzebuje nawigacji. Ku mojemu zdziwieniu Adam włączył YouTube'a i film, komentując przy tym, że ten akurat trwa tyle, ile będziemy jechać, więc rozrywka jak znalazł. Odparłem, że chyba go poj… – wspomina Karol, który na szczęście nie stał się jedną z ofiar wypadków drogowych spowodowanych używaniem komórek za kierownicą. Badania wskazują, że smartfony odpowiadają już za 25% wszystkich wypadków. Wiele takich zdarzeń ma skutek śmiertelny. We wrześniu ub.r. zaostrzono kary dla piratów drogowych. Uwzględniono również zmianę punktacji za rozmawianie przez telefon bez zestawu głośnomówiącego – z 5 pkt karnych do 12 pkt. Do tego 500 zł mandatu. Gdy jednak patrzy się na statystyki, nadal wydaje się to za mało w kontekście komórkowej patologii za kierownicą. Telefony za kółkiem powinny być po prostu zakazane, bo połączenie ludzkiej głupoty z technologią i rozpędzonym półtoratonowym pojazdem może skutkować czyjąś śmiercią.

### Dwie sekundy do zgonu

– Koleżanka z pracy wypadła z drogi na zakręcie. Pisała SMS-a, odłożyła telefon na siedzenie pasażera, ten spadł na podłogę, a ta kretynka schyliła się po niego, kiedy usłyszała dźwięk komunikatora. Była tak zajęta komórką, że w tym czasie nie było komu skręcić kierownicą – opowiada Barbara, która pracuje w korporacji i pokonuje służbowym samochodem kilkadziesiąt tysięcy kilometrów rocznie jako przedstawicielka handlowa. Oderwanie wzroku od drogi zaledwie na dwie sekundy podwaja prawdopodobieństwo uczestnictwa w wypadku. Rozmowa przez telefon przytknięty do ucha zwiększa to ryzyko nawet 10-krotnie. Pisanie SMS-a wydłuża czas reakcji kierowcy o 30%.

Warto przytoczyć wyrok Sądu Okręgowego w Kaliszu z maja ub.r. 22-latka została skazana za spowodowanie śmiertelnego wypadku na rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata (groziło jej osiem lat). W 2019 r. oskarżona zjechała na przeciwległy pas ruchu i zderzyła się z innym pojazdem. Kierowca samochodu jadącego z naprzeciwka zginął na miejscu. Tuż przed zdarzeniem kobieta miała kichnąć i stracić w ten sposób panowanie nad samochodem. Przy kichaniu ludzie najczęściej zamykają oczy, można śmiało założyć, że ten odruch bezwarunkowy trwa około dwóch sekund. W tym krótkim czasie samochód jadący z prędkością 50 km/godz. przejeżdża 28 m. To dokładnie tyle, ile trwa droga hamowania z tej prędkości do pełnego zatrzymania. Taka drobnostka jak kichnięcie zamienia się za kółkiem

**Co czwarty wypadek drogowy jest spowodowany używaniem telefonu komórkowego podczas jazdy.**



eprasa.pl 674cf1a68f

w poważne zagrożenie dla uczestników ruchu drogowego.

Teraz przyjrzyjmy się SMS-om. Badania Virginia Tech Transportation Institute wykazały, że pisanie i czytanie wiadomości w samochodzie zwiększa ryzyko wypadku o 23%. Przeglądanie SMS-ów angażuje skupienie kierowcy średnio na 4,6 sekundy. Auto rozpędzone do 50 km/godz. przejedzie w tym czasie aż 70 m bez żadnej kontroli! Zauważmy też, że wiadomości mają różny ładunek emocjonalny. Gdy pisze szef albo bliska osoba, możemy przeczytać wiadomość kilka razy lub zupełnie się rozkojarzyć.

Nawet rozmawianie przez zestaw głośnomówiący jest niewskazane. Według specjalistów od bezpieczeństwa ruchu drogowego rozmowa telefoniczna obniża zdolność skupienia kierowcy na drodze. Po pierwsze, aby zadzwonić, musimy spojrzeć w ekran czy to komórki, czy samochodowy, odrywając wzrok od drogi. Po drugie, stajemy się rozproszeni – przenosimy większość uwagi na narząd słuchu, co wpływa na spowolnienie reakcji za kółkiem. Po trzecie, kierowca skupiony na rozmowie przestaje wyłapywać potencjalne zagrożenia. – Jeśli podczas jazdy rozmawiamy przez telefon, nasz czas reakcji na zdarzenia drogowe jest opóźniony. Taki kierowca reaguje wolniej niż ten, który ma we krwi 0,8 promila alkoholu. Skoncentrowani na rozmowie, widzimy sytuacje drogowe wyrywkowo, bez związku przyczynowo-skutkowego. Przez to nasza reakcja może być nieadekwatna do sytuacji. Gdy rozmawiamy przez telefon, jesteśmy skłonni do podejmowania większego ryzyka – twierdzi Radosław Jaskulski, instruktor Škoda Auto Szkoły.

Wróćmy do naszych przedstawicielek handlowych. Według statystyk zebranych przez firmy ubezpieczeniowe prawie co czwarty kierowca w Warszawie spowodował wypadek samochodowy, a statystyczny warszawski szkodowy kierowca ma 37 lat i jeździ oplem astrą. Dlaczego o tym wspominam? Bo astry są od ponad dekady jednym z najczęstszych wyborów przy zakupach flotowych oprócz samochodów Škody. Średnik wiek mężczyzny pracującego jako przedstawiciel handlowy wynosi zaś… 37 lat. Dodajmy do tego typowy dla handlowców agresywny styl jazdy, tzw. ciśnij, ile fabryka dała, bo nie ty płacisz za paliwo, i wiemy, skąd się wzięły takie statystyki w stolicy. O komórkach nawet nie ma co wspominać, bo od lat 90. przedstawiciele firm są z nimi zrośnięci. Korporacje zafundowały więc nam na drodze swoistych terrorystów, którzy zawsze i wszędzie się śpieszą, a na dodatek „pracują" w samochodzie, czyli ciągle dzwonią i piszą, zamiast patrzeć na drogę.

**Za rozmawianie przez telefon bez zestawu głośnomówiącego grozi 12 pkt karnych i 500 zł mandatu. Patrząc na statystyki wypadków, to za mało.**

## Influencerzy źródłem patologii

W połowie lutego br. polska streamerka o pseudonimie Sidneuke nadawała na żywo podczas jazdy samochodem. Kobieta skomentowała, że przy drodze kręci się sporo psów, po czym sięgnęła po telefon komórkowy. Sekundę później, gdy czytała zawartość ekranu, rozjechała zwierzę. Oczywiście internetowa gwiazdeczka nawet się nie zatrzymała i nie przyznała do błędu. Na nagraniu rzuca przekleństwami i złorzeczy właścicielom, że zostawili zwierzę bez opieki. „Jeżeli ktoś wypuszcza psy... Te psy są non stop na ulicy. Od razu mówię, że nie powinny psy być na wolności. I jest to złe. I niezgodne z prawem. Nie możecie zostawiać psów bez opieki k…", podkreśla gniewnie kobieta, nie chcąc zauważyć, że również niezgodne z prawem jest prowadzenie z telefonem w ręku. Wideo z tego zdarzenia wywołało w sieci burzę. Budujące jest to, że internauci wezwali do działania policję.

Aktywistka Maja Staśko zauważyła wtedy, że nagrywanie podczas jazdy ma przyzwolenie społeczne. Mniejsze i większe internetowe gwiazdki nagrywają za kierownicą relacje do swoich mediów społecznościowych. Mówią do wiszącego na szybie telefonu, zamiast patrzeć na drogę. Staśko

FOT. SHUTTERSTOCK (3)



eprasa.pl 674cf1a68f

wskazała bardzo istotną rzecz – ludzie dosłownie sami na siebie dostarczają dowodów. Tymczasem platformy społecznościowe i policja niewiele z tym robią. Internautom takie zachowanie też zdaje się nie przeszkadzać. Według badań „Dajemy Ci wolną rękę" przeprowadzonych przez Millward Brown prawie 60% Polaków przyznaje, że korzysta w trakcie jazdy z komórki. Do tego co piąty taki kierowca uważa, że nie jest to żadnym problemem. Równocześnie 97% pytanych kierowców wiedziało, że za rozmowę przez telefon grozi mandat. Ponad jedna czwarta badanych przyznała się, że czyta wiadomości SMS podczas jazdy, a 18% pisze za kółkiem wiadomości.

Nie ma jednak co się dziwić, skoro przykład idzie z góry. Nagrania live zza kółka to prawdziwa plaga bezmyślności. Gwiazdeczki z Instagrama udowadniają, że żart o znajdowaniu prawa jazdy w paczce czipsów nie wziął się znikąd. Głośnym echem odbiło się nagranie pogodynki TVN Doroty Gardias. Kobieta ma na Instagramie 232 tys. obserwujących. Właśnie tam zamieściła swój filmik, który miał reklamować jeden z salonów samochodowych, a nagrywała tę relację, trzymając komórkę w ręku. Jechała 80 km/godz. Jej kilkuletnia córka siedziała obok na przednim siedzeniu, trzymając nogi na desce rozdzielczej, i nie miała zapiętych pasów. Po fali krytyki Gardias opublikowała oświadczenie. „Dziękuję za wszystkie natychmiastowe rady i słowa przestrogi moich fanów. Wysłuchałam wszystkich słów krytyki, już na pierwszy telefon zareagowałam błyskawicznie", podkreśliła pogodynka. Problem polega na tym, że jako osoba posiadająca prawo jazdy Gardias po prostu powinna znać przepisy dotyczące poruszania się samochodem. Nie można tego nazwać inaczej jak skrajną głupotą.

Równie kretyńsko zachowała się Małgorzata Ohme, która oczywiście też nagrywała relację podczas jazdy, i to z psem na kolanach. Posypywanie głowy popiołem przybrało tutaj ten sam ton: „Bardzo Wam dziękuję za wszystkie komentarze i wasze uwagi. Rzeczywiście moje zachowanie było absolutnie niebezpieczne. Nie zdawałam sobie z tego sprawy", pisała Ohme, właściwie przyznając się do tego, że w ogóle nie powinna mieć prawa jazdy, skoro brakuje jej podstawowej wiedzy o prowadzeniu pojazdu. A to tylko dwa przykłady z wielu, jakie można znaleźć w internecie.

## Głupota smartrozwiązań

Współczesne samochody od lat projektowane są jako przedłużenie komórki. Dekadę temu, kiedy okazało się, że producenci smartfonów mają lepsze aplikacje nawigacji niż producenci samochodów, popularne stały się uchwyty na telefon, które przytwierdza się do przedniej szyby lub kokpitu. Głównym zagrożeniem wynikającym z tego rozwiązania było ograniczenie pola widzenia kierowcy i stała ekspozycja na treści pojawiające się na ekranie smartfona.

**Pisanie i czytanie SMS-ów w samochodzie zwiększa ryzyko wypadku o 23%.**

Dziś coraz popularniejsze w nowych samochodach są systemy Apple Car Play oraz Android Auto. W telegraficznym skrócie: komórki łączą się z wyświetlaczem w samochodzie i można korzystać z większości funkcji smartfona, takich jak GPS (często lepszy niż fabryczny sprzedawany z autem), aplikacje do słuchania muzyki itd. Takie systemy miały zwiększyć bezpieczeństwo użytkowników, bo ci mieli przestać sięgać po komórki w trakcie jazdy, a np. piosenki przełączać guzikami na kierownicy. Koncernom motoryzacyjnym nie do końca to się udało. Niezależnie od tego, jak mądre rozwiązania wymyśliliby inżynierowie, potrzeba jeszcze dobrej woli i zdrowego rozsądku użytkowników. Dlatego korzystanie z powyższych systemów łączności niespecjalnie wpłynęło na poprawę bezpieczeństwa.

Samochodowe wersje komórkowych aplikacji działają w ograniczonym zakresie, aby nie bawić się nimi podczas jazdy. Efekt jest paradoksalny – użytkownik, który np. chce szybko zmienić trasę w GPS, i tak sięgnie po komórkę, bo łatwiej wpisać nowy adres z poziomu telefonu niż ekranu systemu samochodowego. Zresztą, czy zdecyduje się na jedno urządzenie, czy na drugie, przez dłuższy czas nie będzie patrzył na drogę.

Podobnie jest z muzyką. Dzięki łączności z telefonem użytkownik zyskuje dostęp do aplikacji streamingowych. Mają one tę przewagę nad odtwarzaczem płyt CD, do którego wkładało się jedną płytę i przełączało utwory o jeden do przodu lub do tyłu, że oferują niezliczone możliwości wyboru: wykonawcy, płyty, całej listy piosenek. Ale czy naprawdę użytkownicy potrzebują podczas jazdy widocznej na desce rozdzielczej okładki słuchanego albumu? To wszystko dużo bardziej absorbuje kierowcę niż starsze systemy audio.

Hitem jest zaś odbieranie SMS-ów i odpisywanie na nie. Nie dość, że system może przeczytać wiadomość na głos, to jeszcze można podyktować mu odpowiedź. Problem? W Polsce działa jedynie odpisywanie po angielsku i z tego powodu system nie jest w stanie przeczytać nam żadnej wiadomości napisanej w ojczystym języku. Najczęściej skutkuje to sięgnięciem po telefon. – Kiedy pracujesz cały dzień za kółkiem, a coraz więcej osób pisze, zamiast dzwonić, gdy tylko widzisz powiadomienie, od razu sięgasz po komórkę, bo przecież musisz sprawdzić, co jeszcze masz dzisiaj do zrobienia – tłumaczy Marek, który prowadzi jednoosobową działalność gospodarczą. Co gorsza, użytkownicy zazwyczaj muszą się schylić po telefon, bo skoro wszystko wyświetla się na ekranie, to nikt nie używa uchwytu przyczepianego do szyby. Wtedy wzrok kierowcy wędruje poniżej linii maski w poszukiwaniu komórki. Bombardujące użytkownika powiadomienia nie pomagają w zwiększeniu bezpieczeństwa.

Problem ze współczesnymi systemami pogłębiają niektóre marki samochodowe, które w imię bezpieczeństwa wyłączyły obsługę dotykową ekranu podczas jazdy, pozostawiając możliwość sterowania całym systemem za pomocą kontrolera znajdującego się między



eprasa.pl 674cf1a68f

# PRZEGLĄD na Międzynarodowych Targach Książki

25-28 maja 2023 r. **stoisko nr 12/G w namiocie G**
Pałac Kultury i Nauki oraz plac Defilad w Warszawie

## Zapraszamy po dedykacje i książki w promocyjnych cenach!

### Spotkaj się z naszymi autorami:

**czwartek, 25 maja**

- godz. 16.00-17.00 – **Paweł Dybicz**, pakiet „Zakłamana historia powstania"
- godz. 17.00-18.00 – **Piotr Ciszewski**, „Dąbrowszczacy"

**piątek, 26 maja**

- godz. 14.00-15.00 – **Robert Walenciak**, „Modzelewski. Buntownik"
- godz. 16.00-17.00 – **Tomasz Turowski**, „Chichot hieny" **PREMIERA!**

**sobota, 27 maja**

- godz. 12.00-13.00 – **Robert Walenciak**, „Gambit Jaruzelskiego"
- godz. 14.00-15.00 – **Jerzy Domański**, tygodnik „Przegląd"
- godz. 16.00-17.00 – **Ewa Nowakowska**, „Cierń szansy"
- godz. 17.00-18.00 – **Tomasz Turowski**, pakiet „Zabij pożyczonym mieczem"

**Bądź z nami!** **Wstęp na targi jest bezpłatny**

**ŚWIAT U PROGU KATASTROFY, ALE JESZCZE NIE JEST ZA PÓŹNO**

Wywiady Rosji, USA i Chin w nowej książce Tomasza Turowskiego

**Pakiet 65 zł ~~76 zł~~**

**Drugi tom trylogii ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM – CHICHOT HIENY już w sprzedaży!**

37 zł

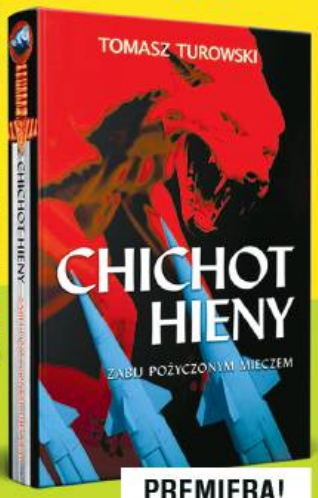


39 zł

**PREMIERA!**

Przegląd

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
**Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 674cf1a68f

fotelami. Sprawia to, że użytkownik odrywa jedną rękę od kierownicy. Jakby głupoty było mało, większość producentów w ogóle chce zamienić swoje samochody w smartfony i rezygnuje z fizycznych przycisków na desce rozdzielczej lub wprowadza zamiast guzików dotykowe panele na wzór tabletów. Rozwiązanie jest o tyle bezsensowne, że radio i klimatyzacja znajdują się na jednym ekranie jako osobne aplikacje, które trzeba między sobą przełączać, gapiąc się w ekran.

Do absurdu posunęła się w jednym ze swoich modeli firma Volkswagen, umieszczając w aucie dotykowe suwaki klimatyzacji. Użytkownicy narzekają, że nie da się zmienić temperatury bez oderwania wzroku od drogi. W tym samym modelu również na kierownicy zastosowano „dotyk" zamiast guzików, co parkujących doprowadza do szewskiej pasji, kiedy ogłuszą się radiem, włączywszy je zupełnym przypadkiem.

Producenci aut od lat wprowadzają gadżety, które niekoniecznie poprawiają bezpieczeństwo na drogach. Kierowcy skarżą się na nowoczesne lampy w technologii LED. Są one jaśniejsze, mają większy zasięg, a nawet automatycznie przełączają się ze świateł drogowych na światła mijania. Pozornie wszystko wygląda świetnie. Gorzej, gdy taki samochód nas mija. W 2018 r. brytyjski Automobilklub Królewski (RAC) przedstawił badania, z których wynikało, że aż dwie trzecie kierowców narzeka na regularne oślepianie przez innych uczestników ruchu. Automat często „nie widzi" nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu i nie przełącza świateł. Wystarczy mieć na swojej drodze wysepkę drogową lub zjeżdżać ze wzniesienia i maszyna głupieje.

Niezależnie jednak od słuszności proponowanych przez współczesną motoryzację rozwiązań warto sobie przypomnieć, że jesteśmy bezsilni wobec głupoty kierowców. Każdy uczestnik ruchu widział idiotę, który mimo systemów głośnomówiących, obecnych w markach premium od kilkunastu lat, trzyma telefon przy uchu. Część takich kierowców korzysta z trybu głośnomówiącego w telefonie, czyli słucha rozmówców przez głośnik smartfona, ale nie jest to dla nich wystarczający powód, aby wypuścić aparat z ręki. Nie zrobią tego, nawet gdy podłączą telefon do zestawu głośnomówiącego w samochodzie i rozmówcę słychać przez głośniki znajdujące się w kabinie. A przecież sama angielska nazwa tej technologii, hands free, sugeruje, że nie trzeba wtedy trzymać niczego prócz kierownicy. Ktoś tu jednak takich szczytów techniki nie ogarnia. Cóż, głupoty nie da się zrozumieć. Dlatego należałoby ją po prostu tępić dotkliwymi karami, aż wypleni się takie zachowania.

Nawet rozmawianie przez zestaw głośnomówiący jest niewskazane. Gdy rozmawiamy przez telefon, jesteśmy skłonni do podejmowania większego ryzyka.

## Co z tym zrobić?

Polskie prawo od niedawna surowiej karze niesfornych kierowców, ale w kwestii komórek zwiększono jedynie liczbę przyznawanych punktów karnych. Ciekawostką jest to, że przy każdym poważnym wypadku drogowym policja sprawdza, czy uczestnicy zdarzenia nie korzystali z telefonów komórkowych. Przypomnijmy jeszcze, że w Polsce korzystanie z komórki za kierownicą kosztuje, prócz punktów, 500 zł mandatu. Tymczasem za granicą kary za używanie telefonu są dużo bardziej biją po kieszeni. W Estonii jest to 400 euro, w Hiszpanii zapłacimy nie mniej niż 200 euro, w Wielkiej Brytanii – od 200 funtów do nawet 2,5 tys. (jeśli sprawa trafi do sądu).

Kolejne kraje przede wszystkim przystosowują swoje prawo do możliwości, jakie oferują współczesne telefony, ale też inne smarturządzenia. Sąd okręgowy w Essen nałożył 100 euro grzywny na kierowcę, który w trakcie jazdy trzymał w ręku samochodowy kluczyk z wbudowanym wyświetlaczem (tzw. SmartKey). Uznano, że skoro urządzenie wyświetla dużo danych, to istnieje spore ryzyko, że kierowca może spowodować zagrożenie na drodze. Niemiecka drogówka podobnie traktuje np. terminale używane przez kurierów, dyktafony, smartzegarki, tablety czy przenośne odtwarzacze multimedialne. Prawo w Niemczech jest bardzo precyzyjne. Kiedy działa silnik samochodu, kierowca nie może odbierać telefonu, ustawiać nawigacji czy zmieniać muzyki, nawet jeśli stanął w korku.

Kontrowersyjne może się wydawać rozwiązanie z Cypru. Nie wolno tam jeść ani pić za kierownicą, ponieważ kierowca podczas jazdy musi zawsze trzymać obydwie ręce na kierownicy. Notabene w Polsce również istnieje przepis, który zakazuje jedzenia oraz palenia papierosów podczas prowadzenia pojazdu. Obowiązuje on jednak wyłącznie kierowców zawodowych. Kara także jest niewielka, bo wynosi 50 zł bez punktów karnych.

W Hiszpanii i we Francji prawo dotyczące komórek jest bardzo restrykcyjne. Nawet za korzystanie ze słuchawki bluetooth podczas jazdy kierowcy dostają mandaty. W Holandii, Grecji, Austrii czy na Białorusi można rozmawiać jedynie przez zestaw głośnomówiący zainstalowany w samochodzie. Irlandczycy grają zaś w zupełnie innej lidze – kara za przyłapanie kierowcy na wysyłaniu SMS-ów lub trzymaniu telefonu w ręku wynosi nawet 1 tys. euro.

Co możemy zrobić w Polsce? 500 zł to w świetle nowych przepisów za łamanie ograniczeń prędkości fraszka. Kierowców z komórką w ręku widać zaś na każdym kroku. Gdybyśmy chcieli jednak wykazać się obywatelską postawą i nagrać kogoś piszącego SMS-a za kierownicą, sami musimy sięgnąć po telefon. Niestety, zgłaszający wykroczenie zrobi dokładnie to samo, co zgłaszany. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem wydaje się zatem zaostrzenie przepisów prawa drogowego oraz skuteczność w jego egzekwowaniu. Warto pamiętać, że przez używanie komórki za kierownicą giną ludzie. Trzeba więc karać adekwatnie do czynu.

*Kornel Wawrzyniak*
**k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl**



eprasa.pl 674cf1a68f

# Upijanie Polaków

## Jeśli chodzi o reklamę alkoholu, internet jest strefą bezprawia

Jakub Dymek

Obudziłem się w Nowy Rok. Bez kaca – od kilku lat próbuję zacząć 1 stycznia wyjściem na rower. Zanim jednak zdążyłem się wygrzebać z łóżka i wciągnąć na plecy kurtkę kolarską, z ekranu telefonu zaatakowała mnie reklama zachęcająca do sięgnięcia po flaszkę. Sponsorowany post jednej z marek alkoholi – o ile pamięć nie zawodzi, zachodniej produkcji ginu ze średnio wyższej półki.

Uderzyła mnie bezczelność reklamy, którą algorytm postanowił podsunąć mi w Nowy Rok. Było przed godz. 10 rano, kiedy pewnie pół Polski jeszcze do końca nie wytrzeźwiało po hucznym sylwestrze. Ale nie powinienem się dziwić. Tak przecież właśnie działają mechanizmy reklamy behawioralnej i algorytmicznego targetowania stosowane przez platformy cyfrowe – reklama ma trafić wtedy, gdy potencjalny klient jest najbardziej skłonny w nią kliknąć. Ktoś pewnie skalkulował, że mężczyzna po trzydziestce mieszkający w dużym polskim mieście to dobry reklamowy target. Człowiek, który może chcieć się napić mocnego alkoholu jeszcze przed południem. I może zresztą, zachęcony reklamą, to zrobi?

Ale uderzyło mnie coś jeszcze. Najprawdopodobniej wszystko w tej reklamie było nielegalne. W Polsce nie można reklamować mocnych trunków, a tym bardziej nie można ich reklamować o godz. 10 rano w środkach masowego przekazu. Wciskanie zaś ludziom akcji promocyjnych wódki czy ginu w mediach społecznościowych nadal przechodzi tylko dzięki bezczynności wymiaru sprawiedliwości. Ktoś, kto zlecał tę reklamę, nie próbował zresztą niczego kamuflować – nazwa alkoholu i wizerunek butelki nie były ukryte za fasadą zaproszenia na koncert czy sponsoringu zawodów sportowych, ale podane wprost.

Z punktu widzenia prawa, etyki i zdrowia publicznego ta reklama była skandalem. A jednak trafiła do Polaków, a ja byłem pewnie jednym z bardzo wielu. Dlaczego jest to możliwe? I co wszechobecna nielegalna reklama alkoholu w sieci mówi nam o stanie polskiego państwa, społeczeństwa i wymiaru sprawiedliwości?

### Celebryci od procentów

Dziś Polaków rozpijają nie zaborca, okupant ani właściciel osiedlowej meliny, tylko celebryci, internet i wygody kapitalizmu. Na początku kwietnia były polityk Janusz Palikot i celebryta Kuba Wojewódzki usłyszeli zarzuty związane z podejrzeniem nielegalnego reklamowania alkoholi na profilach w mediach społecznościowych. Sprawę prowadzi warszawska prokuratura, a zawiadomienie złożył aktywista Jan Śpiewak. Nazwiska Wojewódzkiego i Palikota są znane, więc temat zrobił się nośny, ale to nie oni wymyślili w Polsce obchodzenie prawa. Przeciwnie, od początku III RP koncerny alkoholowe znajdowały skuteczne sposoby, by reklamować swoje produkty pomimo zakazu. Wszyscy pamiętają „łódkę Bols", prawda? Internet i nowe platformy cyfrowe wyniosły jednak problem na zupełnie nowy poziom.

Zacznijmy od podstaw. Reklama wysokoprocentowego alkoholu jest w Polsce nielegalna, a zapisy regulującej to ustawy wcale nie są skomplikowane. Nie można w Polsce reklamować alkoholi innych niż piwo, a i ten napitek tylko pod określonymi warunkami. Reklamy piwa nie powinny się kojarzyć z relaksem, wypoczynkiem, kierowaniem pojazdami czy sprawnością fizyczną. Zawarta w ustawie definicja reklamy też jest jasna: rozpowszechnianie znaków towarowych i nazw własnych alkoholi i ich popularyzowanie. – Sprawa jest prosta, jeśli jest logo marki albo alkohol jest pokazywany do kamery albo obiektywu, widać nazwę – to jest reklama. Upowszechnianie to upowszechnianie. I te same zasady dotyczą przestrzeni fizycznej, co i wirtualnej – tłumaczy dr Katarzyna Łukowska, zastępca dyrektora Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom.

Czyli jeśli mamy celebrytę, który pokazuje alkohol, prezentuje go swoim odbiorcom i opatruje wpis w internecie nazwą i hasłem promocyjnym

FOT. SHUTTERSTOCK



eprasa.pl 674cf1a68f

konkretnego alkoholu, to jest reklama? – dopytuję. – Tak, jest.

To, co dr Łukowska nazywa „sprawą oczywistą", w internecie wcale oczywiste nie jest. „Przez długi czas przyjmowano, że działania podejmowane w mediach społecznościowych nie stanowią zabronionej reklamy. (...) Zdarzają się próby argumentacji, że skoro ustawa nie odnosi się wprost do internetu, to nie ma do niego zastosowania, a (...) wieloletni konsensus rynkowy w praktyce pozwalał na reklamę alkoholu w social mediach. Dopiero niedawne orzecznictwo i stanowisko Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów mogą stanowić zapowiedź zmiany", czytamy na stronach kancelarii prawnej Sołtysiński Kawecki & Szlęzak. Prawnicy, jak to prawnicy – są zachowawczy w słowach. W praktyce ten „konsensus rynkowy" oznaczał powszechne reklamowanie mocnych alkoholi i angażowanie do tego celebrytów oraz idoli młodzieży: raperów, influencerek, piosenkarek i sportowców.

Mechanizm działa następująco. Marka produkująca alkohol – martini, gin, wódkę, whisky albo wino z bąbelkami – zleca kampanię z udziałem znanego influencera. Do celebryty lub jego agenta zwraca się agencja z propozycją zamieszczenia jakiejś treści, która odnosi się do alkoholu. To może być zdjęcie z kieliszkiem opatrzone właściwym hashtagiem, przeprowadzenie konkursu z nagrodami lub zaproszenie na imprezę czy publikacja filmiku, w którym pojawia się reklamowany trunek. Za taki wpis celebryta czy influencer zgarnia niemałą sumkę, ale i tak są to dla wielkiej firmy drobne kwoty w porównaniu z tym, ile musiałaby wydać na realizację całej kampanii reklamowej w tradycyjnych warunkach. To znaczy, gdyby ta kampania była w przypadku alkoholu legalna.

I w ten sposób obchodzi się zakaz: wszyscy są zadowoleni, prawo teoretycznie nienaruszone, platformy cyfrowe ani prokuratura nie widzą powodów do reagowania. Choć internet jest z nami od 30 lat, prawodawcy – mam tu na myśli polityków – mają tendencję do traktowania tego, co się dzieje w social mediach, jako dziedziny nowej, skomplikowanej lub niezwykle trudnej do uregulowania. To zabawne, bo dokładnie takie same argumenty suflują im cyfrowi lobbyści. „Nasz model działania jest tak skomplikowany, tak zglobalizowany, tak nowoczesny, że nie można objąć go ustawą", mówią. I tak się dzieje, sfera cyfrowa wymyka się regulacjom. Choć przecież spot reklamowy wódki wyemitowany na YouTubie czy Instagramie niczym się nie różni od spotu wódki wyemitowanego w telewizji – tylko że w przypadku tej drugiej (zazwyczaj) prawo jest respektowane, a nielegalne kampanie należą do rzadkości. W sieci – wręcz przeciwnie.

„Ambasadorami marki" lub „partnerami kampanii" zostali więc w ostatnich latach modelka Anja Rubik, influencerki modowe Jessica Mercedes i Maffashion, aktor Maciej Musiał, piosenkarka Brodka, raper Sokół. Wszyscy docierają do setek tysięcy, jeśli nie milionów osób. W sprawie niektórych toczy się już postępowanie. Pytam Katarzynę Łukowską o konkretne przypadki. – Pozwólmy, że zadecyduje prokuratura. Ale celebryci nie są ponad prawem.

„Ambasadorami marki" lub „partnerami kampanii" zostali modelka Anja Rubik, influencerki Jessica Mercedes i Maffashion, aktor Maciej Musiał, piosenkarka Brodka i raper Sokół.

## Przestępstwa nie było

Prokuratura i organy państwa reagują w tym roku bardziej zdecydowanie – pojawiają się kolejne zarzuty. Ale przez lata praktyką było umarzanie lub nienadawanie biegu nawet 90% spraw. Nie mamy dokładnych danych, ale dr Łukowska pisała na łamach Serwisu Informacyjnego Uzależnienia, że „z około setki spraw, w których złożyliśmy [jako Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom] zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, jedynie kilka trafiło do etapu postępowania sądowego". W uzasadnieniach umorzeń śledztwa czy w opiniach biegłych zdarzają się imponujące logiczne fikołki: internet nie jest przestrzenią publiczną, a łamanie prawa w zakresie nielegalnej reklamy alkoholu „narusza jedynie dobro abstrakcyjne". Działania wymiaru sprawiedliwości wydają się o tyle niezrozumiałe, że samo Ministerstwo Sprawiedliwości zgadza się, że reklamowanie alkoholu jest nielegalne i w internecie, i w przestrzeni offline. Tak przynajmniej wynika z odpowiedzi (na którą trzeba było czekać pół roku) na interpelację posłanki klubu Lewicy Pauliny Matysiak. Posłanka pytała w sierpniu 2022 r., czy nielegalna reklama alkoholu w sieci będzie ścigana i ile takich postępowań prowadzi prokuratura.

Branża alkoholowa, marketingowa oraz oczywiście sami influencerzy twierdzą, że nie ponoszą odpowiedzialności za negatywne skutki reklamowania alkoholu – winien jest ich zdaniem wyłącznie ten, kto go nadużywa. – Nie dziwi mnie, że tak mówią, bo leży to w ich interesie. Narracja przemysłu alkoholowego od lat przekonuje, że picie to nie problem systemowy, ale problem jednostki. Tym samym przenoszą odpowiedzialność za szkody wyrządzone przez konsumpcję alkoholu tylko na tego, kto nieodpowiedzialnie pije – mówi dr hab. Łukasz Wieczorek z Zakładu Badań nad Alkoholizmem i Toksykomaniami Instytutu Psychiatrii i Neurologii.

Indywidualizacja winy to typowa w świecie korporacji strategia radzenia sobie z problemami wizerunkowymi: za zanieczyszczenie środowiska odpowiada ten, kto nie korzysta z papierowych słomek; za niszczycielskie zmiany klimatu ci, którzy nie kupili elektrycznego samochodu itd. – Tylko że wbrew temu obrazkowi, który jest na rękę firmom produkującym i reklamującym alkohol, skutki konsumpcji alkoholu nie są jednostkowe – podkreśla dr Wieczorek. – To konsekwencje dla całego społeczeństwa: systemu ochrony zdrowia, wymiaru sprawiedliwości, systemu zabezpieczeń i świadczeń społecznych. Dla gospodarki, bo ktoś pije i w ogóle



eprasa.pl 674cf1a68f

nie pracuje, albo z powodu kaca nie przychodzi do pracy lub pracuje mniej wydajnie. Dla rodzin i bliskich, którzy żyją z kimś, kto nadużywa alkoholu albo z tego powodu odszedł od rodziny. Izby wytrzeźwień, ratowanie zatrutych i do nieprzytomności pijanych, spowodowane przez alkohol wypadki samochodowe, wydatki na więziennictwo i rekompensaty dla ofiar przestępstw popełnionych pod wpływem, szkody psychiczne dla ofiar przemocy – lista jest długa.

Szacunki OECD mówią, że koszty generowane przez spożycie alkoholu sięgają od 0,4% do 1,6% PKB. Polska jest gdzieś bliżej górnej granicy tych widełek. W 2020 r. Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych szacowała koszty związane ze spożyciem alkoholu w Polsce na niemal 31 mld zł (czyli ponad 1% PKB), a wpływy z akcyzy na niecałe 12 mld.

– Badania prowadzone od lat 60. i 70. zeszłego wieku w społeczeństwach rozwiniętych pokazują konsekwentnie, że ograniczenie dostępności fizycznej i ekonomicznej – czyli tego, jak łatwo po alkohol sięgnąć i w jak przystępnych jest cenach – pozwala zmniejszyć konsumpcję, niebezpieczne picie, a wraz z tym koszty dla społeczeństw i budżetów państw. Wyniki badań są w tej sprawie jednoznaczne - stwierdza dr Wieczorek.

Jego zdaniem w przypadku naszego kraju jednym z najskuteczniejszych kroków byłoby wyeliminowanie – niespotykanej na taką skalę nigdzie w Europie – dostępności i reklamy alkoholu na stacjach benzynowych. Działania idące dalej na poziomie państwa spotkałyby się pewnie z jeszcze większym oporem – choć przecież mamy (teoretycznie) ustawowy zakaz reklamy. Gdy ten zawodzi, walkę z nielegalną reklamą i zbyt szeroką dostępnością alkoholu przejmują samorządy (ostatnio w Krakowie, gdzie właśnie rada miasta przegłosowała nocny zakaz sprzedaży napojów alkoholowych) i społecznicy.

## Problem społeczny

– Chyba wszyscy mamy wśród znajomych kogoś, kogo znamy od dzieciństwa czy podstawówki, ale kontakt się urwał, bo tę osobę porwał alkohol. Jest taki moment w życiu, kiedy wychodzi się z młodzieńczego i imprezowego picia, ale niektórzy przy tym zostają. Znajomości się kończą, a picie z okazyjnego staje się codzienne. I wszyscy to widzą i wiedzą, za to rzadko się o tym mówi – przypomina Zofia Sobczak, która wspólnie z Janem Śpiewakiem zainicjowała akcję „Posprzątajmy Alko". – Z szeroką dostępnością alkoholu, jego powszechnym nadużywaniem i łamaniem prawa w naszym kraju jest podobnie – wszyscy wiedzą, ale z niezrozumiałych powodów nie jest to traktowane w Polsce jako problem.

Zofia Sobczak jest też współautorką programu „Wiadomości z końca świata" i właśnie powołała do życia fundację, której celem jest walka z nielegalną promocją alkoholu.

Walka przeciwko promowaniu alkoholu przez influencerów jest stosunkowo świeża. Organy państwa, takie jak Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom (czy wcześniej Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych), potrafią zrealizować głośne i przemawiające do wyobraźni kampanie. Katarzyna Łukowska zwraca uwagę np. na projekt „Alkohol to seksistowska świnia. Kobiety traktuje gorzej" z 2018 r., który przypominał o konsekwencjach nadużywania alkoholu przez kobiety. Jednak wszystkie urzędy – czy to UOKiK, KNF czy KCPU właśnie – są zmuszone gonić za rozwijającymi się platformami cyfrowymi. Czy chodzi o patostreamerów, oszustwa finansowe czy o nielegalne reklamy (których influencerzy nawet nie oznaczają jako reklamy).

– Influencerzy są odpowiedzialni za promocję alkoholu niejako podwójnie – tłumaczy Zofia Sobczak. – Po pierwsze, oczywiście w sensie prawnym: odpowiedzialny jest ten, kto nielegalne treści emituje, czyli w social mediach będzie to influencer lub celebryta, który reklamuje alkohol na swoim profilu. Ale po drugie, jest szersza odpowiedzialność wynikająca z tego, że internetowy influencer jest wzorem dla swoich fanów, nie zawsze pełnoletnich. Przecież nie nazywalibyśmy tych ludzi influencerami, gdyby nie wywierali wpływu, prawda?

**Dziś Polaków rozpijają nie zaborca, okupant ani właściciel osiedlowej meliny, lecz celebryci, internet i wygody kapitalizmu.**

Tu Zofia Sobczak wymienia choćby postacie ze świata muzyki, takie jak Vito Bambino czy Margaret, które mówiły w wywiadach o szkodach, jakie w ich życiu wyrządzili nadużywający alkoholu bliscy, a potem same przyjęły kontrakty na reklamę alkoholu.

Problem wpływu reklam na nieletnich także nie jest wymyślony. Badacze z międzynarodowego zespołu afiliowani m.in. przy Uniwersytecie Oksfordzkim przebadali w 2016 r. młodzież z kilku krajów Europy pod kątem podatności na reklamę alkoholu. Wśród wielu spostrzeżeń było i takie – co szczególnie interesujące dla nas – że aż połowa nastolatków w naszym kraju wchodzi w interakcje z profilami w social mediach publikującymi reklamy alkoholu. W Niemczech było to 20% – o ponad połowę mniej. Z reklamą alkoholu w internecie zetknęło się zaś 75% nastolatków – a mówimy o próbie badawczej, w której średnia wieku wynosiła 14 lat. Na razie więc dalej, jeśli chodzi o reklamy alkoholu, internet jest w Polsce przestrzenią bezprawia.

*Jakub Dymek*

eprasa.pl 674cf1a68f

# W CIENIU STALKERA

Setki SMS-ów, telefonów, wystawanie pod domem, groźby. Stalking dezorganizuje życie ofiary i nie pozwala normalnie funkcjonować

Anna Stachowiak

Anna: – Jezu, od czego zacząć… Od ojca dziecka dostawałam dziennie 100-200 SMS-ów, czasem więcej. Dzwonił do mnie non stop, wysyłał mi moje zdjęcia ze spacerów z dzieckiem. Albo z zakupów. I pisał zawsze, że martwi się o naszą córeczkę, że dlatego tak pisze i dzwoni. Troskliwy tata, który pojawiał się wciąż i wszędzie. Niezapraszany i niepytany.

## Odór stalkingu

O stalkingu niedawno znowu zrobiło się głośno, kiedy Monika Janowska, artystka, a prywatnie żona Roberta Janowskiego, zamieściła w mediach społecznościowych wpis będący krzykiem rozpaczy. Przez 12 lat małżeństwo Janowskich było uporczywie nękane przez kobietę, która twierdziła, że jest żoną Roberta. Dzwoniła, pisała, codziennie była pod ich domem. Wysyłała „prezenty" im i dzieciom. Ostatnio – zakrwawiony smoczek. Wystawała pod domem z nożem. Policja, mimo sądowego nakazu aresztowania kobiety, była bezradna. 11 kwietnia Janowska napisała na Facebooku: „Mam Was dość!!!".

„POLICJA POLSKA! Banda nieudaczników! Czym się zajmujecie? Wczoraj Babcią Kasią, a dzisiaj? Kto tym razem? Mały chłopiec, który ukradł cukierek? Czy może dzieci piszące kredą na chodniku. Albo starsi, próbujący dorobić do emerytury, sprzedając polne kwiatki lub warzywa z własnego ogródka? Tchórze! Tylko na to WAS stać!!!!! Pójdę siedzieć za obrazę? Proszę bardzo. Adres znacie. Siedzę zamknięta w domu od 3 dni, nigdzie się nie wybieram, więc zapraszam! Może spotkacie pod domem przy okazji Panią Janus, która przyszła mnie zabić! Posyłam Wam buziaczki od niej. Nie wyjdę Wam jednak na spotkanie. Boję się, bo jestem sama w domu. O, ja głupia! Mogłam zaprosić ją na kawę, byście mieli mniej roboty. Niewdzięczna ja.

MAM WAS DOŚĆ!!!!!!!!!!!!!!! Pieprzę RODO i konwenanse! Próbowałam krokiem prawa i obudziłam się z ręką w nocniku. 12 lat udaje mi się wywinąć spod kosy. Odwalam za Was robotę, ale już mam dość! Policja Polska! Stróże! Obrońcy Człowieka! Pani Oskarżona śmieje się Wam w twarz! Mnie to już nawet nie bawi! Policja! Tylko jaka? Bo na pewno nie obywatelska!".

Chwilę później jej mąż zamieszcza wpis: „Szanowni Państwo, z całego serca dziękujemy wszystkim dziennikarzom/mediom/portalom/i Wam, moi Drodzy za każde udostępnienie i nagłośnienie naszej sytuacji związanej z Panią Moniką Janus, która od 12 lat popełnia przestępstwo, naruszając naszą przestrzeń osobistą i zawodową, a także grożąc mojej żonie śmiercią. Ponad miesiąc temu, dnia 6 marca, zostało wydane i przesłane do komisariatu (Warszawa, Praga Północ) postanowienie o zastosowaniu natychmiastowego aresztowania oskarżonej o stalking Pani Janus. Do dzisiaj rozporządzenie to nie zostało wykonane przez Policję, pomimo upomnień. Stąd nasze upublicznienie sprawy".

Poszli do mediów, zagrożenie zostało nagłośnione. Sprawczyni stalkingu trafiła w końcu do aresztu. Po 12 latach.

W ubiegłym tygodniu mediami i opinią publiczną wstrząsnęła zaś kolejna historia. Tym razem ujawniono na łamach Onetu, że kiedyś dziennikarz, a potem wiceszef dużej spółki, Paweł Siennicki, miał być stalkerem matki swojego dziecka. W setkach SMS-ów wyzywał ją, szantażował ujawnieniem nagich zdjęć, pozorował porwanie dziecka i miał grozić śmiercią aktorowi Andrzejowi Chyrze, jej bliskiemu



eprasa.pl 674cf1a68f

znajomemu. Janusz Schwertner opisał to w tekście „Odór". Lektura przyprawia o mdłości.

## Opuszczone żaluzje

Stalking to relatywnie nowa kategoria w polskim prawie karnym, funkcjonuje bowiem od 2011 r., wprowadzona nowelizacją Kodeksu karnego dokonaną na mocy ustawy z 25 lutego 2011 r. Słowo, oznaczające uporczywe nękanie, pochodzi z języka angielskiego. Stalkingu dotyczy art. 190a k.k., a przepis ma na celu ochronę prywatności i prawa człowieka do życia w poczuciu bezpieczeństwa. Sprawca powoduje naruszenie sfery prywatności i poczucie zagrożenia.

Anna: – Przez kilka miesięcy żyłam z opuszczonymi żaluzjami. Bałam się nawet otworzyć okno czy wyjść do sklepu. Był zawsze i wszędzie. Kiedy przyjeżdżała policja, słyszałam: no ale przecież to ojciec dziecka, chce kontaktu. A ja miałam w telefonie 700 SMS-ów.

W 2022 r. za stalking skazano 1719 osób. Ale już za uporczywe nękanie, kiedy skutkiem było targnięcie się pokrzywdzonego na własne życie, skazane zostały tylko dwie osoby. Liczby te pokazują niewielki spadek, bo w 2021 r. skazano 1766 osób.

Sam przepis brzmi tak: „Par. 1. Kto przez uporczywe nękanie innej osoby lub osoby jej najbliższej wzbudza u niej uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia lub istotnie narusza jej prywatność, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech. Par. 2. Tej samej karze podlega, kto, podszywając się pod inną osobę, wykorzystuje jej wizerunek lub inne jej dane osobowe w celu wyrządzenia jej szkody majątkowej lub osobistej. Par. 3. Jeżeli następstwem czynu określonego w par. 1 lub 2 jest targnięcie się pokrzywdzonego na własne życie, sprawca podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat dziesięciu".

Mecenas Patrycja Kasica: – W mojej ocenie dobrze udowodniony stalking jest traktowany bardzo poważnie. Składając takie zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa, warto zadbać o dowody opierające się na dokumentach. Same dowody osobowe mogą nie być wystarczające. Tutaj piłka jest również w dużej mierze po stronie dochodzeniówki i śledczych, gdyż od razu przy takim zawiadomieniu powinno się postarać o zabezpieczenie danych z billingów, SMS-ów, ewentualnie logowań, numerów IP komputera, z którego korzysta sprawca. Te dane są przechowywane przez operatorów. Prokurator musi wydać zgodę na zwolnienie z tajemnicy telekomunikacyjnej i zabezpieczyć taką korespondencję. My sami możemy jedynie zrobić jej screeny. Warto też zadbać o dowody z kamer przemysłowych czy monitoringu, aby udowodnić, że stalker wystaje pod naszymi oknami dzień i noc, wzbudzając w nas uzasadnione obawy i poczucie krzywdy. Do tego również konieczne jest, aby prokurator wystąpił o takie dowody z nagrań, które szybko są kasowane.

Adwokatka zwraca uwagę na inny aspekt: ofiary boją się zgłaszać przestępstwo. Z jednej strony, boją się zemsty stalkera, z drugiej – indolencji władz. Tak jak w przypadku stalkerki Janowskich. Patrycja Kasica: – Bolączką osób składających zawiadomienie nie jest to, że obawiają się one drogi sądowej, ale fakt, że już na etapie zgłoszenia przestępstwa potrzebują ochrony prawnej przed stalkerem. Taką ochronę trudno uzyskać, bo stalking stalkingowi nierówny. Może to być np. cyberstalking, czyli nękanie poprzez media społecznościowe, bez kontaktu bezpośredniego lub z rzadkim kontaktem. Prześladowanym w taki sposób osobom zależy na uzyskaniu zakazu kontaktowania się poprzez wykonywanie połączeń czy na określonych komunikatorach. Osoby uporczywie nękane nachodzeniem chcą uzyskać zakazy zbliżania się na określone odległości. Tego typu środki zapobiegawcze są możliwe w połączeniu z oddaniem pod dozór policji, z nałożeniem obowiązku określonego zachowania. Dozór połączony z zakazem zbliżania się czy zakazem kontaktowania można uzyskać dopiero po przedstawieniu zarzutów i pod pewnymi warunkami. Decyzje te nie są hojnie wydawane i wymagają odrębnego postanowienia w postępowaniu przygotowawczym. Inaczej jest już przy wydawaniu wyroku skazującego, gdzie standardowo w tego typu sprawach sąd wydaje zakaz kontaktowania się i zakaz zbliżania na określoną odległość na określony czas. Sam wyrok skazujący otwiera także drogę do ewentualnego odszkodowania.

Anna: – Niby czytam o tym stalkingu, niby policja ma nowe uprawnienia, bo przecież weszła nowelizacja, ale prokuratura umorzyła sprawę. Uznano, że skoro sporadycznie odpowiadałam na wiadomości, to widocznie kontaktu chciałam. Ostatnio usłyszałam termin „przemoc poseparacyjna". To jest dokładnie to.

Przemoc poseparacyjna występuje po rozstaniu i przybiera rozmaite formy. SMS-y, wydzwanianie, wystawanie pod domem to tylko część repertuaru sprawców, którzy sięgają po coraz bardziej wyrafinowane metody. Do nękania byłych partnerek angażują instytucje państwowe: policję, sądy i ośrodki pomocy społecznej.

Anna: – Miałam kilka postępowań, kontrole Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie i wizyty kuratora. Powodem były wyłącznie fałszywe zawiadomienia byłego partnera. Ale musiałam udowadniać, że to nieprawda.

Sprawa Anny została umorzona.

Stalkerka Moniki Janowskiej jest w areszcie.

Paweł Siennicki złożył rezygnację ze stanowiska. Sprawa trwa.

■

Przez kilka miesięcy żyłam z opuszczonymi żaluzjami. Bałam się nawet otworzyć okno czy wyjść do sklepu. Był zawsze i wszędzie.

FOT. SHUTTERSTOCK



eprasa.pl 674cf1a68f

# Tajemnice budowy sieci światłowodowych

## Dlaczego miażdżący dla rządzących raport NIK na temat Centrum Projektów Polska Cyfrowa przeszedł bez echa?

Marek Czarkowski

31 maja 2022 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała 104-stronicową informację o wynikach kontroli zatytułowaną „Efekty realizacji projektów dotyczących zapewnienia szerokopasmowego dostępu do internetu na terenie województwa lubelskiego".

Powiedzieć, że podwładni prezesa Mariana Banasia nie zostawili suchej nitki na Centrum Projektów Polska Cyfrowa (CPPC), które organizowało konkursy mające wyłonić wykonawców sieci światłowodowych na terenie Lubelszczyzny, oraz na procesie realizacji owego projektu, to nic nie powiedzieć.

Reakcja rządu Mateusza Morawieckiego oraz CPPC była wyjątkowo gwałtowna – ustalenia kontrolerów i wynikające z nich wnioski w całości odrzucono. W ocenie dygnitarzy wszystko było cacy.

Sprawa jest poważna, bo w grę wchodzą nie dziesiątki czy setki milionów złotych, ale miliardy z unijnych dotacji. Zainteresowani przedsiębiorcy wiedzieli, że warto się schylić po owe frukta. Rodzą się pytania, czy raport Najwyższej Izby Kontroli rzuca właściwe światło na ten proceder. I czy funkcjonariusze publiczni wysokiego szczebla zajmujący się podziałem środków zachowali standardy przejrzystości przyjęte w Unii Europejskiej. No i dlaczego ani opozycyjni politycy, ani media nie zainteresowali się raportem.

Nie jest tajemnicą, że Janusz Kosiński ma bliskie relacje z rządzącymi.

### Ciągniemy światłowody… i dotacje

Komisja Europejska w latach 2005-2010 zdefiniowała cele rozwoju sieci szerokopasmowych, które miały zapewnić obywatelom państw członkowskich powszechny dostęp do internetu. W dokumentach z roku 2010 przyjęto, że do 2020 r. wszyscy Europejczycy powinni mieć dostęp do sieci o przepustowości 30 Mb/s, a co najmniej połowa będzie miała dostęp do sieci 100 Mb/s. W 2016 r. Komisja Europejska dokonała korekty. Zgodnie z nią wszyscy obywatele państw Unii Europejskiej do 2025 r. powinni mieć zapewniony dostęp do sieci o przepustowości 100 Mb/s, a wszystkie miejsca będące siłą napędową rozwoju społeczno-gospodarczego powinny móc korzystać z sieci o przepustowości 1 Gb/s. Identyczne cele zostały zapisane w Narodowym Planie Szerokopasmowym przyjętym przez rząd Donalda Tuska w 2014 r., a następnie zaktualizowanym w roku 2020 przez ekipę Mateusza Morawieckiego.

**W latach 2014-2020 Polska na wszelkiego rodzaju projekty związane z cyfryzacją otrzymała łącznie ponad 9 mld zł dotacji unijnych.**

Najpoważniejszym wyzwaniem okazała się budowa sieci światłowodowych na terenach wiejskich. Przyjmuje się, że o ile w dużym mieście na 1 km instalacji światłowodowej przypada średnio 200 przyłączeń, o tyle na trenach wiejskich jest ich zaledwie 20. Co oznacza, że aby mieszkające tam rodziny i działające firmy miały dostęp do internetu,



FOT. PAP/JAKUB KACZMARCZYK

eprasa.pl 674cf1a68f

potrzebne są niemałe dotacje, które pokryją wysokie koszty budowy infrastruktury. A to oznacza świetny interes, zwłaszcza że sieci światłowodowe przechodzą na własność firm, które je wybudowały.

W latach 2014-2020 Polska na wszelkiego rodzaju projekty związane z cyfryzacją otrzymała łącznie ponad 9 mld zł dotacji unijnych. Organizacją konkursów na budowę sieci światłowodowych zajęła się rządowa instytucja Centrum Projektów Polska Cyfrowa.

Jak ustaliła NIK, w latach 2015-2019 CPPC zorganizowało cztery konkursy, których przedmiotem było wyłonienie projektów wsparcia bezzwrotnego w ramach I osi priorytetowej Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa (POPC). Kwota przyznanego dofinansowania, według umów zawartych w wyniku rozstrzygnięć konkursowych, wyniosła 4,3 mld zł. Choć można przypuszczać, że była ona jeszcze wyższa.

Największymi beneficjentami okazały się dwie spółki – Fibee I oraz Fibee IV, którym przyznano 20 dotacji o łącznej wysokości 1,13 mld zł. Na drugim miejscu znalazła się Orange Polska SA – 711,1 mln zł. Trzecie miejsce zajęła spółka Nexera, która w formie dotacji otrzymała 596,9 mln zł. 200,3 mln zł dostała spółka Fiberhost SA, wchodząca wspólnie ze spółkami Fibee I i Fibee IV w skład Grupy INEA należącej do Odin Holdings SARL z siedzibą w Luksemburgu.

INEA – jeszcze jako spółka – została założona w 1994 r. w Poznaniu. Jej prezesem był Janusz Kosiński. Zajęła się dostarczaniem mieszkańcom Wielkopolski internetu, telewizji cyfrowej, telefonii kablowej oraz innych szeroko rozumianych usług telekomunikacyjnych. Ostatnia dekada okazała się dla niej okresem niezwykle intensywnego rozwoju. W 2013 r. zainwestował w nią amerykański fundusz Warburg Pincus, który cztery lata później sprzedał swoje udziały australijskiemu funduszowi Macquarie Infrastructure and Real Assets. Z tej perspektywy pozyskanie unijnych dotacji na poziomie ponad 1,3 mld zł wydaje się czymś naturalnym. I nikt nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie Najwyższa Izba Kontroli, która ujawniła kilka niepokojących faktów związanych z organizacją konkursów przez Centrum Projektów Polska Cyfrowa.

## NIK widzi nieprawidłowości

W opublikowanej wiosną zeszłego roku informacji z kontroli zawarta jest jednoznaczna konkluzja: „Najwyższa Izba Kontroli negatywnie ocenia realizację projektów budowy szybkiej sieci szerokopasmowej na terenie województwa lubelskiego, a także proces ich dofinansowania z Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa na lata 2014-2020. Beneficjenci nie wykonali zadań w projektach zgodnie z przyjętymi pierwotnie harmonogramami, a Centrum Projektów Polska Cyfrowa nie realizowało prawidłowo i rzetelnie zadań związanych z wyborem projektów oraz nadzorem nad ich przeprowadzeniem, w tym finansowaniem".

Dalej następuje opis budzących wątpliwości szczegółów. Na przykład inspektorzy NIK zauważyli, że spółki Fibee I i Fibee IV, które otrzymały najwyższe, ponadmiliardowe dotacje, powstały w trakcie konkursu, bezpośrednio po 28 marca 2018 r., kiedy to CPPC przedłużyło jego termin. 29 marca 2018 r. została zarejestrowana i wpisana do Krajowego Rejestru Sądowego spółka Fibee IV, a 30 marca 2018 r. spółka Fibee I.

W ocenie Najwyższej Izby Kontroli pracownicy Centrum Projektów Polska Cyfrowa naruszyli obowiązujące przepisy dotyczące oceny kryterium potencjału ekonomicznego i przyjęli w kryteriach wyboru możliwość wykazania doświadczenia udziałowców

**Ponad 1 mld dotacji z Centrum Projektów Polska Cyfrowa dostały założone w trakcie konkursu spółki Fibee I i Fibee IV, z kapitałem założycielskim 5 i 6 tys. zł.**

eprasa.pl 674cf1a68f

spółek, co umożliwiło przyznanie Fibee I oraz Fibee IV tak gigantycznego dofinansowania, mimo że nie zrealizowały one samodzielnie żadnej inwestycji, a ich kapitał zakładowy wynosił odpowiednio 5 i 6 tys. zł.

Więcej budzących niepokój szczegółów znalazło się w wystąpieniu pokontrolnym, które w listopadzie 2021 r. NIK skierowała na ręce prezesa spółki Fibee I. Między innymi wskazano, że w spółce zatrudnionych było 37 osób i że nie dysponowała ona własnym zapleczem wykonawczym, a wszystkie prace związane z projektowaniem i budową sieci światłowodowych zostały powierzone podmiotom zewnętrznym.

Paradoksalnie w tym wypadku trudno mieć pretensje do spółki Fibee I, gdyż takie warunki zostały ogłoszone i przyjęte przez Centrum Projektów Polska Cyfrowa – więc tylko głupi by nie skorzystał.

Podobnie było z gwarancjami finansowymi, które uczestnik postępowania konkursowego powinien dołączyć do wniosku. Kontrolerzy NIK opisali ów dokument jako pismo bez daty, sporządzone w językach polskim i angielskim, stanowiące zapewnienie współfinansowania zadeklarowanych przez Fibee I kwot wkładu własnego przez spółkę z Luksemburga występującą jako MEIF 5 Luxembourg C Holdings SARL, która pośrednio jest jej właścicielem. W ocenie inspektorów NIK taka gwarancja była zbyt słaba, co skłoniło ich do sformułowania konkluzji, że spółkom Fibee I i Fibee IV przyznano dofinansowanie „w wyniku naruszenia przez Centrum Projektów Polska Cyfrowa zasad wyboru projektów". Co w tym konkretnym przypadku jest wyjątkowo eleganckim sformułowaniem.

Na negatywne oceny zawarte w raporcie NIK odpowiedziały władze poznańskiej spółki, Centrum Projektów Polska Cyfrowa oraz sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Janusz Cieszyński, działający z upoważnienia ministra cyfryzacji, którym w 2022 r. był premier Mateusz Morawiecki.

Opisane w raporcie NIK fakty oraz konkluzje zostały odrzucone. Najdoskonalej ujął to Janusz Cieszyński w piśmie skierowanym 22 marca 2022 r. na ręce prezesa NIK Mariana Banasia: „Informuję, że nie zgadzam się z oceną całościową, ocenami szczegółowymi, uwagami ani wnioskami Najwyższej Izby Kontroli zarówno w zakresie wdrażania I osi priorytetowej Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa jako takiego, wdrażania tego programu na obszarze województwa lubelskiego oraz działalności Centrum Projektów Polska Cyfrowa".

Jeśli kiedyś rządzący obawiali się, że prezes Marian Banaś stanie się dla nich biczem bożym chłostającym ich kolejnymi raportami, to wyjście z tej krępującej sytuacji okazało się banalnie proste – wystarczy zanegować ustalenia Najwyższej Izby Kontroli i sprawa zamknięta. Tak też zrobiono w tym wypadku.

**Inspektorzy NIK stwierdzili, że spółkom Fibee I i Fibee IV przyznano dofinansowanie w wyniku naruszenia przez CPPC zasad wyboru projektów.**

## Wątek romantyczny

Obraz procesu budowy sieci światłowodowych byłby niepełny bez kilku drobnych okoliczności. Od stycznia 2016 r. do lipca 2018 r. dyrektorką CPPC, które organizowało wymienione konkursy, była Wanda Buk, córka gen. Tadeusza Buka, dowódcy wojsk lądowych, który zginął tragicznie w katastrofie smoleńskiej. W 2018 r. z CPPC przeszła ona na stanowisko podsekretarza stanu w Ministerstwie Cyfryzacji i piastowała je do sierpnia 2020 r. 1 września tegoż roku objęła stanowisko wiceprezesa zarządu spółki PGE Polska Grupa Energetyczna ds. regulacji.

Na początku września 2022 r. Wanda Buk wzięła ślub z Januszem Cieszyńskim, obecnym ministrem cyfryzacji. Czy ten fakt mógł mieć znaczenie, gdy w marcu ub.r. ówczesny sekretarz stanu w KPRM Janusz Cieszyński udzielił prezesowi NIK jednoznacznej odpowiedzi na raport z kontroli? Wszak Wanda Buk nie była osobą mu obojętną. O tym, że minister Cieszyński jest wyjątkowo lojalnym funkcjonariuszem publicznym, najlepiej świadczy jego postawa w głośnej sprawie zakupu respiratorów od lubelskiego handlarza bronią. Twardo przyjmował ciosy „na klatę", nikogo nie sypnął, podał się do dymisji, by po jakimś czasie wrócić w wielkim stylu. To oczywiste, że przed ślubem nie mógł podzielić opinii prezesa Mariana Banasia.

Jest jeszcze jedna postać – wspomniany wcześniej Janusz Kosiński. Od roku 2019 do dziś członek Rady ds. Cyfryzacji wspierającej Ministerstwo Cyfryzacji. Kosiński był współzałożycielem spółki INEA i prezesem jej zarządu. Był także wieloletnim członkiem Zarządu Polskiej Izby Komunikacji Elektronicznej, a w latach 2012-2019 członkiem Komitetu Elektroniki i Telekomunikacji przy Polskiej Akademii Nauk. Obecnie jest członkiem Rady Nadzorczej INEA SA. Nie jest tajemnicą, że ma on bliskie relacje z rządzącymi.

Pod koniec minionego roku Centrum Projektów Polska Cyfrowa powinno ogłosić kolejny konkurs na budowę sieci światłowodowych zapewniających dostęp do internetu na obszarach wiejskich. Komisja Europejska przeznaczyła do roku 2027 na dotacje związane z cyfryzacją w Polsce 9,5 mld zł, z czego ponad 4 mld zł miały pójść na światłowody. Konkurs jednak do dziś nie został ogłoszony. Czyżby z obawy, że tym razem wariant, w którym gros środków trafia do trzech największych operatorów – czyli spółek wchodzących w skład grupy INEA, Orange Polska oraz Nexera – wzbudziłby zbyt duże zainteresowanie opozycyjnych polityków? Choćby z tego względu, że są to podmioty z dominującym udziałem kapitału zagranicznego. Firmy z polskim kapitałem, wprawdzie nie tak wielkie, lecz płacące podatki nad Wisłą, na podobne względy rządzących liczyć nie mogą.

*Marek Czarkowski*
**m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl**



eprasa.pl 674cf1a68f

Z Galicji

Jan Widacki

# Bardzo dobra zmiana

Wedle rządowej propagandy jako państwo kroczymy od sukcesu do sukcesu. Nakupiliśmy tyle uzbrojenia, że już niedługo będziemy mogli sami, nie oglądając się na NATO, a zwłaszcza na europejskich sojuszników, pokonać każdego wroga. Będziemy mieli najpotężniejsze siły pancerne w Europie, najlepsze samoloty, rakiet więcej, niż mają Amerykanie. Tyle że większości tego sprzętu jeszcze nie mamy, dopiero będziemy mieć. Będzie nam dostarczany stopniowo przez kilka lat (w razie czego wróg zaczeka), a zadłużenie spłacać będą jeszcze nasze wnuki.

Poza tym takie uzbrojenie wymaga specjalistycznej obsługi. A przeszkolonego wojska, zdaje się, nam brakuje. Obsługi nowoczesnych czołgów, samolotów, zestawów wyrzutni rakietowych trzeba się uczyć chyba nieco dłużej niż obsługi popularnego „kałacha" czy nawet granatnika, który został użyty przez nieprzeszkolonego, jak widać, komendanta głównego policji. Wykorzystania tego sprzętu na polu walki, w koordynacji z tym, co kupiliśmy wcześniej i mamy już na stanie, uczyć się trzeba i ćwiczyć jeszcze dłużej.

Ostatnie wpadki kompromitują nas w oczach świata. Zarówno w oczach sojuszników, jak i potencjalnych przeciwników. A to zapomniano sprawdzić tożsamość nocnych poławiaczy bursztynu, którego złoża, jak wiadomo, prawie przylegają do naftoportu, a to skandal z ruską rakietą, która przeleciała pół Polski i spadła w lesie pod Bydgoszczą i nikt jej nie szukał. W końcu znalazł ją przypadkowy, zupełnie cywilny jeździec czy może nawet jego koń. Teraz trwają bezskuteczne poszukiwania białoruskiego balonu, który też wleciał w naszą przestrzeń powietrzną i gdzieś zniknął.

Skandal z rakietą ma finał, kto wie, czy nie jeszcze gorszy niż sam fakt, że ona się pojawiła. Okazało się bowiem, że o latającej nad Polską rakiecie nie wiedzieli wszystkowiedzący na ogół premier ani jeszcze bardziej wszystkowiedzący prezydent! Co więcej, minister obrony narodowej twierdzi, że on także nic nie wiedział, i oskarża najwyższych rangą wojskowych, że go o tym incydencie nie poinformowali. Generałowie delikatnie, ale stanowczo zaprzeczają, jeden nawet ogłosił jakiś pokrętny komunikat w formie aktu strzelistego, w którym wprost do incydentu się nie odnosi, ale zapewnia, że wierzy w sprawiedliwość, w niezawisłe sądy i w coś tam jeszcze. Oby po doświadczeniach na własnej skórze tej wiary nie stracił.

Nie wiem, jak było naprawdę, ale raczej wierzyłbym wojskowym niż ministrowi politykowi. Jakkolwiek było, jest to kompromitacja. Jeśli prawdę mówi minister Błaszczak, najwyraźniej nie było prawidłowej komunikacji między wojskiem a władzami w państwie. Albo system tej komunikacji jest wadliwy i nie zadziałał, albo nie było systemu, albo był, ale najwyżsi dowódcy świadomie go sabotowali. Jeśli prawdę mówią (choć tylko półgębkiem) generałowie, to też niedobrze. Znaczyłoby to, że głupią decyzję (o nieszukaniu rakiety, niepowiadamianiu prezydenta, premiera i opinii publicznej) podjął minister Błaszczak, który w dodatku teraz kłamie i zwala winę na generałów. Świadczyłoby to jak najgorzej o ministrze, ale i nie najlepiej o generałach, którzy nie potrafią powiedzieć po męsku, po żołniersku, wprost prawdy, tylko coś niby mówią, niby nie mówią, za to wygłaszają wspomniane akty strzeliste zapewniające o głębokiej wierze w polski wymiar sprawiedliwości jeszcze nie do końca zreformowany przez ministra Ziobrę.

Jeśli dotąd istniało jakieś zaufanie między cywilnym ministrem obrony a generalicją, to teraz skończyło się na pewno.

Jeśli dotąd istniało jakieś zaufanie między cywilnym ministrem obrony a generalicją, to teraz skończyło się na pewno. Kolejny sukces. W normalnym państwie albo zostałby odwołany minister (o ile sam nie podałby się wcześniej do dymisji), albo zdymisjonowani zostaliby generałowie.

Mimo zdwojonych wysiłków TVP, TVP Info i gazet kupionych przez Obajtka, mimo publicznych wystąpień i zapewnień premiera oraz ministra Błaszczaka (najczęściej wygłaszanych na tle jakiegoś czołgu, z czołem marsowo zatroskanym), że „jesteśmy silni, zwarci i gotowi", nawet ulubiony, wskazany przez Jacka Kurskiego adresat tego przekazu, „ciemny lud", tego chyba nie kupi. Tym bardziej nie kupią tego sojusznicy z NATO, nie mówiąc już o potencjalnych przeciwnikach. Używając ich języka, można to wszystko skomentować: *i smieszno, i straszno*.

■

**Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl**



eprasa.pl 674cf1a68f

# Student traci, UAM się bogaci

## Pod młotek idzie kultowy poznański akademik

Kwietniowy protest studentów UAM.

Dominika Tworek

„Wspólnego się nie prywatyzuje", „Student traci, UAM się bogaci" czy „Jowita nie dla deweloperów" – z takimi transparentami pikietowali w kwietniu studenci w obronie Jowity, kultowego akademika, po tym jak prof. Bogumiła Kaniewska, rektorka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, ogłosiła jej sprzedaż.

### Dekada plotek, wola uczelni

Wybudowany w latach 60. modernistyczny wieżowiec przy ulicy Zwierzynieckiej ma 10 pięter, na każdym znajduje się 30 pokoi jedno- i dwuosobowych. Charakteryzuje go ceramiczna elewacja, do której materiały pozyskano z pobliskiej fabryki porcelany. Akademik ze słynnym neonem Centra Akumulatory na dachu jest swoistym symbolem Poznania. Istnieje obawa, że nowi inwestorzy postanowią zburzyć obiekt. Działka w samym sercu miasta to łakomy kąsek dla niejednego dewelopera.

Plotki o sprzedaży Jowity krążą w środowisku akademickim od dekady, jednak z początkiem marca nabrały dynamiki. Zaniepokojeni mieszkańcy akademika w mig napisali petycję do rektorki UAM, że wolą gremium studenckiego jest kontynuowanie działalności akademika. Prof. Kaniewska odpowiedziała na apel studentów – poinformowała ich, że od nowego roku akademickiego już nikt w Jowicie nie zamieszka, ponieważ budynek jest w kiepskim stanie technicznym. Według ekspertyzy z 2021 r. koszty dostosowania go do współczesnych wymogów prawnych i standardów wyniosłyby ok. 80 mln zł netto. Teraz, ze względu inflację, ta kwota może dobić do 100 mln zł.

– Jowitę musimy zamknąć. Taka jest moja decyzja, na to wskazują wszystkie ekspertyzy. Dalej mamy dwa wyjścia: albo ją wyremontujemy, albo sprzedamy. Rozważaliśmy to od 2018 r., ale w ostatnim czasie intensywniej; zamówiliśmy nowe ekspertyzy. Nie byłam zwolenniczką sprzedaży Jowity, ale zostałam przekonana argumentami. Ewentualny remont, oprócz tego, że bardzo kosztowny, przyniósłby mniej więcej 200 miejsc w akademiku, który w rezultacie byłby droższy dla studentów niż teraz. W związku z tym, zanim zdecydowaliśmy się zamknąć Jowitę, powstał akademik na Morasku – mówi prof. Bogumiła Kaniewska.

Studentów oburzył sposób, w jaki uczelnia zakomunikowała, że zamierza się pozbyć Jowity. Bez merytorycznej dyskusji, arbitralnie zdecydowała o ich losie, a poinformowała o tym w poście na facebookowym profilu prof. Kaniewskiej.

– To absurd i jedna wielka ignorancja. Nikt nie wziął naszej opinii



eprasa.pl 674cf1a68f

pod uwagę. Uczelnia nie traktuje nas jak dorosłych ludzi. Liczyliśmy na to, że nawet jeżeli dojdzie do tej sprzedaży, zostanie nam zagwarantowany inny akademik, również w centrum miasta. Zaproponowano nam jednak miejsca w kampusie na Morasku. To peryferie Poznania! Podróż do centrum z przesiadkami zajmuje około godziny. Jako studenci wezwaliśmy panią rektor do spotkania się z nami, by wspólnie poszukać alternatyw. Niestety, spotkanie to miało wydźwięk konferencji prasowej, na której pani rektor jedynie wygłosiła nam swoją opinię – komentuje Paula Macioszek, współautorka studenckiej petycji.

## Na co wystarcza stypendium

Nic dziwnego, że studentom zależy na kontynuowaniu wynajmu w Jowicie. Ceny wahają się tu od 515 zł w dwuosobowym pokoju

o niskim standardzie do 725 zł za jedynkę po modernizacji, podczas gdy wynajem stancji na rynku prywatnym za 1 tys. zł to w Poznaniu prawdziwa okazja, ceny z reguły oscylują w okolicach 1,2-1,4 tys. zł.

Zamykanie największego publicznego akademika w Poznaniu sprawia, że studenci wypychani są na rynek prywatny, a napływ kolejnych poszukujących lokum zawyża ceny najmu, co spowoduje, że kryzys mieszkaniowy, z jakim mamy w ostatnim czasie do czynienia w całym kraju, będzie jedynie się pogłębiał.

– Znaleźliśmy się w tragicznym położeniu, na co władze uczelni w ogóle nie zwracają uwagi. Musimy dodatkowo podejmować pracę na pół etatu, żeby w ogóle móc się utrzymać. Bo mieszkać gdzieś trzeba. Dostaję stypendium socjalne, ale ono nawet nie pokrywa kosztów czynszu. Wzdycham, jak poprzednie pokolenia mówią, że studia to taki wspaniały czas, gdy można poodpoczywać. A ja, zamiast się uczyć, nie wspominając nawet o rozrywce, muszę zasuwać na zmywaku. Oczywiście na umowie-zleceniu i za minimalną krajową, będąc tanią siłą roboczą Poznania. Z tego studiowania mam tak naprawdę więcej problemów niż korzyści. W dodatku wiem, że gdy skończę edukację, to będę pracował za śmieszne pieniądze, a dwie trzecie mojej pensji będę musiał przeznaczyć na to, żebym miał gdzie mieszkać. Uśmieciowienie pracy i kryzys mieszkaniowy będą nas dotykały jeszcze bardziej w perspektywie kilku czy kilkunastu lat – opowiada Jakub Straszewski, student pierwszego roku pracy socjalnej.

**Akademiki są wyłomem w prawie lokatorskim, który pozwala na umieszczenie większej liczby ludzi na mniejszym metrażu. Stąd zainteresowanie deweloperów.**

## Interesy studentów a lobby deweloperskie

Mieszkańcy Jowity przyznają, że 100 mln zł na remont budynku to spora suma. Podważają jednak tak wysokie wyliczenia kosztów remontu. Podkreślają, że chodzi przecież o modernizację rotacyjną, piętro po piętrze, koszty te można by więc rozłożyć w czasie. Studenci zarzucają też władzom uczelni zaniedbywanie budynku oraz brak jakichkolwiek starań w celu pozyskania środków unijnych czy państwowych.

– Jeśli rektorka uczelni mówi o złym stanie budynku, to my pytamy, kto odpowiada za ten stan, jak nie ona. Według polskiego prawa, jeżeli funkcjonariusz publiczny nie dopełnia obowiązku, to działa na szkodę interesu publicznego, odpowiada za to karnie i grozi mu pozbawienie wolności do lat trzech. Władze uczelni, żeby zasłonić swoją niekompetencję, mówią, że nie mogą wykonać remontu, bo nie mają możliwości postawienia rusztowania na działce sąsiadującej. Tymczasem taką sytuację przewiduje art. 47 Prawa budowlanego. Wystarczy wystąpić do starosty z wnioskiem, a organ ten w ciągu maksymalnie dwóch tygodni wydaje decyzję o niezbędności wejścia na teren sąsiedniej nieruchomości. Dlaczego władze tego nie robią i czyj interes rektorka traktuje jako istotniejszy? Uczelni i studentów czy sąsiada, który – jak sprawdziliśmy – jest zarejestrowaną na Cyprze spółką słupem? – pyta Antoni Wiesztort z Wielkopolskiego Stowarzyszenia Lokatorów, które włączyło się w walkę o Jowitę.

Obrońcy Jowity oburzeni są również faktem, że uczelnia opiera swój plan głównie na opinii wydanej przez prywatną firmę Estate Solution. W ekspertyzie tej czytamy, że obecnej funkcji Jowity towarzyszy „zużycie ekonomiczne". Dowiadujemy się z niej, że „utrzymanie niemal wyłącznej dyspozycji funkcjonalnej domu studenckiego, którego centralna lokalizacja jest unikalna w skali miasta, wydaje się być chybione przez nienależyte wykorzystanie potencjału lokalizacyjnego. (...) Utrzymanie anachronicznych funkcji przestrzennych prowadzi do stopniowego oddalania się faktycznego przeznaczenia nieruchomości do jej

FOT. KAJETAN NOWAK



eprasa.pl 674cf1a68f

optymalnego potencjału (tj. generującego w danych warunkach najwyższą rentę gruntową). Mowa tu więc o pewnego rodzaju niegospodarności, niewykorzystanej szansie na rynku". Wniosek, że chodzi o przekształcanie tanich, publicznych domów studenckich w drogie, prywatne akademiki, sam się narzuca.

– Z czyjego ramienia działają władze UAM – publicznej instytucji, która powinna reprezentować studentów – wprost cytując tak skrajnie stronniczy dokument? Mówi on także o tym, że obecnie w mieście trudno jest o ściągnięcie hoteli prywatnych, gdyż chętniej inwestują one w kurorty wakacyjne, a ostatnim krzykiem mody są właśnie drogie, prywatne akademiki. Skąd ten trend?

## O zamknięciu akademika studenci dowiedzieli się z wpisu na Facebooku.

Rozpowszechniające się w naszym kraju mikrokawalerki to nielegalny proceder, ponieważ w polskim prawie istnieją minimalne normy metrażu. Akademiki są pewnym wyłomem w prawie lokatorskim, który pozwala na umieszczenie większej liczby ludzi na mniejszym metrażu. Dlatego w sytuacji coraz głębszego kryzysu mieszkaniowego branża deweloperska interesuje się akademikami. Bo to jest ten „zasób", który pozwoli wyciągnąć jak najwięcej „renty" – tłumaczy Wiesztort.

W kuriozalnej opinii, którą posługuje się uniwersytet, przeczytamy poza tym, że częścią globalnego trendu jest wysiedlanie studentów z centrum miast i tworzenie całej infrastruktury na obrzeżach. Aktywista WSL podsumowuje: – Tylko przypomnę, że najbardziej uznane uniwersytety, takie jak Yale, Columbia czy Sorbona, mieszczą się w centrum miasta. Nie wiem, o jakim globalnym trendzie mówimy, może z Kazachstanu, gdzie panuje wolna amerykanka. Ten globalny trend, cytowany przez panią rektor, to zmierzanie do zapaści społecznej funkcji uniwersytetów. Wpychanie tych młodych ludzi w szpony wolnego rynku jest narzędziem do podwyższania czynszów wszystkim mieszkańcom miasta i zapewnienia taniej siły roboczej w tzw. studenckich zawodach: gastronomii czy hotelarstwie. Bez studentów te wszystkie śmieciowe branże, które zatrudniają na czarno, nie mogłyby teraz istnieć. To absurd, że rektorka, która zarabia miesięcznie 40 tys. zł w publicznej instytucji, wciska kit o tym, że wolny rynek nas wyzwoli. To niekompetencja czy świadome działanie na szkodę interesu studentów? Ten drugi przypadek podlega przecież Kodeksowi karnemu.

### Nie ma z czego się cieszyć

Paula Macioszek studiuje pedagogikę specjalną oraz pedagogikę wczesnoszkolną i przedszkolną. Utrzymuje się głównie ze stypendium, ale by przeżyć, musi dorabiać w gastronomii za 24,50 zł za godzinę. – Połączenie dwóch kierunków wymaga bardzo dużego wysiłku, a dodatkowa praca sprawia, że właściwie niemożliwe jest włączenie się w jakąkolwiek działalność naukową czy dodatkowe aktywności na uniwersytetach – podkreśla. – Nie wspominając już o życiu towarzyskim. A dojeżdżanie na uczelnię i do pracy godzinę w jedną stronę dramatycznie pogorszy ten i tak już ciężki okres. Wszyscy nam mówią, że studia to taki piękny czas, że powinniśmy się nim cieszyć, ale my nie mamy z czego się cieszyć, bo tylko czekamy, aż wreszcie je skończymy, żeby nie być tak zawalonym pracą.

Przyszłość Pauli jako nauczycielki też nie zapowiada się różowo: – Jak wiadomo, w tym zawodzie płace są bardzo niskie. Jestem w stanie zarobić godne pieniądze jedynie wtedy, gdy założę prywatny gabinet terapeutyczny jako pedagog specjalny. Ale ja nie chcę świata, w którym pomoc terapeutyczną otrzymują wyłącznie dzieci, których rodziców na to stać. Chciałabym, żeby w Polsce lepiej finansowało się zakłady państwowe, żeby edukacja i programy terapeutyczne były dla ludzi darmowe. Pracownikom powinno się płacić tyle, żeby chcieli pracować w państwowych placówkach.

– Zarzuty, że studenci nie mogą się utrzymać i muszą pracować, nie powinny być kierowane do UAM. Zresztą zawsze studenci pracowali na studiach. Ja nie mieszkałam w akademiku, bo pochodzę z Poznania, ale w wakacje zarabiałam na to, aby utrzymać się w ciągu roku akademickiego – argumentuje prof. Kaniewska. Studenci burzą się na te słowa. Nie opowiadają przecież o wakacyjnych wyjazdach na saksy, ale o codziennym mozole pracy po zajęciach, aby móc przetrwać czas studiów.

### Sprzeciw lekceważonej grupy

Ci, którzy ze swoimi problemami doszli już do ściany, buntując się przeciwko prywatyzacji Jowity, kwestionują również pomijanie ich głosu w działalności uczelni. Stworzyli niezależny periodyk „Alarm Studencki". Ich oddolny ruch reprezentuje interesy uboższych studentów, czyli – w obecnej sytuacji kryzysu gospodarczego – większości młodych dorosłych.

## Działka w sercu miasta to łakomy kąsek dla niejednego dewelopera.

– Początkowo celem było zatrzymanie procesu prywatyzacji Jowity. Dzięki naszym działaniom u władz UAM pojawił się pomysł niesprzedawania budynku (na razie), być może, aby ostudzić emocje. Mimo to prywatyzacja dalej jest największym zagrożeniem i dlatego wciąż się buntujemy. Ale w tym momencie jest to też szersza walka o różne kwestie socjalne dotyczące studentów i ich prawa. Mamy nadzieję, że dzięki temu przestaniemy być na uniwersytecie grupą, którą się pomiata. Przez wiele lat nikt nie szanował naszego głosu. Dziś władze uczelni wykazują się złą wolą i muszą się liczyć z naszym sprzeciwem – kwituje Jakub Straszewski.

*Dominika Tworek*



eprasa.pl 674cf1a68f

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

# Strażacy, pielęgniarki, szewcy, politycy i influencerzy

Podobnie jak rytualnie ogłaszane przez Bibliotekę Narodową coroczne wyniki badań czytelnictwa (mało, panie, czytają panowie, bo panie to więcej, ale i tak prawie nikt) pojawiają się co roku opowieści (półstatystyczne, o niejawnej metodologii) na temat zaufania do wszelakich profesji w Polsce. Tradycyjnie zwycięzcami tychże deklaracji są strażacy. Potem idą: ratownik medyczny, pielęgniarka, lekarz, profesor uczelni. Do tej hierarchii i grupy zaraz wrócę w krótkiej i błyskotliwej analizie. Ku mojej schadenfreude i w ogóle polepszeniu nastroju listę prawie 40 profesji zamykają zaś następujący miglance i symulanci: minister, poseł na Sejm, polityk, youtuber i influencer. Ten ranking potrafi zarówno ucieszyć, jak i zaniepokoić. Cieszy, że złotouści hochsztaplerzy, pinokiowie, pustosłowcy są w ogonie szacunku – wynikać z tego może, że lud jest mądrzejszy, bardziej krytyczny i nieufny wobec gadających na puszczy. Politykom rzecz jasna ta opinia nie wadzi, biorą, co swoje, plotą, co ślina na jęzor przyniesie, byle kasa się zgadzała, a się zgadza. I tak media będą ich zapraszać, gościć, udzielać głosu, bezkrytycznie przyjmować rzekę słów bez pokrycia, bez wiedzy, bez konsekwencji. Mam od lat głębokie przekonanie, że golema współczesnej polskiej sceny politycznej (partyjnej – byłoby bardziej precyzyjnie) ulepiły gazety, radia i przede wszystkim telewizje, oddając politykom, w takim najszerszym planie, swój czas i naszą uwagę. Na tym podglebiu wyrosły i wciąż wyrastają kolejne kariery coraz bardziej bezczelnych i rozochoconych figur. Politycy (rzadziej polityczki) mają zawsze czas, żeby wpaść do studia (często jednego za drugim) i namącić, zapętlić, poobrażać, pofantazjować i naobiecywać. I wszystko to zrobią za darmo! Co za rozkosz! Interes się kręci, jak dobrze naoliwiony łańcuch w rowerze, którym i tak żaden polityk do studia nie przyjedzie. Przywiozą, ugoszczą, odwiozą. I sława mołojecka się kumuluje.

O influencerach nawet nie ma co mówić. Wydmuszki etapu, pomyłka ewolucji.

Ale dlaczego niepokoi mnie początek listy? Zawody i role społeczne zacne, praca odpowiedzialna, blisko tych, którzy pomocy, opieki, ratunku potrzebują. Smuci mnie to, ponieważ ilustruje nie tyle uznanie dla marnie opłacanych zawodów opiekuńczych (pielęgniarki i ratownicy), ile poziom lęku i poczucie zagrożenia. Uznanie dla tychże profesji mówi nam: niechże chociaż nas w ostateczności uratują, jeśli dobrego życia i tak nie zaznamy. Jest w tych ciepłych myślach o strażakach, pielęgniarkach i ratownikach jakiś pełen rezygnacji smutek w tym, co nas zaprząta. Potrzebujemy pomocy, i to takiej natychmiastowej, interwencyjnej, doraźnej. Cóż, przy takim braku zaufania do klasy politycznej na systemowe rozwiązania prowadzące do dobrego, godnego, zdrowego życia nie bardzo możemy liczyć. Obawiam się równocześnie, że za ową deklaratywną sympatią i uznaniem wcale nie musi stać przekonanie, że tym ważnym specjalizacjom należą się jakieś szczególnie dobre warunki pracy. Dobrze rokuje nisko ceniona pozycja księży, tej degrengolady już nic nie zatrzyma (listę przestępców seksualnych w sutannach opublikował właśnie dziennik „Rzeczpospolita", a komentujący zauważają, że i tak jest niedoszacowana).

Zastanawia wyższa pozycja szewca (w tym samym czasie wszak docierają do nas sygnały, że kolejne zakłady szewskie padają, znikają) niż nauczycielki (piszę nauczycielki, bo to jednak – jak na zawód ciężki, opiekuńczy, wymagający i niskopłatny przystało – profesja zdecydowanie sfeminizowana).

**Nie potrafię sobie wyobrazić sceny, w której minister autentycznie zasromałby się społeczną krytyką działań.**

Oczywiście taki lekko zrobiony ranking nie jest zapewne bardzo poważnym źródłem do analiz społecznych, mimo wszystko winien dawać do myślenia i bez wątpienia jest ciekawszy niż kolejne tromtadracje mentzenowsko-kowalskie itp.

Nie będę ukrywał, że w brawurowo niskiej pozycji „ministrów" chciałbym widzieć zdroworozsądkową reakcję na ekscesy decyzyjne i deficyty osobowościowe sprawujących władzę. Obawiam się jednak, że ma to charakter życzeniowy z mojej strony. I nawet nie potrafię sobie wyobrazić sceny, w której autentycznie zatroskany minister zasromałby się taką społeczną krytyką działań. To są zachowania poza skalą. Czy już na zawsze? Kopernikańska reguła, wedle której zły pieniądz wypiera lepszy, nie pozostawia złudzeń – przyszłość będzie w tym wymiarze tylko marniejsza, taka karma.

Kiedy niedawno brałem udział w pewnej zabawie myślowej pod hasłem: które zawody, profesje, zajęcia, role społeczne najdłużej i najskuteczniej stawią opór sztucznej Inteligencji, wyszło nam, że te „ludzkie" właśnie. Opiekuńcze, empatyczne, niewdzięczne. A zatem, ku swojemu zdumieniu, zakończyłem optymistycznie, pogodnie, z nadzieją. Wciąż żywię też przekonanie, że inna polityka jest możliwa. ■

**Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl**



eprasa.pl 674cf1a68f

# Skąd pożyczyć na życie

## Joe Biden obiecał amnestię na kredyty studenckie. W USA podniósł się wrzask

Mateusz Mazzini

Dzisiaj wydaje się to trudne do wyobrażenia, ale kilkadziesiąt lat temu edukacja wyższa w Stanach Zjednoczonych była dobrem nie wolnorynkowym, tylko jak najbardziej publicznym. Przedstawiciele najważniejszych uniwersytetów Ligi Bluszczowej, na czele z Harvardem i Princeton, regularnie pielgrzymowali do Kongresu jeszcze w latach 30. minionego wieku, apelując do zasiadających tam przedstawicieli białych elit o wsparcie finansowe. I, co ciekawe, owe elity nie szczędziły grosza na wsparcie uczelni, czyniąc z dotacji punkt honoru, a nawet element rywalizacji pomiędzy najważniejszymi rodzinami Wschodniego Wybrzeża. Co bardziej złośliwi Europejczycy mogliby nawet powiedzieć, że pompowanie pieniędzy w uniwersytety było sposobem na nadrobienie kompleksów wobec Starego Kontynentu. Wszak Amerykanie nie załapali się na budowanie wielkich katedr na chwałę Boga, okres odkrywania dla cywilizacji chrześcijańskiej reszty świata i nadawania nazw tropikalnym wyspom – na wszystkie te procesy byli za młodzi jako nacja i jako byt polityczny. Zostało im więc budowanie świątyń współczesności i trzeba przyznać, że w końcowym rozrachunku źle na tym nie wyszli.

### Nie ma darmowych studiów

Jednak od tego czasu postrzeganie edukacji jako obszaru polityki drastycznie się zmieniło, wykształcenie przestało być uważane za dobro społeczne. Już w latach 20. ogólnonarodową kampanię na rzecz podniesienia opłat za czesne na uczelniach zaczął nie kto inny jak sam John D. Rockefeller, do dziś uważany za najbogatszego Amerykanina w historii kraju (biorąc pod uwagę inflację i wartość pieniądza za jego życia). Argumentował, że państwa będącego wciąż na dorobku nie stać na utrzymywanie studentów, którzy jeszcze nie są na tyle wykwalifikowani, żeby dokładać się do wspólnego garnuszka amerykańskiej gospodarki. To ciekawy argument wobec faktu, że według archiwalnych danych amerykańskiego Departamentu Edukacji w 1927 r., kiedy Rockefeller rozpoczął swoją krucjatę, Stany Zjednoczone miały 119 mln obywateli, a liczba studiujących na uczelniach pierwszy raz przekroczyła milion. Nawet płacenie za wikt i opierunek 0,8% całego społeczeństwa nie byłoby więc specjalnym obciążeniem dla tamtejszej ekonomii, ale już wtedy, jak widać, istniały za oceanem silne tendencje, by edukację urynkowić.

W tym miejscu trzeba jednak podkreślić, że studia w USA nigdy nie były w pełni darmowe – przynajmniej nie w europejskim znaczeniu. Prywatne uczelnie, począwszy od ufundowanego w 1636 r. Uniwersytetu Harvarda, zawsze brały od studentów pieniądze za samo kształcenie. Wolni od tych opłat byli tylko ci, którzy uczyli się w szkołach stanowych, czyli po naszemu publicznych – choć wciąż musieli sami pokryć koszty zakwaterowania i materiałów naukowych. Było to możliwe dzięki przyjętej w 1862 r. tzw. ustawie Morrilla, która przyznawała uniwersytetom tytuł własności ziemi, na której zostały zbudowane – jeśli ziemia ta wcześniej należała do rządu federalnego. Uważano, że skoro placówka edukacyjna nie musi płacić za dzierżawę działki, nie powinna zmuszać adeptów nauki do płacenia za usługę, którą oferuje. Przy czym słowo usługa jest w tym kontekście kluczowe, bo jeszcze wtedy mało kto



eprasa.pl 674cf1a68f

w USA rozpatrywał edukację właśnie w takich kategoriach.

Relatywna stabilizacja pod tym względem trwała mniej więcej do końca II wojny światowej i bumu demograficznego, który po niej nastąpił. Oba zjawiska gwałtownie zwiększyły nie tylko liczbę kandydatów zainteresowanych studiami, ale i zapotrzebowanie na nich w gospodarce. Najpierw wsparcie dostali weterani wojskowi, potem, już za prezydentury Lyndona Johnsona, po raz pierwszy w architekturze amerykańskiego systemu kształcenia pojawił się element rynkowy.

W 1965 r. rząd federalny, oprócz zapewniania kredytów we własnym zakresie, wziął na siebie także rolę gwaranta pożyczek na czesne udzielanych przez organizacje trzeciego sektora, ale też, co kluczowe, przez banki i inne instytucje finansowe. Johnson miał pewnie dobre intencje, chciał umożliwić naukę na najlepszych uczelniach tysiącom Amerykanów, którzy w większości mogli stać się pierwszym wykształconym pokoleniem w swoich rodzinach. Ale zapewne nie zdawał sobie sprawy, że otworzył finansową puszkę Pandory, co w kolejnych latach wykorzystają inni politycy. Na szkodę zarówno samej edukacji, jak i całego amerykańskiego społeczeństwa.

Johnson zaczął, lecz kto inny przyśpieszył. Podobnie jak w przypadku chyba wszystkich najważniejszych i najbardziej problematycznych kwestii społecznych za oceanem praprzyczyną katastrofy był konserwatywny zwrot pod rządami republikanów i Richarda Nixona. Skompromitowany w aferze Watergate prezydent stworzył w 1972 r. nową instytucję, której nazwę na język polski można przetłumaczyć w wiele mówiący sposób jako Stowarzyszenie Reklamy Pożyczek Studenckich (SLMA). Chodziło o to, by młodych Amerykanów zachęcać do brania kredytów, choć Waszyngton nie kontrolował już wtedy w pełni ani skali, ani zasad, na których to się odbywało.

Banki szybko się zorientowały, że na edukację jest olbrzymi popyt, więc kredyty rozdawały chętnie, ale z coraz wyższym oprocentowaniem. Podobnie myślały uniwersytety, wietrząc szansę na stanie się finansowymi imperiami. W efekcie mniej więcej w połowie lat 70. darmowych studiów w USA nie było już wcale.

Studia w USA nigdy nie były w pełni darmowe – przynajmniej nie w europejskim znaczeniu.

Po Nixonie przyszedł Ronald Reagan i choć wydawało się, że rząd federalny już bardziej nie da rady wycofywać się z życia społeczeństwa, nowy prezydent odsłonił cały wachlarz możliwości w tym zakresie. Od lat 80. nawet publiczne college'e podnosiły opłaty za studia raz na dwa-trzy lata, czasami co roku. Dzieła zniszczenia dopełniła administracja Billa Clintona, która w 1997 r. rozpoczęła prywatyzację SLMA, aż do momentu, kiedy w 2004 r., a więc pod rządami George'a W. Busha, instytucja ta stała się całkowicie urynkowiona. Krótko mówiąc, w ciągu jednego stulecia Amerykanie przeszli drogę od pojmowania wyższego wykształcenia jako dobra społecznego do całkowitego oddania go w ręce rynków finansowych.

## Tykające kredyty

Tyle rysu historycznego, niezbędnego, by wyjaśnić, dlaczego – jak podaje dziś Biały Dom – średnie czesne za studia w USA, licząc cały sektor edukacji wyższej, jest trzy razy wyższe niż w 1980 r. Prawdziwy obraz tykającej bomby, jaką są kredyty studenckie, daje jednak dopiero zestawienie ich z innymi elementami akcji kredytowej w amerykańskiej gospodarce.

Jak wylicza Council on Foreign Relations (CFR, Rada ds. Stosunków Międzynarodowych), jedna z najbardziej renomowanych instytucji badawczych w USA, dług za czesne podwoił się tam w ciągu ostatnich dwóch dekad. Łącznie Amerykanie powinni za swoją naukę oddać 1,7 bln dol. (1 700 000 000 000), w większości rządowi federalnemu. Dla porównania – tylko zadłużenie w kredytach nieruchomościowych jest za oceanem większe. Dług za studia przebił ten za samochody w 2009 r., rok później był większy niż zsumowane zadłużenie na kartach kredytowych i w kredytach konsumpcyjnych.

Na wspomniane 1,7 bln składają się pożyczki zaciągnięte przez 43,5 mln Amerykanów. Niemal co piąty dorosły obywatel USA ma niespłacone należności za swoje studia. Średnio 37 tys. dol., choć aż 7% dłużników musi teoretycznie spłacić aż 100 tys. Pożyczki od rządu federalnego (lub przez niego gwarantowane) bierze 30% wszystkich studentów pierwszego stopnia i aż dwie trzecie magistrantów oraz doktorantów. Nadreprezentowani w gronie dłużników, co łatwe do przewidzenia, są Afroamerykanie i Latynosi oraz kobiety. 14% tych, którzy mają dług za studia, ma też do spłacenia inne zobowiązania kredytowe, co w wielu przypadkach oznacza, że wpadli w spiralę, z której bardzo trudno wyjść.

Niemal co piąty dorosły obywatel USA ma niespłacone należności za studia. Średnio 37 tys. dol.

Mimo to studia za cenę gigantycznego długu nadal się opłacają. Jak wylicza CFR, pracownik z dyplomem college'u, nawet czteroletniego i publicznego (co w Polsce można porównać z licencjatem z przeciętnej uczelni), zarabia średnio 1,8 razy więcej niż osoba bez takich kwalifikacji. Co ciekawe jednak, pomimo kolejnych cykli dekoniunktury w gospodarce Amerykanie swoje długi studenckie spłacają dość sumiennie. W ogóle nie robi tego 3 mln osób, czyli niecałe 7%. Kolejne 270 tys. ma od trzech do dziewięciu miesięcy opóźnienia w uiszczaniu rat, ale nie ogłosiło jeszcze

FOT. AP/EAST NEWS



eprasa.pl 674cf1a68f

niewypłacalności. Reszta płaci. Ile? To zależy, najczęściej od wysokości ich przychodów.

Niektórzy badacze sugerują jednak, że powyższe statystyki przedstawiają nieproporcjonalnie optymistyczny obraz sytuacji, bo nie wiadomo, ilu absolwentów spłaca pożyczki za studia z innych pożyczek, również tych pozabankowych (czyli z instytucji nieobjętych regulacjami federalnymi). Dlatego realny średni dług, sugeruje think tank Education Data Initiative, może być wyższy nawet o 3 tys. dol. na osobę, jeśli wliczać w to właśnie dług zaciągany na pokrycie długu.

Studia za cenę gigantycznego długu nadal się opłacają.

## Zamach na wolny rynek

Dlatego kiedy w październiku ub.r. Joe Biden ogłosił plan częściowego umorzenia długów studenckich, był to dla amerykańskiej opinii publicznej, zwłaszcza jej intelektualnie zaangażowanej części, spory wstrząs. I nie chodziło nawet o same finanse, tylko, jak to często w USA bywa, o poziom zaangażowania rządu federalnego w życie Amerykanów i nienaruszalny wolny rynek. Sama propozycja nie brzmiała ani rewolucyjnie pod względem ideologicznym, ani kontrowersyjnie finansowo. 10 tys. dol. amnestii dla tych, którzy zarabiają poniżej 125 tys. rocznie na głowę (lub małżeństw o przychodach w wysokości 250 tys. dol.). 20 tys. dla tych, którzy otrzymują tzw. grant Pella, czyli wsparcie z publicznych pieniędzy dla najuboższych studentów jeszcze przed zakończeniem przez nich nauki.

Na tle ogólnej debaty o amnestiach pożyczkowych to i tak małe liczby, bo bardziej postępowe skrzydła Partii Demokratycznej, reprezentowane przez takich gigantów polityki jak Chuck Schumer czy Elizabeth Warren, chciały ten limit podnieść do 50 tys. dol. Z kolei Alexandria Ocasio-Cortez, czołowa młoda wojowniczka amerykańskiej lewicy, poparła w pewnym momencie żądania aktywistów, by cały dług studencki anulować za jednym zamachem.

Mimo to niektórzy republikańscy komentatorzy podnieśli alarm, że Biden wprowadza socjalizm i uczy nieodpowiedzialności finansowej. Inni wyliczali, jak wysoki dług mają poszczególni politycy demokratów i ile sami zarobią na reformie. Ocasio-Cortez wciąż nie spłaciła 17 tys. dol., co dla prawicy stanowiło ostateczny dowód, że jest po prostu skorumpowana. Zanim jednak do czegokolwiek w tej materii doszło, do akcji wkroczył Sąd Najwyższy, blokując prezydencką inicjatywę już w listopadzie 2022 r. Ostateczną decyzję wyda mniej więcej za miesiąc, do tego czasu 40 mln Amerykanów, którzy mogliby zapisać się do programu, wstrzymuje oddech. I dalej wstrzymuje spłacanie rat, zawieszone już trzy lata temu decyzją Waszyngtonu z powodu pandemii. Bez względu na werdykt Sądu Najwyższego pieniądze będą musieli przelać, najpóźniej 60 dni po wyroku lub 60 dni po 30 lipca, cokolwiek wydarzy się najpierw.

Bez przeszkód funkcjonują jednak inne elementy polityki amnestyjnej, jak chociażby wprowadzony w 2021 r. program umarzania długów dla pracowników administracji publicznej. Jego początki sięgają 2007 r., ale nigdy tak naprawdę nie został uruchomiony w pełnej skali aż do przejęcia władzy przez Bidena. Do tej pory, jak poinformowała stacja CNN, z ulg skorzystało 610 tys. osób, co spowodowało umorzenie 42 mld dol. z puli długu – 2,5% całości.

W przypadku triumfu administracji Bidena w Sądzie Najwyższym cały plan przyniósłby anulowanie 373 mld dol. długu, a więc mniej niż jednej czwartej całkowitego zadłużenia studenckiego, jak wyliczył think tank Brookings Institution. Po raz kolejny, jeśli popatrzy się na to z szerszej perspektywy, nie jest to liczba rewolucyjna. Ani nie wstrząśnie amerykańską gospodarką, ani tym bardziej tamtejszym systemem bankowym czy uczelnianym, biorąc pod uwagę fakt, że najbogatsze uczelnie mają majątki liczone w dziesiątkach miliardów. I może to właśnie jest najsłabsza strona tego planu – w życiu poszczególnych ludzi zmieni wiele, ale rzeczywistości jako całości nie naruszy. A szkoda, bo akurat w kwestii szkolnictwa wyższego Stanom Zjednoczonym takie naruszenie bardzo by się przydało. Może wtedy, podobnie jak 100 lat temu, pielgrzymki do Kongresu miałyby uzasadnienie z punktu widzenia ogólnego dobra społecznego.

W ciągu stulecia Amerykanie przeszli od pojmowania wyższego wykształcenia jako dobra społecznego do oddania go w ręce rynków finansowych.

*Mateusz Mazzini*
**m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl**

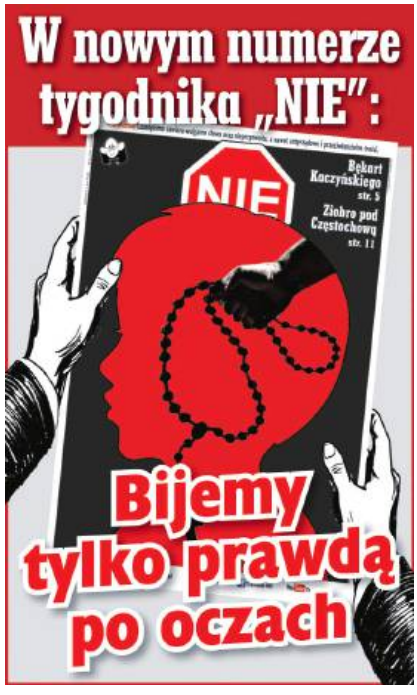




eprasa.pl 674cf1a68f

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

# Lęk przed Rosją

Entuzjazmowałem się przed laty rozpadem ZSRR, ale szybko zacząłem bać się Rosji. Patrzę na tytuły moich artykułów publikowanych niegdyś w „Tygodniku Powszechnym". Już cztery miesiące po rozwiązaniu ZSRR, 26 kwietnia 1992 r., widzę swój komentarz „Rosja zbiera siły". W roku 1993 (10 stycznia) donoszę: „Wygrała Rosja", a potem (8 sierpnia) ostrzegam: „Rosja rośnie w siłę". Gdy następnie we wrześniu Rada Najwyższa detronizuje prezydenta Borysa Jelcyna, nie mam wątpliwości, że jedyną konsekwencją będzie wzmocnienie władzy centralnej. Toteż 3 października, jeszcze przed szturmem wojska na Radę Najwyższą, zapytuję: „Czy przespaliśmy smutę?". Szef „Tygodnika", Jerzy Turowicz, nie jest zadowolony z mojej postawy: „Panie Andrzeju, tam przecież byli komuniści!". Ale ja głoszę swoje, korzystając z tolerancji naczelnego. „Jeżeli państwo depce prawo…" – taki tytuł dajemy z Grzegorzem Przebindą naszemu wywiadowi (21 listopada) z legendarnym dysydentem rosyjskim, Andriejem Siniawskim. „Teraz Rosja!", wykrzykuje tytuł mego komentarza z 31 października.

Byłem przewidujący? Tak, ale na dłuższą metę. Bo z początku moje obawy się nie sprawdzały. Wszak do Rosji nie wróciła despotia – ani bolszewicka, ani carska. Przywódcy rebelii antyjelcynowskiej zostali wprawdzie uwięzieni, ale dość szybko wyszli na wolność. Rozpoczęta niebawem pierwsza wojna czeczeńska zakończyła się względnym kompromisem. Rosja wciąż łapała oddech, szukała miejsca we „wspólnym europejskim domu", o którym dopiero co marzył Michaił Gorbaczow. Uznawałem prawo Rosjan do przeżywania szoku. Rozumiałem, że rozpad ZSRR może być dla nich największą katastrofą geopolityczną XX w. Stanisław Stomma apelował, by „kupować akcje Rosji, póki stoją nisko", a to nie stwarzało dylematów moralnych, bo ani Gorbaczow, ani Jelcyn nie poszli drogą jugosłowiańską. Cokolwiek też mówić, istniały wciąż, odrębne od Rosji, Białoruś i Ukraina – to także była geopolityczna rewolucja. A Rosja, razem z USA i Wielką Brytanią, zagwarantowała Ukrainie niepodległość i terytorialną integralność. Taka była wtedy Rosja, więc przy całym wobec niej lęku trzeba było się postarać i ostrożnie jej zaufać.

Czy to moje zaufanie przeniosło się na Władimira Putina? Tak i nie. Nie – bo jego rozprawa z Czeczenami przeszła w swoim okrucieństwie wszelkie wyobrażenia. Nie – bo szafowanie życiem obywateli stało się jego znakiem rozpoznawczym. Choć przecież Jelcyn i Gorbaczow też mieli krew na rękach. Ale relatywne zaufanie do Rosji mimo wszystko u mnie pozostało. Uznałem, że Putin jest typem rosyjskiego „zapadnika". Że – podobnie jak jego ulubiony władca, Piotr Wielki – chce europeizować Rosję. A Rosja była Europie potrzebna – także jako zapora przed potężniejącymi Chinami. Czy europejska Rosja mogła być niebezpieczna dla Polski – członka Unii Europejskiej?

Bałem się Rosji, ale zagrożenia nie mitologizowałem. Zwalczałem więc, ile mogłem, polską rusofobię. Dziś oczywiście można do woli dworować sobie z ludzi, którzy przez lata wzywali do szanowania europejskiego porządku – takiego, jaki wyłonił się po zimnej wojnie. Można szydzić, że ludziom tym, by przejrzeli na oczy, potrzebny był dopiero 24 lutego 2022 r. Ale nasz pisk – pisk ludzi dobrej woli – i tak nie miał znaczenia: do wojny doszłoby w każdym razie. Co do mnie, mogę mieć satysfakcję, że w tamtym czasie nie uległem instynktowi stadnemu. Że miałem poczucie odpowiedzialności. Że, obawiając się Rosji, brałem własną postawę w nawias, a kierowałem się dobrem zarówno Polski, jak i Ukrainy. Bo nie chciałem w Ukrainie „ofiarnego stosu", pragnąłem zachowania całości jej terytorium.

**Rosja w imię anachronicznych racji „ruskiego mira" zepchnęła miliony ludzi jej życzliwych na pozycje wrogości.**

Przed laty odwiedzała mnie wielokrotnie Ołena – badaczka mieszkająca we Francji, a pochodzącą z ukraińsko-rosyjskiej rodziny z Tarnopola. Wbrew jej i moim rodakom dawaliśmy w rozmowach wyraz świadomości, że Ukrainę z Rosją wiele łączy i że nikomu, także Polsce, nie będzie służyło wykopanie między nimi przepaści. Tymczasem Rosja przepaść taką właśnie wykopała... W imię anachronicznych racji „ruskiego mira" zepchnęła miliony ludzi jej życzliwych na pozycje wrogości i konfrontacji. Pokazała, że jest nacjonalistyczna, agresywna i terrorystyczna. Śmiertelnie niebezpieczna dla Ukrainy jako państwa i narodu, ale też stanowiąca zagrożenie dla Europy i świata. Gdy niedawno Ołena znowu odwiedziła Kraków, przekonałem się, że ta dawna rusofilka jest dziś wrogiem Putina. Czyli tak jak wyżej podpisany, którego dawna obawa przed Rosją zmieniła się w przerażenie.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 674cf1a68f

W wyniku suszy znowu można oglądać bryłę zatopionego w 1962 r. XI-wiecznego kościoła w Sant Romà de Sau.

# Hiszpania walczy z suszą

## Część ludzi o brak wody obwinia turystów

Tomasz Skowronek

Północną Hiszpanię od prawie trzech lat – a dokładnie od 32 miesięcy – nęka susza. Część ludzi modli się o deszcz, podczas gdy inni o brak wody obwiniają turystów. W kwietniu tego roku termometry pokazywały nawet 38,8 st. C.

W obliczu historycznej suszy, która nawiedziła kraj, parafianie w Jaén 1 maja zorganizowali procesję, aby błagać o deszcz wraz z El Abuelo (dziadkiem), XVI-wieczną figurą Chrystusa niosącego krzyż. W procesji wzięły udział tysiące mieszkańców, aby zobaczyć El Abuelo, który nie „wychodził", by prosić o deszcz, od marca 1949 r. „Jesteśmy w uścisku uporczywej suszy i ta procesja ma prosić Pana o pomoc i ratunek – wyjaśnia Ricardo Cobos z Bractwa Naszego Pana Jezusa z Nazaretu. – Jesteśmy bardzo zależni od drzew oliwnych i oliwy z oliwek, a brak wody to katastrofa gospodarcza". Podobne procesje przeszły przez kilka innych miasteczek w kraju. „Po wyjątkowo gorącym i suchym marcu w kwietniu mieliśmy temperatury o 15 st. C wyższe niż normalnie", podsumowuje prezes Hiszpańskiego Stowarzyszenia Klimatologicznego (Aeclim), Alberto Marti Ezpeleta.

Wykresy zdają się wskazywać, że zmiany klimatu przyśpieszają, a Półwysep Iberyjski jest na nie szczególnie narażony ze względu na położenie geograficzne. Jak informuje Ezpeleta, subtropikalne antycyklony utrzymują się coraz dłużej w południowej i śródziemnomorskiej części kontynentu, a okresy suszy są coraz częstsze i intensywniejsze.

W kwietniu opublikowano badanie przeprowadzone przez Politechnikę Katalońską. Wynika z niego, że w latach 1971-2022 liczba dni w roku z letnimi temperaturami wzrosła w Hiszpanii z 90 do 145. Siedem razy częściej notowano w tym okresie fale upałów, a temperatura w największych miastach wzrosła średnio o 3,54 st. C. Według meteorologów ostatnie dwa lata były najsuchsze od 1914 r., kiedy zaczęto prowadzić pomiary.

Kwiecień na Półwyspie Iberyjskim jeszcze nigdy nie był tak piekielny jak w tym roku. Zgodnie z odczytami rządowej agencji meteorologicznej Aemet w andaluzyjskiej Kordobie słupek rtęci pokazał 38,7 st. C, a w prowincji Sewilla 37,8 st. C. Przed lodziarniami tworzyły się długie kolejki. Orzeźwienia szukano także w fontannach i klimatyzowanych galeriach handlowych.

Jak informują raporty Instytutu Zdrowia im. Karola III (ISCIII), sytuacja ta, z rekordami temperatur, które mają zostać pobite w nadchodzących tygodniach, stanowi poważne wyzwanie dla zdrowia publicznego. Według statystyk ekstremalne upały są w Hiszpanii bezpośrednią przyczyną 1,2-1,3 tys. zgonów rocznie.

Rząd w Madrycie robi, co może, by złagodzić skutki upałów. Jego działania nie ograniczają się do tradycyjnych wskazówek: „Lepiej zostać w domu, regularnie się nawadniać, a w razie potrzeby korzystać z kurtyn wodnych w miejscach publicznych". Nikt nie zaleca przywyknięcia po prostu do temperatury i unikania słońca.

Wobec tak skwarnych dni w kwietniu Ministerstwo Zdrowia zaproponowało niektórym regionom, aby krajowy plan działań na rzecz ochrony przed upałami wszedł w życie 15 maja, a nie jak dotychczas 1 czerwca. Chodzi m.in. o dostosowanie rozkładu zajęć w szkołach do ekstremalnie wysokich temperatur. Jednocześnie zapewniono klimatyzację w ośrodkach zdrowia i w metrze. W Andaluzji wzmocniono też służby ratunkowe i o miesiąc wcześniej otwarto publiczne baseny.

To nie wszystko. Zakazane jest chociażby podlewanie publicznych



eprasa.pl 674cf1a68f

i prywatnych terenów zielonych oraz oczyszczanie ulic wodą pitną. Niestety, plany wprowadzenia zakazu napełniania basenów hotelowych zostały niedawno odłożone na półkę, mimo że prywatne gospodarstwa domowe na dotkniętych suszą obszarach – z łącznie 6 mln mieszkańców – nie będą mogły korzystać ze swoich basenów, m.in. z powodu limitu zużycia wody, wynoszącego 230 litrów na mieszkańca dziennie.

Wysokie temperatury to również cios dla hiszpańskich rolników. Warto przy tym zaznaczyć, że Hiszpania jest na trzecim miejscu w Unii Europejskiej pod względem użytkowania gruntów rolnych, a rolnictwo odpowiada w tym kraju za 70-80% zużycia wody. W związku z tym już pod koniec kwietnia rząd w Madrycie złożył wniosek o pomoc nadzwyczajną z Unii. Według koordynatora Organizacji Rolników i Hodowców (COAG) susza dotyka 60% hiszpańskich obszarów wiejskich i już zniszczyła uprawy na 3,5 mln ha. W gminie Kastylia-La Mancha, gdzie nie padało od miesięcy, rolnicy zrezygnowali z uprawy zboża, a zaniepokojeni właściciele winnic nawadniają działki wcześniej, niż planowali.

## Kwiecień na Półwyspie Iberyjskim jeszcze nigdy nie był tak piekielny. W Kordobie słupek rtęci pokazał 38,7 st. C.

Madrycki dziennik „El País" opisał trudną sytuację rolników w tym regionie. Rodzina José Antonia Martíneza próbuje ocalić hektary winorośli za pomocą nawadniania kropelkowego. W ich gminie Tomelloso w prowincji Ciudad Real (w Kastylii-La Manchy, na południe od Madrytu) nie padało od 134 dni. Rodzina właśnie straciła całe zbiory zbóż – straty oszacowano na 25 tys. euro. „Jeśli chodzi o rolnictwo, jedyne prognozy, które się liczą, to prognozy pogody, a nie dużych instytucji finansowych", mówi José Antonio Martínez.

Tomelloso ma 36 tys. mieszkańców, jest tam ponad 23 tys. ha winorośli, a także uprawy jęczmienia, plantacje drzew oliwnych i migdałowych oraz melonów. W wiosce, w której znajduje się największa spółdzielnia winiarska na świecie, Virgen de las Viñas z prawie 3 tys. członków, mówiono kiedyś, że tutejsze winorośle to żyła złota. Kiedy zbiory były dobre, Tomelloso wręcz kipiało dobrobytem: kupowano działki budowlane, wymieniano maszyny rolnicze. Dzisiaj rolnicy coraz częściej walczą o przetrwanie i nie są pewni, czy ich praca ma przyszłość.

Brak wody oznacza wręcz kryzys egzystencjalny dla takich rolników jak Martínez. Coraz trudniej związać koniec z końcem, ponieważ uprawy kurczą się lub nie można zakładać nowych nasadzeń. Zagrożona jest też hodowla, ponieważ rolnicy potrzebują pastwisk, aby wykarmić zwierzęta. Bez tego zmuszeni są kupować dla nich paszę. Jednocześnie brak roślinności uniemożliwia pszczołom wytwarzanie miodu. Pszczelarze stoją w obliczu trzeciego z rzędu sezonu bez zbiorów właśnie z powodu niedoborów wody. „Spodziewane są również straty w sadach, winnicach, w produkcji oliwy z oliwek i uprawie warzyw – ostrzega agrometeorolog Serge Zaka. – Te warunki agroklimatyczne prowadzą do katastrofy rolnej".

Niedobór wody dotyka nie tylko rolników, ale i mieszkańców Hiszpanii w ogóle, gdyż zwyczajnie zaczyna brakować wody pitnej. Wioska Castellcir, ok. 30 km na północ od Barcelony, jest jedną z wielu w Katalonii, które polegają na wodzie przywożonej ciężarówkami. W L'Espluga de Francoli, 100 km na zachód od miasta Gaudiego, od miesięcy woda jest reglamentowana. Codziennie pomiędzy godz. 22 a 7 wyłączane są tam domowe dostawy wody dla 3,6 tys. mieszkańców, a trzy razy w tygodniu cysterna przywozi wodę w celu uzupełnienia zapasów.

Władze katalońskie wcześniej niż hiszpański rząd apelowały do ludności o oszczędzanie wody poprzez branie szybkich pryszniców, zachowanie umiaru podczas mycia naczyń i nienapełnianie basenów. Nie bez powodu – w Katalonii zbiorniki wodne są wypełnione średnio w 26%; rok temu było to 58%.

Poza rolnictwem bardzo duże ilości wody pochłania przemysł turystyczny. Hiszpanię, głównie w sezonie letnim, kiedy opady są najniższe, odwiedza ponad 50 mln gości. Z aktualnej oceny przeprowadzonej przez Barcelońską Regionalną Agencję Rozwoju Miast wynika, że hotele zużywają aż 12% dostępnej wody pitnej. Turysta zużywa przy tym pięć razy więcej wody niż mieszkaniec miasta – podczas gdy przeciętny Hiszpan zadowala się 127 litrami dziennie, zużycie na turystę waha się od 450 do 800 litrów.

Część hiszpańskich mediów zwraca tym w kontekście uwagę na turystykę, grzmiąc, że turyści marnują wodę. Zwłaszcza w Barcelonie – mieście, które masy wczasowiczów regularnie zadeptują. Obecnie toczy się debata, czy hotele w Katalonii tego lata będą mogły napełnić swoje baseny.

Skoro teraz jest tak źle, to jak będzie latem, kiedy mniej pada, tłumnie przyjeżdżają turyści, a zużycie wody drastycznie wzrasta? Tym bardziej że Hiszpania spodziewa się w tym roku rekordowej liczby odwiedzających. W Lloret de Mar latem do 40 tys. mieszkańców dołącza aż 100 tys. turystów. Na całym wybrzeżu Costa Brava populacja rośnie z 265 tys. do ok. 1,2 mln w sierpniu. A to tylko jeden z turystycznych regionów Hiszpanii. Co ciekawe, susza tworzy wręcz nowe atrakcje, które przyciągają zwiedzających. Zeszłego lata władze Katalonii musiały ograniczyć dostęp do zbiornika Sau na północ od Barcelony, ponieważ tłumy chciały zobaczyć zatopiony w 1962 r. XI-wieczny kościół w opuszczonej i zalanej miejscowości Sant Romà de Sau.

Jak podkreśla Javier Martín Vide, profesor geografii z Uniwersytetu w Barcelonie, należy się przyzwyczajać do takich sytuacji: „Ze względu na zmiany klimatyczne musimy się spodziewać, że w nadchodzących dziesięcioleciach susze będą jeszcze częstsze, intensywniejsze i trwalsze".

Nawet w krótkim okresie sytuacja nie wygląda różowo. Końca suszy nie widać. ■

FOT. SHUTTERSTOCK



eprasa.pl 674cf1a68f

# Seniorzy – niedoceniony elektorat

## Opozycja nie ma dla tej licznej grupy wyborców niczego pozytywnego poza niecenzuralnym hasłem ośmiu gwiazdek

*Rybę łowi się na to, co lubi ryba, a nie na to, co lubi rybak!*
Gen. Robert Baden-Powell, twórca skautingu

Małgorzata Żuber-Zielicz

Wszystkie polskie partie polityczne prześcigają się w pokazywaniu młodych twarzy działaczek i działaczy oraz kontaktów z młodzieżowym audytorium, okazują też werbalną troskę o problemy młodych itp. W przypadku PiS jest to działanie racjonalne. Partia ta, ze względu na wykorzystywanie w propagandzie elementów historyczno-religijnych oraz wsparcie kręgów zbliżonych do o. Rydzyka, ma wizerunek formacji retro i w znacznym stopniu takiż elektorat. O ten elektorat zresztą dość sprawnie zabiega, np. efektownymi transferami socjalnymi typu 13. i 14. emerytura. Jednocześnie stara się ostatnio prezentować jako partia nie tylko starszych ludzi i pozyskiwać młodszy elektorat (np. możliwościami kariery). Nie okazuje jednak lekceważenia czy pogardy dla seniorów, ich wiedzy i doświadczenia. Opozycja, głównie reagująca na poczynania rządzących, stara się partię Jarosława Kaczyńskiego naśladować, przynajmniej w sferze wizerunkowej. Gdy jednak dwóch robi mniej więcej to samo, nie jest to wcale to samo.

Dzisiejsze pokolenie 60+ stanowią ludzie urodzeni głównie w latach 50. XX w. w czasie powojennego wyżu demograficznego. Rodziło się wtedy rocznie 700-800 tys. dzieci (dziś ok. 300 tys.). Co prawda, część zabrały już choroby, sporo wyemigrowało, ale nadal są to roczniki dużo liczniejsze od obecnych w wieku 17-30 lat. Co roku też grupa ta jest zasilana przez bliskie jej pod względem kulturowym i doświadczeń życiowych około pół miliona osób w wieku 50+. W Polsce wyborców w wieku 60+ jest obecnie przeszło dwukrotnie więcej niż tych w wieku 18-30 lat. W Warszawie grupa 60+ stanowi już ponad jedną trzecią wyborców. Przy czym seniorzy zdecydowanie częściej biorą udział w wyborach niż najmłodsi uprawnieni do głosowania. Wydawałoby się więc, że tak liczna, właściwie kluczowa grupa powinna być oczkiem w głowie ugrupowań opozycyjnych. Choćby po to, aby jednych wyborców zachęcić do głosowania na opozycję, a drugich zniechęcić do wspierania PiS & Co. Nic z tych rzeczy!

**Wyborców w wieku 60+ jest przeszło dwukrotnie więcej niż tych w wieku 18-30 lat.**

### Zniechęcanie zamiast zachęcania

Co ma zatem opozycja wyborców w wieku 60+ i trochę młodszych? Oczywiście to wymagający elektorat – swoje już widział i w polityce, i w pracy, i w życiu społecznym, ceni doświadczenie i kwalifikacje. Ma dość realistyczne podejście do rzeczywistości – mniej wierzy w obietnice i utopijne wizje. Ma także specyficzne kanały informacyjne, z których czerpie wiedzę o świecie.

Otóż opozycja nie ma obecnie dla tej licznej grupy niczego pozytywnego poza niecenzuralnym hasłem ośmiu gwiazdek. Za to wiele jej komunikatów jest dla osób starszych co najmniej zniechęcających, jeśli nie wręcz antagonizujących.

Zacznijmy od powszechnej w ruchach i partiach opozycyjnych apoteozy młodości. Odmładzają one ciągle siebie i swój wizerunek oraz swoje „twarze", sugerując i mówiąc wprost, że młode jest lepsze od starego. Tymczasem dla starszego pokolenia wiek jest często synonimem doświadczenia i kwalifikacji tak ważnych w efektywnym zarządzaniu, a młodość sama w sobie – już niekoniecznie. Szczytem antagonizowania, stygmatyzowania czy wręcz obrażania seniorów było ukute przez Martę Lempart i upowszechnione w odniesieniu do nich określenie „dziadersi". Z działalnością opozycyjną tej aktywistki wiąże się też zdecydowana intensyfikacja użycia wulgaryzmów po stronie opozycji w debacie publicznej. Przy czym chodzi nie o prezentowane postulaty, ale o (przeciwskuteczne!) formy walki o nie. W tej samej kategorii mieści się naruszanie tabu związanych z życzeniami śmierci bądź choroby, na co w tym wieku jest się szczególnie uwrażliwionym. Tu niestety zdecydowanie bardziej panuje nad językiem PiS & Co. To wszystko, podobnie jak happeningowy styl uprawiania polityki, w oczach wielu seniorów czyni z polityków korzystających z tych narzędzi osoby mało poważne. Nakłada się na to coraz dotkliwiej odczuwany przez elektorat senioralny brak istotnych społecznie programów czy choćby wyraźnych haseł programowych.



eprasa.pl 674cf1a68f

Dla pokolenia, które doświadczyło PRL, akcje polegające na zmienianiu nie świata, bo na to nie było pomysłu, tylko słownika, niektóre działania opozycji są swoistym déjà vu. Bo ta generacja pamięta, jak z ciecia w ramach okazywania szacunku ludziom pracy zrobiono najpierw dozorcę, a następnie wręcz gospodarza domu, co w niczym nie zmieniło ani samego zajęcia, ani jego społecznego prestiżu. Z czego zresztą wszyscy się śmiejemy, oglądając po raz enty „Alternatywy 4" Barei.

W obecnym kryzysie kobietom nie jest łatwo, a w szczególnie trudnej sytuacji są seniorki i im trzeba pomóc. Tymczasem na opozycyjnym topie są feminatywy (a jest jeszcze bardziej progresywna moda – neutratywy). A nie bardzo wiadomo, w jaki sposób podnosi status gościa płci żeńskiej nazywanie go gościnią. Przy czym towarzyszy temu, sugerująca kombatancki status feminatywów, opowieść, że oto w roku 1957 (!) PRL nie miała nic innego do roboty, jak tylko je zwalczać. Zrobiła to ponoć przy pomocy przedwojennego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Zenona Klemensiewicza i jego opinii (!) o przyczynach zjawiska zanikania takich form, ogłoszonej w niskonakładowym periodyku filologicznym. Dla seniora tak daleko idące i forsowane intensywnie zmiany języka to istotna zmiana jego świata, dokonywana przy tym z mało przekonujących dla niego powodów. Trudno więc, by takie akcje go nie odstraszały.

Podobnie ze słynną sprawą owadów w diecie w ramach ochrony klimatu. Opozycja tu się nie dogadała co do wspólnej narracji. I, z jednej strony, zaczęła gorączkowo zaprzeczać i bagatelizować sprawę, a z drugiej… w opozycyjnych mediach pojawiły się dość liczne zachęty i przykłady wykorzystania owadów do celów kulinarnych. Dla kogoś, kto w świecie cenzury nauczył się czytać między wierszami, sprawa była jasna.

Przypominam, że liczny elektorat 60+ może zagłosować na PiS & Co. albo na opozycję lub… pozostać w domu. Przy czym tego pierwszego wyboru może dokonać niekoniecznie z fascynacji obecną władzą i jej działaniami oraz politykami, ale po prostu w przekonaniu, że daje mu to większe szanse na przeżycie niewielu już pozostałych lat w znanym sobie świecie.

## Więźniowie trzeciego piętra

Jak wobec tego opozycja może sięgnąć do gigantycznego potencjału wyborczego elektoratu 60+? Po pierwsze, musi do niego dotrzeć. A ma on swoje, tradycyjne, kanały komunikacyjne. Czyli telewizję, radio, druk oraz… kontakt osobisty. Oczywiście używa też internetu, mediów społecznościowych itd., ale w znacznie mniejszym stopniu niż młodsi i w inny sposób. Telewizję publiczną zawłaszczyło PiS, ale do dyspozycji jest wiele stacji radiowych, można także dość łatwo i tanio zakładać nowe, również w internecie. Najważniejsze jest słowo drukowane – tradycyjny dla seniorów nośnik informacji. Otóż nie mogę np. wyjść ze zdumienia, dlaczego papierowa wersja stołecznego dodatku do „Gazety Wyborczej", którą czytają głównie starsi czytelnicy, jest okupowana przez problemy typowe i istotne dla młodzieżowych czytelników z okolic osławionego „Zbawiksu" czy dla młodych miejskich aktywistów.

Po drugie, opozycja musi zacząć słuchać seniorów, rozumieć ich problemy i punkt widzenia. Seniorzy to nie przedszkolaki, które trzeba tylko „zaopiekować" i zabawić. Wielu seniorów, szczególnie w wielkich miastach, to ludzie o ogromnym doświadczeniu, kwalifikacjach i bardzo sprawnym umyśle. Tymczasem choć w zdecydowanej większości wielkich miast w Polsce istnieją pełnomocnicy prezydentów do spraw młodzieży, to już podobnych pełnomocników, pod dowolną nazwą, do spraw seniorów zwykle nie ma. Chlubnym wyjątkiem jest tu Lublin.

Po trzecie, opozycja powinna zaoferować seniorom coś dla nich ważnego. Ktoś może zaoponować, że trudno przebić np. emerytalne trzynastki. To nieprawda. Dla zamożniejszych emerytów te de facto 100 zł netto miesięcznie to nie jest jakiś szczególny cymes. Są rzeczy bardziej dla nich znaczące.

Nie chcę tu wyręczać polityków w tworzeniu programów ich partii dla seniorów, ale podam dwa

Pamiętaj o 26 maja

Zrób prezent mamie

Przegląd

Kup e-wydanie PRZEGLĄDU tylko 3 zł! ~~4,50 zł~~

E-prenumerata na Dzień Matki:

Miesięczna 10 zł ~~16,90 zł~~
Kwartalna 30 zł ~~49,90 zł~~
Półroczna 50 zł ~~89,90 zł~~
Roczna 100 zł ~~159,90 zł~~

Oferta specjalna dotyczy nr. 21 i 22

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 674cf1a68f

przykłady rzeczy cenniejszych dla wielu starszych mieszkańców miast od stówki na miesiąc. Pierwszy to problem „niewolników trzeciego piętra". W okresie powojennym aż do końca lat 60. XX w. zbudowano bardzo wiele bloków o wysokości trzech-czterech pięter i bez windy. Gdy dzisiejsi mieszkańcy tych domów lub ich rodzice się wprowadzali, brak windy nie był problemem – cóż to są dwa, trzy, cztery piętra. Dziś dla wielu 70-, 90-latków to prawdziwe więzienie – bez pomocy coraz trudniej im wyjść z domu, a jeszcze trudniej wrócić. Ktoś mógłby powiedzieć, że powinni się przeprowadzić. Tyle że opuszczenie w tym wieku mieszkania, w którym przeżyło się całe życie, oraz urządzenie nowego to niesamowity wstrząs. Dochodzi konieczność skorzystania z drogich usług prawnych i wyłożenia sporych sum na wyposażenie i umeblowanie nowego mieszkania – nie wszystko z dotychczasowego lokum będzie pasowało do nowego. A przecież istnieją relatywnie tanie rozwiązania (cóż to jest kilkaset tysięcy złotych na blok z nieraz ponad setką mieszkań), np. instalacja wind zewnętrznych, służących również niepełnosprawnym. Tego nie załatwi pojedynczy mieszkaniec. Tyle że taki program musiałby istnieć i być, niezależnie od licznych możliwych przeszkód, intensywnie (!) realizowany. Wdzięczność uwolnionych „więźniów trzeciego piętra" i ich rodzin gwarantowana.

## Słabszy użytkownik chodnika

Drugim przykładem wykazania się przez opozycyjne samorządy wielkich miast troską o seniorów jest zadbanie o ich bezpieczeństwo na chodnikach. O ile są przepisy nakazujące pieszym i kierowcom zachowanie szczególnej ostrożności na przejściach przez jezdnię, o tyle na chodniku praktycznie żadnych reguł bezpieczeństwa nie ma. No bo chodnik, jak sama nazwa wskazuje, służyć ma głównie pieszym do chodzenia. Prawo do bezpiecznego przebywania na nim ma i niepełnosprawny, i dziecko... Dopóki na chodniku są wyłącznie piesi, tak jest. Piesi poruszają się wolno, każdy jest stosunkowo miękki i nawet w razie przypadkowego zderzenia innemu pieszemu wielkiej krzywdy nie zrobi. Tylko że w ostatnich latach na chodniki wpuszczono (lub sami się wepchnęli, najczęściej wbrew przepisom) licznych rowerzystów oraz użytkowników elektrycznych hulajnóg itp. Teoretycznie rowerzyści mogą się pojawić na chodniku tylko w ściśle określonych okolicznościach (chodnik szerszy niż 2,5 m, na równoległej jezdni dozwolona prędkość powyżej 50 km/godz.). Na dodatek pandemia spowodowała wzrost zapotrzebowania na kurierów rowerowych, dla których liczy się przede wszystkim tempo wykonania usługi. Co więcej – znaczna ich część nie zna polskiego, a więc także naszych przepisów i ostrzeżeń. Nawet pasy na przejściu przez drogę rowerową niczemu nie służą, bo ogół rowerzystów ich nie uznaje. Były co prawda jakieś debaty i próba dostosowania przepisów do nowej sytuacji, ale czysto teoretyczne. W dodatku owych przepisów od dawna ani policja, ani straż miejska nie egzekwuje. Tymczasem zderzenie z rozpędzonym rowerzystą czy użytkownikiem hulajnogi, szczególnie dla seniora np. z osteoporozą, może oznaczać poważne kalectwo. Energia takiego zderzenia może być nawet 50-krotnie (!) większa od energii zderzenia z innym pieszym, a rower czy hulajnoga to kawał twardego żelastwa.

Senior w takiej sytuacji czuje się na chodniku permanentnie zagrożony. Aż się prosi zarówno długofalowa akcja informacyjna dla kołowych użytkowników chodnika, jak i dyscyplinowanie ich przez straż miejską i/lub policję. Zarobek na mandatach kroi się niemały. Niestety, obie formacje są bardziej zaangażowane w wojnę polsko-polską niż w akcje na rzecz bezpieczeństwa obywateli. Choćby na chodnikach…

To tylko przykłady. Warto zwrócić się do rad seniorów, które podpowiedzą kolejne sprawy ważne dla starszych mieszkańców kraju. Jest wiele lokalnych możliwości okazywania przez opozycję troski o seniorów i uzyskiwania ich wyborczego wsparcia.

*Małgorzata Żuber-Zielicz*

## Piotr Kimla

Profesorowie nauk politycznych, analitycy z różnorakich think tanków, komentatorzy badań opinii publicznej, politycy opozycji, dziennikarze, doktoranci, studenci i szeroka publiczność interesująca się polityką od lat zachodzą w głowę, jak to się dzieje, że obecnej partii rządzącej udaje się utrzymać wysokie poparcie społeczne. Chcąc być sprawiedliwym wobec rzeczywistości, trzeba przyznać, że PiS nie rządzi w łatwych czasach. Pandemia oraz wojna w Ukrainie wystarczająco to uprzytamniają. Czy jednak ekipa rządząca nie popełnia błędów, i to kolosalnych? Czy nie obciąża jej liczba tzw. nadmiarowych zgonów, które nastąpiły w czasie covidu? (Czasem przychodzi mi do głowy nieprzyjemna myśl, że o tym zapominamy, bo sami żyjemy). Czy ta ekipa nie gwałci prawa (wola ludu stoi ponad prawem), a tym samym sprawiedliwości? Czy nie dewastuje przyrody, w tym drzew, przyzwalając na bezpardonową ich wycinkę, z czego część naszych rodaków równie skwapliwie, jak bezrozumnie korzysta? Dalej – czy ekipa ta nie jest wewnętrznie skłócona? Czy jedno warcholskie nadużycie władzy nie goni drugiego, co powoduje psucie ustroju państwa? Czy dzisiejsza afera nie kroczy „dumnie" przed wczorajszą? Nie ma potrzeby tych afer wymieniać. Czytelnicy PRZEGLĄDU mają je w pamięci. Mimo to poparcie dla rządzących ma się dobrze.

Widząc to wszystko, sfrustrowani zwolennicy opozycji dochodzą do wniosku, że elektorat PiS musi być umysłowo, intelektualnie ograniczony. Jego „pranie mózgu" odbywa się w bańce medialnej TVP. A także w innych środkach przekazu audialnych i audiowizualnych oraz tytułach prasowych pozostających na usługach rządzących. Również obrona katolicyzmu i przywiązanie do Kościoła musi czynić pisowski elektorat ślepym na fakty. Podobnie strach przed dalszą okcydentalizacją Polski, co w oczach tego elektoratu oznacza koniec tradycyjnej polskości.

Bardziej wyrafinowani analitycy ze smutkiem konstatują, że jedną



eprasa.pl 674cf1a68f

# Teflonowość PiS

## Jedno z wyjaśnień utrzymującego się poparcia dla PiS sprowadza się do nieskomplikowanego faktu, że partia ta dba o swój elektorat

z przyczyn utrzymywania się poparcia dla tzw. Zjednoczonej – bo w istocie skłóconej – Prawicy jest sama natura polityki. Polityka mianowicie to taka dziwna dziedzina, w której nieustannie dochodzi do irytującego rozmywania odpowiedzialności. Irytującego, bo ludzie zatrudnieni w prywatnym biznesie nie mogą pojąć, że są rozliczani ze wszystkiego, do najmniejszego szczegółu, podczas gdy politykom ich pustosłowne obietnice oraz błędy i nieprawości uchodzą na sucho. Ci analitycy mają część racji, ale nie całą. Nie jest bowiem tak, że politycy mogą – jako jedyni w generalnie ciężko pracującym społeczeństwie – grać rolę lekkomyślnych poszukiwaczy przygód bez żadnych przykrych konsekwencji. Jednym słowem, mogą niczego swoim wyborcom nie dawać i nadal cieszyć się ich poparciem.

Jedno z najbardziej przekonujących dla mnie wyjaśnień utrzymującego się poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości sprowadza się do nieskomplikowanego faktu, że partia ta dba o swój elektorat. Dba o niego konsekwentnie i jest w tej dbałości wiarygodna. W zasadzie o żadnej innej partii politycznej w Polsce nie da się powiedzieć, że stale dbała lub dba o swoich wyborców i zapewniła sobie w ten sposób trwałe społeczne poparcie. Miał taką szansę Sojusz Lewicy Demokratycznej i ją zmarnował. Miała taką szansę Platforma Obywatelska i ją zaprzepaściła. Kiedy stwierdzam, że PiS troszczy się o swój elektorat, nie mówię wcale o 500+. To świadczenie otrzymują wszystkie polskie rodziny mające dzieci, chyba że same z niego zrezygnują. Nie mam także na myśli innych świadczeń socjalnych. Mam na myśli to, że partia ta jest konsekwentnym gwarantem obrony ideowych i materialnych interesów swoich wiernych wyborców. Przykładowo można sobie dworować z braku profesjonalizmu rządzących, którzy wezwali ambasadora USA w Polsce Marka Brzezińskiego po wyemitowaniu przez TVN 24 dokumentu „Franciszkańska 3". Można prześmiewczo pytać, czy rząd USA odpowiada za prywatną firmę amerykańską, która jest właścicielem TVN. Ale nie o to chodzi. Stawianie takich pytań zaciemnia zasadniczą sprawę, jaką jest przekaz partii rządzącej skierowany do jej wyborców.

> W zasadzie o żadnej innej partii politycznej w Polsce nie da się powiedzieć, że w trwały sposób dbała lub dba o swoich wyborców.

A przekaz ten brzmi zdecydowanie i jest następujący: nie pozwolimy, by ktokolwiek szargał drogie waszemu i naszemu sercu wartości. W obronie tych wartości pozostaniemy nieugięci i bezkompromisowi. Obrona tych wartości daje nam taką siłę, że niestraszne nam nawet narażenie na szwank naszych relacji z Waszyngtonem.

Można dalej śmiać się z podjętej z dnia na dzień, niezgodnej ze stanowiskiem Unii Europejskiej decyzji o zamknięciu granic Polski dla ukraińskiego zboża. Można drwiąco podnosić, że decyzja ta podała w wątpliwość polską politykę prowadzoną wobec Ukrainy po 24 lutego 2022 r. Ale nie to jest istotą sprawy w kontekście wyborów. Istota sprawy sprowadza się do komunikatu skierowanego do rolników – ważnej grupy wyborców PiS: dbamy o wasze interesy. Nawet jeśli wcześniej popełniliśmy błędy co do ukraińskiego zboża, to wiedzcie, że jesteście dla nas ważni i że w obronie waszego dobrostanu niestraszna nam Bruksela. Zresztą jeśli niestraszna pisowcom Ameryka, to tym bardziej niestraszna Bruksela.

Od zrozumienia przez polityków opozycji – i przejęcia się zdobytą wiedzą – że istnieje zależność między oddanym głosem a przeświadczeniem, że partia polityczna, którą popieram, nie zapomni o mnie, gdy już wrzucę kartkę do urny, zależy wynik najbliższych wyborów. Partie opozycyjne mają bardzo mało czasu na zbudowanie skierowanego do swoich wyborców przekazu: od teraz możecie stale na nas liczyć, mówimy to na poważnie, nie w głowie nam wygłupy. Przekazu, który brzmiałby nie fałszywie, lecz autentycznie w uszach wyborców.

Można, rzecz jasna, zastanawiać się, czy to w ogóle możliwe, skoro partia Szymona Hołowni jest wielką niewiadomą, a Platforma Obywatelska, Polskie Stronnictwo Ludowe i Lewica zdążyły już zawieść pokładane w nich nadzieje. Jeśli jednak zbudowanie przez opozycję powyższego przekazu się nie powiedzie, jeśli wyborcy opozycji dojdą do pełnego niesmaku przekonania, że kłócącym się ze sobą opozycyjnym politykom chodzi nie o dobro wyborców, lecz wyłącznie o ich własne kariery, apanaże itd., wówczas jest wielce prawdopodobne, że władza zostanie w rękach PiS. Nie muszę tłumaczyć, co to będzie oznaczało dla Polski. ■



eprasa.pl 674cf1a68f

# Zachar Prilepin – pisarz uwikłany w politykę

## Nie trzeba zgadzać się z daną książką, by uznać ją za cenne źródło informacji o innych, nawet nielubianych

August Grabski

Zamach bombowy z 6 maja br. w Niżnym Nowogrodzie na Zachara Prilepina, jednego z najbardziej znanych rosyjskich pisarzy, sprawił, że jego nazwisko nagle ponownie zagościło w najważniejszych polskich mediach. Wcześniej – już od kilku długich lat – o Prilepinie w Polsce nieomal nie wspominano. Zadecydowały o tym wybory polityczne tego twórcy.

### Konflikt w Donbasie

Zanim Prilepin stał się w Polsce pisarzem wyklętym, ukazało się u nas kilka jego powieści: „Sańkja" (2008), „Patologie" (2010), „Czarna małpa" (2013). Jednak po 2014 r. promujące go wydawnictwo Czarne zerwało z nim współpracę, gdyż Prilepin zaangażował się jako ochotnik w walkę zbrojną w Donbasie po stronie separatystów. Błyskotliwa polemika Prilepina z Sołżenicynowskim „Archipelagiem GUŁag", czyli powieść „Klasztor", ukazała się w 2016 r. już nie w Czarnym, ale w poznańskim wydawnictwie Czwarta Strona.

Wiele kontrowersyjnych politycznych ocen i przemyśleń pisarza można znaleźć w jednej z kolejnych jego powieści, „Niektórzy nie pójdą do piekła", napisanej w 2019 r. i dotyczącej walk na wschodzie Ukrainy. Mimo że ma podtytuł „Powieść-fantasmagoria", jest to niewątpliwie książka o charakterze autobiograficznym. Przedstawia paradoksalnie zapomniany już nieomal konflikt tlący się na wschodzie Ukrainy od 2014 do 2022 r. W centrum owego konfliktu, w którym Ukraina pogrążyła się po proeuropejskim Majdanie w Kijowie i w którym zginęło kilkanaście tysięcy osób, znalazły się m.in. spór o status języka rosyjskiego, kwestia relacji Ukrainy z Rosją i Unią Europejską oraz kontrowersje wokół niszczenia pomników lewicy i dalszej rehabilitacji Stepana Bandery, OUN i UPA. Doszło wówczas do proklamowania Ługańskiej Republiki Ludowej i Donieckiej Republiki Ludowej oraz do oderwania przez Federację Rosyjską Krymu od Ukrainy.

W takim właśnie kontekście Prilepin zdecydował się na wyjazd do Donbasu i walkę po stronie separatystów, wrogich wobec rządu w Kijowie. Udał się tam jako wieloletni sympatyk i działacz rosyjskiej narodowej lewicy. Wiedział, że zapłaci za swoje zaangażowanie wysoką cenę – nawet w Rosji, gdzie prozachodni, liberalny sektor twórców kultury cieszy się dużymi wpływami. Jak prowokacyjnie pisał w „Niektórzy nie pójdą do piekła": „W rosyjskim show-biznesie można było się przyznać, że w dzieciństwie odgryzłeś gołębiowi głowę, że twoje pozamałżeńskie dziecko jest w sierocińcu, że piłeś ludzką krew i wszystkie pozostałe ludzkie płyny, że twoje dzieci zostały sztucznie wyhodowane, że masz trzy obywatelstwa i ani jednego rosyjskiego, dlatego że to nie kraj, a rzygowiny i trzeba je zmyć proszkiem, proszek już masz; mogłeś wyznać, że masz cztery sutki, dwa pępki, a także specjalne przyssawki na ciele... Ale pojechać na Donbas – mój Boże – to potworne, to niemożliwe".

> Zanim Zachar Prilepin stał się w Polsce pisarzem wyklętym, ukazało się u nas kilka jego powieści.

### Pisarz na wojnie

Proza Prilepina na temat walk w Donbasie na pewno nie ma charakteru prostej politycznej propagandy. Jeśli ktoś oczekiwałby od pisarza idealizacji separatystów i rosyjskiego państwa, będzie bardzo zdziwiony. Współczesna Rosja jawi się tu bowiem jako bezduszny biurokratyczny moloch, pełen zakulisowych rozgrywek politycznych, ambicji oligarchów, korupcji, głuchy na potrzeby zwykłych ludzi, traktujący ich z góry, niezdolny uwzględnić ich potrzeby wolności i sprawiedliwości, wymagający radykalnych reform w duchu lewicy patriotycznej.

Prilepin dostrzega wśród separatystów kilku bohaterów, ale unoszą się też nad powieścią gęste opary alkoholu i chmury papierosowego dymu, pokazane są intrygi i bezpardonowa walka o władzę prowincjonalnych politykierów w Donbasie, antypatyczni „kuratorzy" nasłani do Doniecka z Moskwy, by dławić wszelkie oddolne inicjatywy, w końcu zaś tajemniczy mord dokonany na samozwańczym prezydencie Donieckiej Republiki Ludowej Aleksandrze Zacharczence. Proza pisarza jest przede wszystkim męska, surowa, pozbawiona sentymentów, często wręcz brutalna w swoim realizmie.

Bez wątpienia Prilepin to prawdziwy homo politicus, ale na pewno potrafiący przynajmniej częściowo oddzielić swoją prozę artystyczną od publicystyki. Tę ostatnią uprawia



eprasa.pl 674cf1a68f

Zachar Prilepin zaangażował się jako ochotnik w walkę zbrojną w Donbasie po stronie separatystów. Donieck, wrzesień 2017 r.

**W centrum konfliktu, w którym po Majdanie pogrążyła się Ukraina, były spór o status języka rosyjskiego, relacje Ukrainy z Rosją i Unią Europejską czy kontrowersje wokół dalszej rehabilitacji Bandery, OUN i UPA.**

zwłaszcza na YouTubie, gdzie jego programy kulturalno-polityczne (np. cykl „Lekcje języka rosyjskiego") mają setki tysięcy widzów. Jest również jednym z liderów lewicowej partii Sprawiedliwa Rosja, z której listy dostał się w 2021 r. do Dumy (lecz zrezygnował z mandatu). Zapytany w czasie promocji francuskiego wydania „Niektórzy nie pójdą do piekła" o definicję swoich poglądów, określił się jako zwolennik „prawosławnego socjalizmu". Ta formuła pokazuje kruszenie się dawnych podziałów wśród rosyjskich narodowców: ci od Lenina kontra tamci od Mikołaja II. Jak wspomina w powieści Prilepin: „Siedliśmy przy stoliku pod okapem z ceraty. Jak w moim wiejskim dzieciństwie: tam zawsze była ta cerata. W kącie wisiał, dla ozdoby, narysowany na desce portret Lenina. Pewnie w którymś z domków, gdzie się zakwaterowali, żołnierze znaleźli i tu przynieśli, żeby wszyscy widzieli. Kubań (jeden z separatystów – przyp. AG) cały czas rwał się, żeby do niego strzelić albo wydłubać mu oczy. Uparcie nie lubił wodza światowego proletariatu – to u niego kozackie, dziedziczne. Tak w ogóle to białogwardzistów w batalionie sobie nie przypominam, ale i aktywnego elementu bolszewickiego – także. Nie pamiętam nawet, żeby ktoś się kłócił czy dyskutował na wszystkie te tematy.

Myślę, że wielki spór między niepogrzebanymi nieświętymi relikwiami Iljicza i męczennikiem Mikołajem Romanowem miał jeszcze znaczenie dla Kubania i dla mnie, ale dla ludzi dwadzieścia lat młodszych (a tacy w batalionie stanowili większość) – już nie. Dla nich obaj już umarli. Lenina jednak mogli w kuchni powiesić, a Mikołaja – raczej wątpię. Lenin był dla naszego nieszczęsnego [ukraińskiego] nieprzyjaciela irytujący, stąd dla jakiejś części naszych żołnierzy wydał się na miejscu, pozostałym – nie przeszkadzał".

Choć wśród ochotników wstępujących do oddziałów separatystów byli przedstawiciele najrozmaitszych opcji (narodowi bolszewicy, komuniści, nacjonaliści, neopoganie itp.), bodaj najpoważniejszą siłą byli ci, którzy, choćby deklaratywnie, odwoływali się do prawosławia: „W przededniu Chrztu Pańskiego prościutko w nasz schron trafili z moździerza kalibru sto dwadzieścia milimetrów. W schronie – Awoś i Anapa. Pocisk zawalił wejście, drugi – przebił strop. Pierwszy cud: na chłopaków runęły górne prycze, nie zginęli (chociaż powinni), ale zostali zasypani. Ostrzał jednak trwał nadal, jeśli dwa pociski posłali jak w dziesiątkę – prosto w schron, znaczy, że i trzeci tam powinien trafić. A nie mogą się wydostać. Anapa, jak zrozumiał, że to już koniec – na całe gardło wydarł się do swojego ulubionego świętego: »Wyciągnij nas, do kogo mówię!« – i nagle coś walnęło przy wyjściu, pojawił się prześwit, wyskoczyli ze schronu. I tu, jak można było się spodziewać, trzeci pocisk trafił w schron. Ale obaj żywi. No i tak wojujemy. Myślimy: »Może każdemu żołnierzowi dopasować świętego. Pomoże, nie?«".

Przedstawiony przez Prilepina w powieści stosunek separatystów do Ukrainy jest złożony. Bardzo dobrze pokazuje umowność łatwych publicystycznych etykietek, że ktoś jest „proukraiński" lub „antyukraiński". Pisarz wspomina: „Odświętne, złote naboje przyjemnie było przebierać palcami, chciałoby się ułożyć z nich jakieś słowo albo kilka słów: »Kocham cię, Ukraino« albo też »Poddaj się, chochole«. Nawet lepiej o chochole: [w cyrylicy] litera »ch« świetnie wychodzi z czterech naboi, chociaż nie wolno, to jasne – [ochotnik] Tyson na przykład uważa się

FOT. EAST NEWS



eprasa.pl 674cf1a68f

za Ukraińca. Wielu w batalionie też uważało się za Ukraińców i walczyło za [komunistycznego] Kowpaka przeciwko [faszystowskiemu] Szuchewyczowi, za Machno przeciwko Petlurze, za Bogdana Chmielnickiego przeciwko [propolskiemu atamanowi] Iwanowi Wyhowskiemu, w końcu za kniazia Światosława, Rusicza, praojca nas wszystkich". Podobnie pisze autor o sobie: „Jestem przecież, moi drodzy, w Ukrainie zakochany. Jedno jest smutne: teraz słowa »Jestem od dzieciństwa zakochany w Ukrainie« są na tej samej półce, co »No nie, co też pan, mam nawet przyjaciół Żydów«. Ale jak powiedzieć inaczej, jeśli się kocha?".

Współczesna Rosja jawi się u Prilepina jako bezduszny biurokratyczny moloch, pełen zakulisowych rozgrywek politycznych, korupcji, głuchy na potrzeby zwykłych ludzi.

Jednak stosunek do Prilepina jego dawnych kijowskich kolegów pisarzy stał się nieprzejednany. Będąc w Genewie, Prilepin przeczytał ulotkę ukraińskiego PEN Clubu na swój temat: „Po pobieżnym zaznajomieniu się z pismem stało się jasne, że w Europie nie ma nikogo straszniejszego ode mnie: kijowscy twórcy porównywali mnie do pewnego skandynawskiego zwyrodnialca, który nie tak dawno wystrzelał z karabinu tłum dzieci, wzywali do zatrzymania mnie przy użyciu brutalnej siły fizycznej, zapakowania do paczki i przesłania jej im – a oni już się o mnie zatroszczą. W charakterze uzasadnienia dla tak radykalnych środków wyliczone zostały następujące moje cechy: terrorysta, zabójca ludności cywilnej, maniak, swoim zachowaniem stawiający siebie poza ramami moralności ludzkiej, która teraz w odniesieniu do mnie nie ma zastosowania. W czasach minionych z sygnatariuszami tego listu pijałem piwo i obejmowaliśmy się na powitanie".

Opisywani przez Prilepina „żołnierze Noworosji" to nie tylko mieszkańcy Donbasu, ale też zwolennicy „ruskiego miru" ze wszystkich zakątków dawnego ZSRR, a nawet innych krajów – np. Abchazi, Osetyjczycy, Czesi, Serbowie. Ich doświadczenie walki i kontroli ze strony moskiewskich „kuratorów" często zawierało w sobie element rozczarowania: „Wszyscy tu [w Donbasie] – ciągnąłem zgodnie z oczekiwaniami – czekają, aż kiedyś przyjdzie Rosja. Rosja przyjdzie i będzie porządek, pokój. Ale Rosja tak nie przychodzi. Oczekują jej w jednej postaci, a przychodzi w innej, inaczej. Rosja przychodzi jak walec drogowy. Przychodzi jak maszynka do mięsa. Wszystko pożera i nawet nie wypluwa kości, robi czysty farsz".

Sam Prilepin, który ze swojego majątku i przeprowadzanych przez siebie zbiórek opłacił stworzenie w Donbasie oddzielnego batalionu – po śmierci ludowego przywódcy Aleksandra Zacharczenki, którego uwielbiał – padł jednak ofiarą zakulisowych walk o władzę w samozwańczej Donieckiej Republice Ludowej. Niespodziewanie stał się tam persona non grata: „Ruszyłem [przez przejście graniczne], odjechałem trzy metry, mężczyzna – typowa rosyjska twarz, otwarte spojrzenie, lekka dżinsowa kurtka, blondyn – dogonił szybkim krokiem samochód. Opuściłem szybę, on mi na ucho, nachyliwszy się blisko, żebym wszystko zrozumiał: »Jest pan na naszej czarnej liście. Więcej pan tam nie wjedzie, proszę nawet nie próbować. Słyszy pan? Ma pan zakaz wjazdu do Donieckiej Republiki Ludowej. Żegnam«".

## Wybór w rękach czytelnika

Czy obraz wojny przedstawiany przez Prilepina jest odosobniony? Wydawnictwo Czarne – zasłużone w ostatnich latach w popularyzacji literatury ukraińskiej – wydało w 2021 r. książkę „Apartament w hotelu wojna. Reportaż z Donbasu" słowackiego autora Tomáša Forró. Bez wątpienia jest on „proukraiński", a jego informacje były pomocne w postępowaniach przeciwko kilku czeskim i słowackim ochotnikom z oddziałów donieckich separatystów. Jednak i w jego reportażu znajdziemy obrazy podobne do tych, które przedstawia Prilepin: „Organizacje międzynarodowe rejestrują zbrodnie wojenne dokonywane nie tylko przez separatystów. Urząd Wysokiego Komisarza ONZ i OBWE dokumentują przypadki stosowania tortur, a nawet przemocy homoseksualnej ze strony żołnierzy pułków »Donbas« i »Azow«, a Amnesty International – tortury i zabójstwa, których dopuszcza się pułk »Ajdar«. Ukraińska telewizja poinformowała o przypadku dostarczenia przez bojowników »Ajdaru« matce prorosyjskiego rebelianta paczki z jego głową" (s. 105). W innym miejscu Forró opisuje, jak „członkowie zwykłych rodzin z pobliskiego osiedla [w Słowiańsku] własnymi ciałami zablokowali marsz ukraińskich ciężkich pojazdów wojskowych, a jedna z tych osób dosłownie rzuciła się pod koła potężnego hummera 13. Brygady" (s. 53). Takich fragmentów w reportażu tego proukraińskiego dziennikarza jest więcej – gdyż i on wyraźnie dostrzega, że donbaska historia nie jest czarno-biała.

Spór o granice wolności słowa będzie trwał zawsze. Nie trzeba jednak zgadzać się z daną książką, by uznać ją za cenne źródło informacji o innych (choćby nielubianych), ich racjach lub błędach, sposobie myślenia itp.

Greccy autorzy czytani do dziś: Sokrates, Platon, Arystoteles – akceptowali instytucję niewolnictwa. Setki innych wielkich pisarzy żyjących przed wiekiem XX byłoby zaskoczonych hasłami tolerancji religijnej, demokracji czy równouprawnienia kobiet. Ezra Pound, Louis-Ferdinand Céline, Knut Hamsun byli wybitnymi literatami, a jednocześnie zwolennikami nazizmu. Adolf Nowaczyński czy Zofia Kossak prezentowali poglądy na temat Żydów, o których nie chcielibyśmy pamiętać. Przykłady tego typu można mnożyć. Zgódźmy się jednak może, że – cytując polską noblistkę – „literatura nie jest dla idiotów", i pozostawmy wybór lektur samym czytelnikom.

*August Grabski*



eprasa.pl 674cf1a68f

Oko w oko

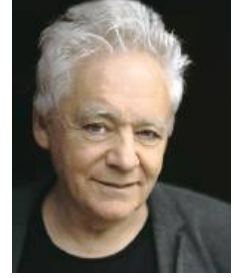

Tomasz Jastrun

# Dożywocie

Męczeńska śmierć ośmioletniego chłopca z ręki ojczyma wstrząsnęła Polską. Ale nawet to ujawniło, jak jesteśmy głęboko podzieleni, ta śmierć też stała się pretekstem do wygłaszania deklaracji politycznych. Przemysław Czarnek, minister edukacji, który wyrasta na czołowego narodowego ciemniaka, mówi, że jego zdaniem winne tragedii były przede wszystkim „zgnilizna i patologia rodzinna", w których egzystował chłopiec. „Jeśli będziemy atakować rodziny, niszczyć je i prowadzić do sytuacji patologicznych u rodzin, to niestety można się spodziewać takich sytuacji. (…) Dlaczego trwa atak na rodzinę i wartości chrześcijańskie, dlaczego jest zohydzanie religii i systemu wartości chrześcijańskich?". Winna jest więc ta liberalna Polska – i oczywiście Donald Tusk. Zapomnijmy o kapłanach pedofilach. Premier Morawiecki i Ziobro również zabierają głos i żądają maksymalnej kary dla oprawcy. Przecież to nacisk polityków na niezależny sąd. Morawiecki raczył powiedzieć, że chciałby kary śmierci, ale ta okropna Unia nie pozwala. Niemiłosierni są nasi miłosierni katolicy. Ja zresztą uważam, że kara dożywocia jest o wiele bardziej dolegliwa niż kara śmierci. Bezwzględne dożywocie zabiera nadzieję, więc więzienie staje się torturą, śmierć uwalnia od cierpienia. U zwolenników kary śmierci działa odruch prymitywnego odwetu. Wszyscy mamy taki odruch, ale człowiek myślący i czujący nad nim panuje.

•

Marcowa nagonka na naukowców w 1968 r. też zaczęła się od hasła „hitlerowskie obozy koncentracyjne" w Encyklopedii PWN, że za dużo tam było o zagładzie Żydów. Teraz na wybitną polską badaczkę Holokaustu spadły gromy po jej wypowiedzi, że Żydzi w czasie II wojny światowej „rozczarowali się co do Polaków". Czarnek pytany o list naukowców w obronie prof. Barbary Engelking mówi: „Analizujemy, z jakich uczelni to jest, i będziemy na to reagować. Nie ma pozwolenia na to, żeby coś, co nauką nie jest, tylko jest zwykłym chamstwem antypolskim, było finansowane za pieniądze Polski". Czarnek zapowiedział, że nie będzie finansował kierowanego przez badaczkę instytutu. No pięknie. Niby PiS to przedwojenna endecja bez Żydów, ale chociaż ich fizycznie w Polsce nie ma, ich duchy potęgą są i basta.

•

Do niedawna brakowało nam tylko ataku prezesa na LGBT i straszenia seksualizacją polskich dzieci. Mówił, że chodzi o to, by „dzieci nie były poddawane praktykom, które z całą pewnością są dla nich szkodliwe i które mogą prowadzić do daleko idących zmian psychicznych, do różnego rodzaju trudności, kiedy będą już starsze, a nawet już w okresie dorosłości. Chodzi o seksualizację dzieci. I to nawet dzieci już bardzo małych, w wieku przedszkolnym. Tego rodzaju praktyki w Polsce mają w tej chwili miejsce. Nie ma bardzo wyraźnej bariery prawnej, która by to uniemożliwiała". Szef PiS, który nie ma żony i zapewne nigdy nie miał partnerki, jest wybitnym specjalistą od tych delikatnych i wstydliwych spraw.

•

Wysokie notowania PiS są jednak zagadką, to nie tylko różne kompromitacje tej partii. Polska mimo wszystko się liberalizuje i laicyzuje, co widać gołym okiem. A obskurancki konserwatyzm PiS także jest oczywisty. Prędzej czy później te zmiany świadomości społecznej muszą się przełożyć na wyniki wyborcze, problem w tym, że jeśli później niż wcześniej, to najbliższe wybory mogą być ostatnimi demokratycznymi, więc takimi, które możemy wygrać. PiS snuje opowieść, że jeśli przegra te wybory, to „koniec Polski". My myślimy na odwrót. Znakomity materiał na wojnę domową.

U zwolenników kary śmierci działa odruch prymitywnego odwetu. Wszyscy go mamy, ale człowiek myślący i czujący nad nim panuje.

•

Przyzwyczajamy się wojny w Ukrainie, do jej okrutnego bezsensu. Okazuje się, że ona trwa, ponieważ Donald Trump nie jest prezydentem. „Jeśli będę prezydentem, będę miał tę wojnę rozstrzygniętą w jeden dzień, w 24 godziny", zapewniał. Zapowiedział też, że spotka się z prezydentami Rosji i Ukrainy. „Obaj mają słabości i obaj mają mocne strony i w ciągu 24 godzin ta wojna zostanie rozstrzygnięta. Będzie skończona, będzie absolutnie skończona". I pomyśleć, że ten złowrogi kretyn może znowu zostać wybrany na prezydenta przez miliony amerykańskich kretynów. Ze spraw zagranicznych, a nam pokrewnych, przygnębia także perspektywa ponownego wygrania wyborów w Turcji przez Erdoğana. Turcja to ważne państwo, most między Europą i Azją, fatalnie, gdyby została stracona dla Europy. Podobnie jak u nas są tam liberalne miasta i prawicowa prowincja. I tak samo ma miejsce robienie z demokracji atrapy. Trump, Erdoğan, Orbán, Netanjahu, Kaczyński – chorzy na władzę, jakże w tej chorobie do siebie podobni. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 674cf1a68f

# Geniusz z pogranicza

## Gdy w 1830 r. odsłaniano w Warszawie pomnik Mikołaja Kopernika, hierarchowie polskiego Kościoła odmówili poświęcenia monumentu i odprawienia mszy z tej okazji

Paweł Siergiejczyk

Każde dziecko w Polsce wie, że „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię, polskie wydało go plemię". Gdy jednak umierał 480 lat temu – 24 maja 1543 r. – daleko mu było do sławy nawet we własnym kraju. Również dla Kościoła katolickiego, z którym Mikołaj Kopernik związany był przez całe życie, odkrycia wielkiego uczonego przez kilka wieków stanowiły raczej problem niż powód do dumy.

Gdyby chcieć krótko scharakteryzować postać Kopernika, trzeba by powiedzieć, że był człowiekiem pogranicza. I to w potrójnym wymiarze. Jego 70-letnie życie przypadło na pogranicze średniowiecza i czasów nowych, których znakiem było odrodzenie kultury. On sam jako młody człowiek zetknął się z renesansem w jego mateczniku, czyli Italii, gdzie studiował na najlepszych wówczas uniwersytetach: w Bolonii, Padwie i Ferrarze. Prawdziwie renesansowy był też zakres jego zainteresowań. Kopernik zajmował się medycyną, ekonomią (zarówno w wymiarze teoretycznym, jak i praktycznym), literaturą piękną (pisał utwory łacińskie i greckie) i oczywiście astronomią, która stała się jego życiową pasją, choć uprawianą amatorsko, gdyż kariera naukowa nigdy nie była celem Kopernika.

### Pogranicze religijne

Był także człowiekiem pogranicza geograficznego i etnicznego. Pochodził przecież z Torunia, który zaledwie siedem lat przed jego narodzinami został włączony do Polski – w wyniku zawartego tam w 1466 r. pokoju z zakonem krzyżackim po wojnie 13-letniej. Częścią Rzeczypospolitej stała się wtedy również Warmia, na której Kopernik spędził większość życia. Cały czas były to jednak tereny polsko-niemieckiego sąsiedztwa, gdzie oba żywioły przenikały się. Trzeba powiedzieć jasno: świat Kopernika był światem zarówno polskim, jak i niemieckim, co w tamtej epoce – jakże dalekiej od późniejszych nacjonalizmów – nie stanowiło sprzeczności, lecz było naturalną symbiozą. Większość znaczących osób w życiu Kopernika nosiła niemieckie nazwiska, począwszy od matki i jej brata, bp. Łukasza Watzenrodego, a na Jerzym Joachimie Retyku, właściwie Georgu Joachimie von Lauchen, skończywszy. To dzięki temu austriackiemu uczonemu epokowe dzieło naszego astronoma – „O obrotach sfer niebieskich" – ukazało się drukiem w Norymberdze tuż przed śmiercią autora. Jakże wymownie brzmi lista nazwisk kolejnych biskupów warmińskich, z którymi przyszło Kopernikowi współpracować: wspomniany Watzenrode (w latach 1489-1512), po nim Fabian Luzjański (właściwie Fabian Tetinger von Lossainen, w latach 1512-1523), następnie Maurycy Ferber (1523-1537) i Jan Dantyszek (właściwie Johannes von Hoefen, w latach 1537-1548), a już po śmierci Kopernika Tiedemann Giese (1549-1550), z którym nasz astronom przyjaźnił się, gdy Giese był jeszcze biskupem chełmińskim. Niemieckie pochodzenie nie oznaczało braku lojalności wobec Rzeczypospolitej. Wręcz przeciwnie, państwo krzyżackie, przekształcone w 1525 r. w Prusy Książęce, miało wśród tych polskich Niemców (lub Polaków niemieckiego pochodzenia) bardzo trudnych przeciwników.

W czasach Kopernika polsko-niemieckie pogranicze etniczne stało się także pograniczem religijnym. Reformacja szybko dotarła na ziemie pruskie: nowa wiara Marcina Lutra stała się religią państwową Prus Książęcych (ze stolicą w Królewcu), ale też wielu mieszkańców polskich Prus Królewskich (Pomorza Gdańskiego, ziemi chełmińskiej, malborskiej oraz Warmii), zwłaszcza tamtejszych mieszczan, chętnie zmieniało wyznanie, porzucając rzymski katolicyzm na rzecz luteranizmu.

**Do kwestii celibatu podchodzono z iście renesansowym dystansem, o czym świadczy intymny związek Kopernika z Anną Schilling.**

Nie mamy żadnych danych, by sądzić, że ten przewrót religijny absorbował umysł Kopernika. Astronom nie był jednak pod tym względem wyjątkiem, bo wielu humanistów tamtej epoki, począwszy od Erazma z Rotterdamu, a na Janie Kochanowskim skończywszy, z rezerwą patrzyło na zajadłe spory między „papistami" i „antypapistami". Na szczęście wielki uczony żył w Rzeczypospolitej, która w XVI w. pozostawała „państwem bez stosów" (by użyć tytułu książki Janusza Tazbira), w dodatku większość jego dorosłego życia przypadła na panowanie Zygmunta I Starego, gdy nowe wyznania dopiero się kształtowały, a postawy katolików – również duchownych czy nawet biskupów – nie były jeszcze jednoznaczne.

Gdyby Kopernik był młodszy o jedno czy dwa pokolenia, z pewnością zostałby wciągnięty w wir konfliktów religijnych, wobec których nie mógłby pozostać obojętny. Oto bowiem



eprasa.pl 674cf1a68f

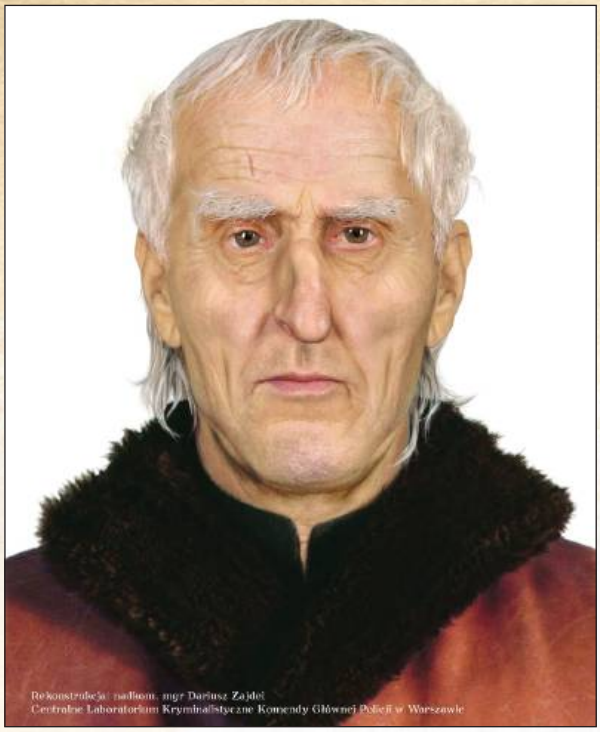


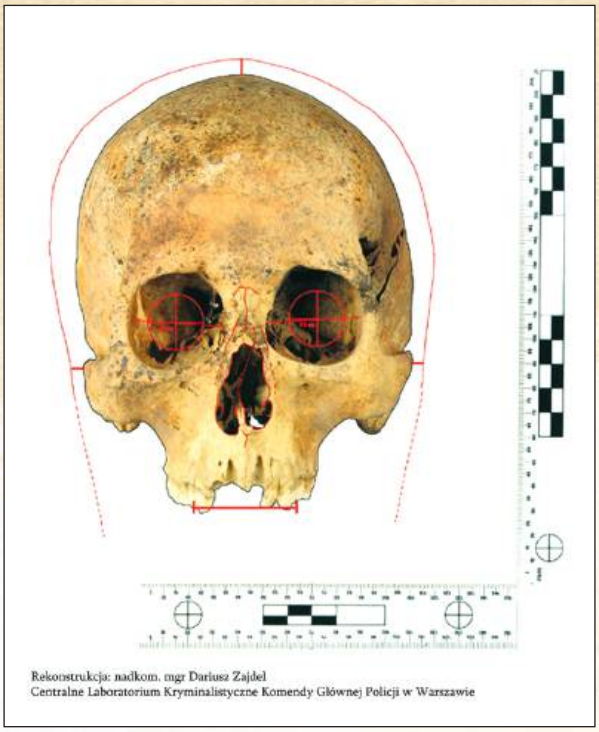


Komputerowa rekonstrukcja twarzy Mikołaja Kopernika wykonana w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym KGP na podstawie czaszki znalezionej w katedrze we Fromborku.

w połowie XVI stulecia popularność wśród polskiej i litewskiej szlachty zdobył kalwinizm (luteranizm pozostał wyznaniem ludności pochodzenia niemieckiego), w czasach Zygmunta II Augusta całkiem realne były plany utworzenia Kościoła narodowego na wzór angielski, ale niedługo potem katolicyzm przeszedł do kontrofensywy i pod koniec stulecia, za rządów pierwszego z Wazów, Zygmunta III, kontrreformacja odniosła wyraźne zwycięstwo. Było to zresztą dziełem nie tyle królów, ile bezkompromisowych duchownych, na czele z kard. Stanisławem Hozjuszem (notabene również biskupem warmińskim, też niemieckiego pochodzenia) i sprowadzonymi przezeń do Polski jezuitami, wśród których wyróżniał się głośny kaznodzieja Piotr Skarga.

## Celibat i Anna Schilling

Oczywiście zwycięstwo kontrreformacji nie było tylko polską specyfiką. Dwa lata po śmierci Kopernika rozpoczął obrady sobór trydencki, który doprowadził do uporządkowania nauki Kościoła, liturgii i dyscypliny wewnątrzkościelnej. Jak w takim potrydenckim Kościele odnalazłby się nasz astronom? Był wprawdzie przez większość życia kanonikiem warmińskim, ale poza pierwszym stopniem święceń, niezbędnym do uzyskania tej funkcji, nie interesowała go dalsza kariera kościelna. W dodatku urząd kanonika otrzymał – podobnie jak jego starszy brat Andrzej – tylko dzięki staraniom wuja, bp. Watzenrodego, co dziś należy oceniać jako zwykły nepotyzm, lecz w tamtym, przedreformacyjnym Kościele stanowiło raczej normę niż coś nagannego.

**Świat Kopernika był światem zarówno polskim, jak i niemieckim, co w tamtej epoce było naturalną symbiozą.**

Chodziło, rzecz jasna, o zapewnienie krewniakom wygodnego i w miarę dostatniego życia, bo kanonicy (czyli członkowie kapituły diecezjalnej) mieli przypisane stałe źródła utrzymania z majątków ziemskich należących do Kościoła.

W przypadku Kopernika taka synekura okazała się zbawienna – dzięki niej nie musiał nigdy troszczyć się o środki do życia i mógł poświęcić znaczną część czasu badaniom naukowym. A ponieważ de facto nie był kapłanem, jego obowiązki zawodowe właściwie miały charakter jedynie administracyjny (dlatego – jako administrator dóbr biskupich – przygotował obronę Olsztyna przed najazdem wojsk krzyżackich podczas ostatniej wojny z zakonem w latach 1520-1521).

Jedynym wyrzeczeniem, które łączyło się ze stanem duchownym, był celibat, lecz i do tej kwestii podchodzono w tamtej epoce z iście renesansowym dystansem. Świadczy o tym sprawa intymnego związku naszego uczonego z Anną Schilling, znacznie młodszą od Kopernika gospodynią jego domu we Fromborku, kobietą ponoć zarówno urodziwą, jak i inteligentną, wykształconą i nawet zainteresowaną astronomią. Dopiero po wielu latach ich wspólnego zamieszkania, prawdopodobnie wskutek intryg nieprzyjaznego Kopernikowi proboszcza kapituły, bp Jan Dantyszek (notabene znakomity poeta renesansowy) wymusił

FOT. EAST NEWS (2)



eprasa.pl 674cf1a68f

usunięcie Anny z Fromborka. Pozycji Mikołaja jednak, a nawet relacjom kanonika z jego biskupem, w sumie to nie zaszkodziło.

Był więc Kopernik przez całe życie człowiekiem Kościoła – i z Kościoła żyjącym – ale miał szczęście żyć w epoce Kościoła znacznie bardziej „otwartego" niż ten, który zatriumfował niedługo po jego śmierci. Ofiarą tej zmiany padło natomiast największe dokonanie jego życia – teoria heliocentryczna, która miała zastąpić przekonanie o tym, że Ziemia stanowi centrum wszechświata. To ostatnie miało uzasadnienie i w poglądach Arystotelesa (którego średniowieczne chrześcijaństwo, za św. Tomaszem z Akwinu, uznawało za najważniejszy autorytet naukowy), i w Starym Testamencie, który wówczas interpretowano literalnie, żadna zatem naukowa weryfikacja biblijnych zdań nie mogła liczyć na zrozumienie. Takie zresztą było przekonanie zarówno gorliwych katolików, jak i równie gorliwych protestantów, z Marcinem Lutrem i Filipem Melanchtonem na czele. Jednak dla dzieła Kopernika to decyzje Kościoła katolickiego miały kluczowe znaczenie.

W dodatku decyzje te zapadały we Włoszech, gdzie uczony w młodości pobierał nauki. Tyle że nie była to już ta sama renesansowa Italia, gwarantująca swobodę ludzkiej myśli i twórczości, lecz Italia barokowa, kontrreformacyjna i żyjąca pod władzą inkwizycji. Już pięć lat po śmierci Kopernika włoski dominikanin Giovanni Maria Tolosani zapoczątkował serię potępień jego dzieła łacińskim paszkwilem „Opusculum quartum". Zupełnie inny dominikanin, Giordano Bruno, który obok wielu uznanych wówczas za heretyckie poglądów głosił poparcie dla teorii heliocentrycznej, trafił w ręce weneckiej inkwizycji i po siedmiu latach spędzonych w więzieniu został spalony na stosie w Rzymie, na Campo de' Fiori, 17 lutego 1600 r.

Podobnego losu uniknął inny wielki uczony tamtych czasów, Galileo Galilei, choć propagowanie nauki Kopernikańskiej i jemu przyniosło kłopoty. Utwierdzony własnymi badaniami w przekonaniu o słuszności heliocentryzmu, Galileusz nie krył swoich zapatrywań, przez co szybko znalazł przeciwników, zwłaszcza wśród włoskich dominikanów. Jeden z nich wysłał doniesienie do rzymskiej Kongregacji Indeksu, papiescy teolodzy zajęli się zatem poglądami Galileusza. 24 lutego 1616 r. eksperci Kongregacji Świętego Oficjum (czyli rzymskiej inkwizycji) uznali za formalną herezję pogląd Kopernika propagowany przez Galileusza, w formie: „Słońce jest środkiem świata i pozostaje nieruchome". Miało to być sprzeczne z nauką Pisma Świętego. Natomiast za błąd w wierze uznano twierdzenie, że „Ziemia nie jest środkiem świata i nie jest w spoczynku".

**Praca „O obrotach sfer niebieskich" 73 lata po pierwszym wydaniu trafiła na indeks ksiąg zakazanych.**

## Renesansowy umiar

Z Galileuszem spotkał się wówczas na polecenie papieża Pawła V kard. Robert Bellarmin, zakazując uczonemu dalszego propagowania teorii Kopernika. Już 5 marca 1616 r. Kongregacja Indeksu potępiła pisma polskiego astronoma, nakazując przy tym wprowadzenie do nich korekty: „Jeśli jakiś ustęp dzieła Kopernika tyczący ruchu Ziemi nie jest hipotezą, winien się nią stać, w ten sposób nie zaprzeczy prawdzie ani Pismu Świętemu". Tak oto praca „O obrotach sfer niebieskich" 73 lata po pierwszym wydaniu trafiła na indeks ksiąg zakazanych, który został utworzony w czasach soboru trydenckiego. Dzieło Kopernika zostało uwolnione z kościelnego indeksu dopiero 25 września 1822 r., a więc zaledwie 200 lat temu.

Natomiast w 1632 r. Galileusz opublikował swój „Dialog o dwóch najważniejszych układach świata: Ptolemeuszowym i Kopernikowym", w którym zwalczał poglądy przeciwne teorii heliocentrycznej. Dzieło od razu zostało objęte papieskim zakazem dalszej dystrybucji, autor był przesłuchiwany w Kongregacji Świętego Oficjum i 22 czerwca 1633 r. usłyszał wyrok, na mocy którego „Dialog" dołączył do ksiąg zakazanych, Galileusz zaś skazany został na dożywotnie więzienie (które od razu zamieniono na areszt domowy) i miał się wyrzec publicznie swoich poglądów, co od razu uczynił. Tradycja wkłada w jego usta słowa, które w tamtej chwili miał półgłosem dodać: *Eppur si muove* (A jednak się porusza). Włoski uczony przeżył jeszcze dziewięć lat. Na uwolnienie z indeksu jego praca musiała czekać dwa stulecia, a Kościół katolicki zrehabilitował Galileusza dopiero w 1992 r., gdy papież Jan Paweł II ogłosił wyniki prac powołanej przez siebie w 1979 r. specjalnej komisji.

Kościelne młyny mełły więc powoli. Zresztą i samo uwolnienie pism Kopernika z indeksu ksiąg zakazanych nie od razu zmieniło stosunek kleru do wielkiego uczonego. Gdy w maju 1830 r. odsłaniano w Warszawie pomnik Kopernika dłuta duńskiego rzeźbiarza Bertela Thorvaldsena, hierarchowie polskiego Kościoła odmówili poświęcenia monumentu i odprawienia z tej okazji mszy.

Dziś nikt już nie podważa prawdziwości odkrycia Kopernika ani jego przełomowej roli w dziejach światowej nauki. W kościelnych publikacjach podkreśla się wręcz fakt, że przez większość życia był kanonikiem warmińskim, a nieraz robi się z niego katolickiego kapłana (którym przecież – z własnej woli – nigdy nie został). Ale chodząc ulicami Kopernika w każdym polskim mieście i miasteczku, warto pamiętać, że genialny uczony był przede wszystkim człowiekiem skromnym, któremu nie zależało na naukowej sławie ani kościelnych zaszczytach. Żył zgodnie z zasadami renesansowego umiaru, którego niestety zabrakło następnym pokoleniom Polaków. Był również dobrym patriotą wielonarodowej Rzeczypospolitej, która za jego czasów przeżywała złoty wiek, ale zarazem światłym Europejczykiem i patriotą swojej małej ojczyzny, Warmii. Był też niewątpliwie człowiekiem pobożnym, lecz zarazem wolnym od wszelkiego fanatyzmu i niechęci do kogokolwiek. I takim go zapamiętajmy.

*Paweł Siergiejczyk*



eprasa.pl 674cf1a68f

KURTYNA W GÓRĘ

## Bufetowa kocha jak Fedra

Skandalizująca historia bufetowej z teatru, której się wydaje, że jest antyczną Fedrą, pojawiła się na offowej scenie we Wrocławiu. Agata Duda-Gracz obudowała spektakl rozmaitymi sekwencjami wokalnymi, tanecznymi i pantomimicznymi. Większość dialogów jest o seksie; trochę śpiewania, trochę wykładu medycznego, trochę wulgarnie i ordynarnie. Czy tak to sobie wyobrażała autorka z Anglii, która zakończyła życie samobójstwem? Warto zobaczyć, trzeba jednak mieć 18 lat.

*Bronisław Tumiłowicz*

**„Fedra, czyli historia flanelowego wstydu" według „Miłości Fedry" Sarah Kane i „Hippolytosa uwieńczonego" Eurypidesa, reżyseria Agata Duda-Gracz, Teatr Układ Formalny, Wrocław, premiera 11 marca 2023**

SERIAL

## Fear the Walking Dead

**twórcy Andrew Chambliss, Ian Goldberg, AMC, poniedziałki, godz. 22**

Serial „Fear the Walking Dead", część kultowej już franczyzy o zombiakach, jak niegdyś „Gra o tron" przyzwyczaił nas do tego, żeby za bardzo nie sympatyzować z żadnym z bohaterów, bo mogą nie doczekać końca odcinka. Do finałowego sezonu udało się uchować Madison, która zrozpaczona po śmierci swoich dzieci próbuje odnaleźć Morgana. Od ostatniego epizodu poprzedniej serii minęło siedem lat. Bohaterowie zdążyli się nieco zmienić, co przekłada się na ich podejście do życia i interakcje z otoczeniem. Dużo tu fatalizmu, bardzo mało nadziei, że coś jeszcze uda się zmienić albo kogoś uratować. A ponowne spotkania poszczególnych postaci zamiast radości przynoszą bolesne wspomnienia. Nie zmieniła się natomiast atmosfera ciągłego zagrożenia – zombie nadal atakują w najmniej spodziewanych miejscach, co buduje napięcie i daje twórcom pretekst do zaprezentowania paru wymyślnych śmierci. Głównym wrogiem jest tu jednak PADRE, organizacja zarządzana przez ocalałych ludzi, czym serial przypomina, że najwięcej złego wyrządzamy sobie nawzajem.

*Artur Zaborski*

MIĘDZY OKŁADKAMI

Akwaeke Emezi
## Głask

**tłum. Kaja Gucio**

**Prószyński i S-ka, Warszawa 2023**

„Myślisz, że wszystko, co widzisz, jest wszystkim, co można zobaczyć" – tę przestrogę wygłasza stwór, w którego istnienie trudno uwierzyć, nawet gdy się go widzi. Głask wygląda przerażająco, wobec tego musi być potworem, tak podpowiada prosta logika, a łatwo zadowalamy się pozorami. Przenika on nagle do świata, w którym potworów już nie ma, bo zostały zwalczone wraz z wszelkimi sposobami gnębienia człowieka przez człowieka (i plagami, które wprost kojarzą się z USA). W utopijnej Lucylli każdemu należy się teraz szacunek i bezpieczeństwo, niezależnie od koloru skóry, identyfikacji płciowej czy tego, z kim tworzy rodzinę. Ale Lucylla ukołysała się poczuciem, że wojna jest zakończona, a pamięć ofiar celebrowana. Nikomu nie może już dziać się krzywda, zwłaszcza dziecku. A jednak. Jak walczyć ze złem, którego ponoć nie ma i które niczym nie zdradza swojej potworności, a kryje się blisko? Łowca zła, którym okazuje się Głask, reprezentuje nadnaturalną, „wyższą" sprawiedliwość, na którą można by się zdać, ale która w rzeczywistości jest zemstą. Ta malująca niezwykle żywe obrazy trochę baśń, trochę przypowieść dla „młodych dorosłych" stawia czytelników przed wyborem, który np. w dzisiejszej Polsce postrzegany byłby jako naiwniactwo. Co tu roztrząsać? Komu potrzebna naprawa społeczeństwa? Kara ma zaspokoić głód odwetu i tyle.

*Aleksandra Pańko*

Dorota Kotas
## Czerwony młoteczek

**Cyranka, Warszawa 2023**

Nowa książka Doroty Kotas jest stara. Zawartość już dawno przeżuta, zwrócona i wymielona. Nuda i przewidywalność. Młoteczek dmuchany, ale kolorowy i z brokatem. Autorka znów napisała o tym samym (o sobie), ale też znów zrobiła to nieźle, językowej maestrii nie można jej odmówić. Ma niesamowite zdolności pisarskie, literacki słuch absolutny, ale ta „wściekła proza" jest na poziomie tematu – ważnego, bo dotyczącego kwesti patriarchatu i ról społecznych – zbyt tania i efekciarska. Dorota wypluwa mocne słowa nieustająco, jednak zamiast głębi mamy tylko publicystyczne mielizny. Znakomicie zadebiutowała „Pustostanami", została zauważona przez krytykę literacką i zdobyła sympatię czytelniczek i czytelników – i chyba jest zakładniczką tego sukcesu. Już „Cukry" były wtórne, a „Czerwony młoteczek" jest wtórnością do kwadratu. Polecam tylko wytrwałym fanom autorki.

*Rafał Pikuła*

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (4)



eprasa.pl 674cf1a68f

Rozmawia Mateusz Demski

# Cena sztuki

## Rynek sztuki jest taki sam jak wszystkie inne i narażony na te same niebezpieczeństwa. W tym przypadku możemy mówić o różnego rodzaju modach

**ANDRZEJ MIĘKUS**
– reżyser filmu „Ile za sztukę" o historii polskiego rynku sztuki

**Posłużę się pytaniem zawartym w tytule pana filmu i zapytam wprost: ile trzeba zapłacić za sztukę i jak ocenić, ile warta jest dana praca?**

– Rynek sztuki jest rynkiem otoczonym nimbem tajemnicy. Bardzo możliwe, że to jedyny rynek, który nie jest ani w jasny sposób zorganizowany, ani 100-procentowo transparentny. Nie do końca wiadomo, dlaczego dana praca kosztuje 100 zł, a inna 1 mln dol. Są pewne rzeczy, na które podczas zakupu można zwracać uwagę. Bohaterowie naszego filmu mówią o tym, że, po pierwsze, warto współpracować z galeriami, patrzeć na rozwój danego artysty. To znaczy, gdzie i w jakich wystawach uczestniczy, a także jak jego prace się sprzedają na rynku aukcyjnym, jeśli na ten rynek weszły. Po drugie, czy praca, którą jesteśmy zainteresowani, jest pracą wczesną, z początków działalności artysty, czy pracą najnowszą. Ale chodzi też o coś innego – coś, co kupujemy, musi nas w jakiś sposób zauroczyć, musi wywoływać w nas jakieś emocje. Natomiast jeśli przyjrzeć się bliżej, to ten rynek nie jest już tak tajemniczy jak dawniej i mam nadzieję, że po obejrzeniu naszego filmu widzowie będą lepiej wiedzieli, jak się na nim poruszać.

**Kolekcjonerzy sztuki kierują się gustem, kupują na dobre oko?**

– To się przydaje. Wojciech Fibak, bardzo doświadczony kolekcjoner, ma świetne wyczucie i z pewnością podejmuje wiele intuicyjnych decyzji. Przy zakupie stosuje jednak pewne zasady. Kupuje prace uznanych artystów – tych, o których się mówi, pisze i którzy są poszukiwani na rynku aukcyjnym. Inny bohater filmu, Łukasz Gorczyca, mówi o tym, że cena jest drugorzędna, zwłaszcza dzisiaj, kiedy mamy dużo większy popyt niż podaż na prace danych artystów. Ważniejsze jest, żeby daną pracę zdobyć, niż zastanawiać się, ile ona kosztuje.

**Którzy polscy artyści najdrożej się sprzedają?**

– Musimy podzielić ten rynek na kilka segmentów. Rozmawiamy o rynku sztuki współczesnej, ale dzisiaj w tym pojęciu zawierają się prace z ostatnich 100 lat. Sztuką współczesną jest sztuka, która powstała po 1945 r., ale jest nią również sztuka najnowsza z ostatnich 20 lat. W pierwszym przypadku mówimy o klasyce awangardy i tam z pewnością najdroższymi artystami są Wojciech Fangor, Roman Opałka, Magdalena Abakanowicz, Alina Szapocznikow. Ich prace są wyceniane co najmniej na kilkaset tysięcy złotych. Najczęściej mówimy o milionach. Rekord należy do Andrzeja Wróblewskiego, którego obraz „Dwie mężatki" sprzedał się za ponad 13 mln zł. Jeśli chodzi o sztukę najnowszą, mamy tak naprawdę dwa przypadki, które były kamieniami milowymi w rozwoju rynku. 20 lat temu – Wilhelm Sasnal, a dzisiaj – Ewa Juszkiewicz, której prace kosztują miliony dolarów, co wydarzyło się w ciągu dosłownie dwóch, trzech lat. Mamy sytuację ciekawą, bo sztuka 20-, 30-letnich artystów z Polski kosztuje już tyle samo, ile sztuka artystów zagranicznych. W tym sensie dogoniliśmy świat.

**Sasnal był pierwszym, który przetarł szlak nowemu pokoleniu polskich artystów. W 2006 r. jego obraz „Samoloty" został sprzedany za 396 tys. dol.**

– Nagle ceny jego prac, które w Polsce kupowało się po parę tysięcy złotych, wystrzeliły do kilkuset tysięcy dolarów. Bardzo istotne jest, żeby zostać zauważonym przez ważne

**Andrzej Miękus** – producent i reżyser niezależnych filmów dokumentalnych oraz innych projektów telewizyjnych i filmowych. Twórca „Dreams" (niezależnej serii przygodowych filmów dokumentalnych dla Canal+ Discovery) i „Aniołów z Sindżaru" (dokumentu zrealizowanego z Hanną Polak). Premiera filmu „Ile za sztukę" odbyła się w ramach 20. edycji Millennium Docs Against Gravity. Od 22 maja seanse w warszawskiej Kinotece. Później też na VOD festiwalu MDAG.



eprasa.pl 674cf1a68f

instytucje na świecie, zwłaszcza galerie. W przypadku Sasnala to była kolekcja Charlesa Saatchiego. W sytuacji Ewy Juszkiewicz analogicznie jest to słynna Galeria Gagosian. Po pierwsze, te miejsca zapewniają ekspozycję. Po drugie, poprzez swoje kontakty z największymi kolekcjonerami gwarantują niesamowitą promocję na rynku światowym. Sasnal debiutował w 1999 r. Na początku lat 2000 był wystawiany w Londynie, Amsterdamie i paru innych miejscach, czego naturalną konsekwencją było to, że zaczął być sprzedawany w największych domach aukcyjnych. Pojawiła się też instytucja, która zagwarantowała mu rozwój. A że Sasnal był przy tym i jest znakomitym artystą, to sobie z tym rynkiem poradził. Dziś jego prace może już nie kosztują tyle pieniędzy, ale nadal są wyceniane dość wysoko i doskonale z tym funkcjonuje. To jest to, o czym mówi w filmie Marta Kołakowska, że zobaczymy, jak będzie z Ewą Juszkiewicz. Teraz ona musi sobie poradzić z rynkiem, żeby nadal być artystką otwartą na nowe kierunki, nowe ścieżki, a nie stać się tylko towarem.

Na Gallery Weekend Berlin praca Karoliny Jabłońskiej została sprzedana za 15 tys. euro.

**Polski rynek zaczął się kształtować stosunkowo późno.**

– Najpierw mieliśmy w PRL okres monopolu przedsiębiorstwa Desa (Dzieła Sztuki i Antyki). W połowie lat 70. rynek sztuki, jako pierwszy rynek w kraju, został oficjalnie za rządów Gierka zdemonopolizowany i wydano pozwolenie na powstanie prywatnych galerii. Potem pojawiły się pierwsze domy aukcyjne. W czasach PRL mogliśmy jednak mówić co najwyżej o handlu sztuką, bo samo słowo rynek było zakazane. Tak naprawdę te 30 lat temu zaczynaliśmy z poziomu zero. Albo, jak to mówi Łukasz Gorczyca, ówczesne ceny świadczyły o tym, w jak głębokiej byliśmy dziurze. Byli artyści, była sztuka, ale nie było pieniędzy. Kiedy pojawiły się pieniądze, mogły powstać komercyjne galerie, które mają podpisane umowy z artystami – reprezentują ich, promują – dokonują także selekcji i mówią, na kogo zwracać uwagę. To naturalny rozwój ekonomiczny i społeczny.

**Brakowało chyba też wizji, którą za PRL tchnął w ten raczkujący wówczas rynek Andrzej Bonarski. Postać może nieco zapomniana, którą pan przypomina.**

– Bonarski był fenomenem. Nie miał związku z rynkiem sztuki. Nikt go nie znał. Przyszedł w zasadzie znikąd, ale cykl wystaw, które zaczął organizować w latach 80., stał się zjawiskiem bezprecedensowym i pokazał, jak ten rynek powinien działać. Na świecie nowoczesny rynek sztuki powstał na przełomie lat 60. i 70., kiedy znaczenie zyskała sztuka ówcześnie współczesna. Krąży taka słynna anegdota o amerykańskim kolekcjonerze, który zgromadził fantastyczną kolekcję prac artystów popartowych. Kiedyś sprzedał je na aukcji z przebiciem, po czym podszedł do niego Rauschenberg, spoliczkował go i skarcił, że zarabia na nich dziesiątki tysięcy dolarów,

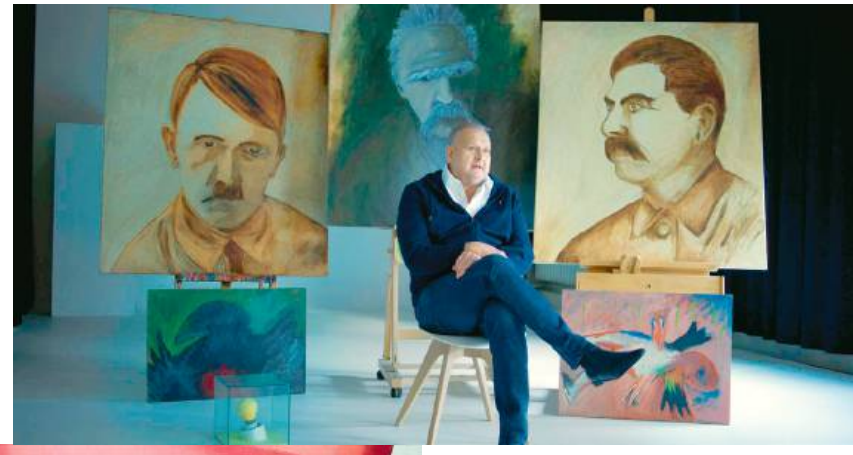

Paweł Kowalewski mówi, że najpierw musieliśmy sobie pokupować samochody i zbudować domy, w których wreszcie można było zacząć wieszać sztukę.

podczas gdy on sprzedawał mu je po 100 dol. Kolekcjoner odpowiedział mu: „Dzięki temu teraz ty będziesz mógł za tyle sprzedawać". Jest w tym dużo racji. Bonarski też się tym kierował i nadal tak to funkcjonuje. Karolina Jabłońska, jedna z naszych bohaterek, jest tego przykładem. Kiedy zaczynaliśmy pracę nad filmem, jej obrazy były mniej więcej dwa, trzy razy tańsze niż dzisiaj. A minęły tylko dwa lata.

**Rynek sztuki składa się dziś z różnych bytów, połączonych skomplikowanymi splotami zależności. Są artyści, ale są też galerie, domy aukcyjne, prywatni klienci. Wyobrażam sobie, że jak każdy system również ten musi mieć wady, ciemne strony.**

– Dawid Radziszewski, galerzysta, mówi, że rynek sztuki jest taki sam jak wszystkie inne. Jest narażony



eprasa.pl 674cf1a68f

na te same niebezpieczeństwa, na które narażone są inne rynki. W tym przypadku możemy mówić o różnego rodzaju modach. Pytanie, jak są one kreowane i czy przypadkiem ktoś nie tworzy ich sztucznie. Nagle ceny prac danego artysty skaczą o kilkaset procent, osiągają kosmiczne wartości, ale nikt nie wie, czy utrzymają się na tym poziomie. Nie można przy tym uzyskać przejrzystości działalności artystycznej. Powtórzę: nie wiadomo, dlaczego obrazek 20 cm na 30 cm jest dziesięć razy droższy niż obraz 2 m na 2 m. Dlaczego coś, co jest przerobioną fotografią, kosztuje więcej niż praca, na którą artysta zużył mnóstwo farby olejnej i poniósł większe koszty. Ale ta nieprzejrzystość jest pozorna. Jeśli zaczniemy patrzeć, kim jest artysta, gdzie wystawiał, kto ma go w swoich kolekcjach, zaczyna to mieć sens.

Inny problem dotyczy natomiast tego, jak rozwijają się poszczególne segmenty rynku. W Polsce mamy obecnie rosnącą grupę kolekcjonerów prywatnych, ale niezbyt dobrze wygląda sprawa z kolekcjonerami instytucjonalnymi. Są muzea i galerie publiczne, tyle że uzależnione od polityki, na którą rynek sztuki nie ma żadnego wpływu. Bardzo ważnym segmentem na świecie są za to kolekcje instytucji, banków czy firm prawniczych, w Polsce w zasadzie nieistniejące. Na pewno ten rynek jeszcze musi się rozwinąć.

**Pojawia się też kwestia tego, że prace kobiet są tańsze niż mężczyzn. Czy nie dochodzi tu przypadkiem do sytuacji, która nosi znamiona systemowej nierówności?**

– Rzeczywiście prace artystów były sprzedawane drożej niż prace artystek. Na szczęście to diametralnie się zmienia, a ostatnie sukcesy pokazują, że jest wręcz odwrotnie i to kobiety zyskały przewagę. Jeśli pan dzisiaj pójdzie do Galerii Raster i powie, że chciałby kupić pracę Karoliny Jabłońskiej, to mogą najwyżej wpisać pana na listę zainteresowanych i może dostanie pan za dwa lata ofertę. Byłem niedawno na Gallery Weekend Berlin, gdzie jej praca została sprzedana za 15 tys. euro. Nierówności można dostrzec pomiędzy artystami uprawiającymi różne formy sztuki. Mirek Bałka mówi o tym, że malarstwo było i zawsze będzie droższe niż rzeźba czy inne formy sztuki, takie jak wideo-art, instalacje czy performance. Malarstwo ma dużo szerszą rzeszę potencjalnych klientów – każdy ma miejsce w domu, żeby kupić sobie coś i powiesić. Z postawieniem rzeźby w salonie może być problem.

**Nierówności można dostrzec i w tym, co podkreśla Dawid Radziszewski – że w świecie sztuki nie istnieje klasa średnia. Jest 1% zwycięzców, którzy biorą wszystko, artyści sprzedawani za miliony, i reszta, która nigdy na tym rynku nie zaistnieje.**

– Znowu, jak we wszystkim, również w działalności biznesowej czy w sporcie, oprócz ciężkiej pracy potrzebne jest szczęście. Trzeba trafić na właściwe osoby, skorzystać z okazji, która się nadarza, i wykorzystać moment. W Polsce mamy trzydzieści parę liczących się galerii komercyjnych, a każda ma pod opieką średnio dziesięć nazwisk. Poza nimi jest cała masa świetnych artystów, którzy z wielu powodów nie zostali odkryci. Podam panu przykład: za dwa miesiące w muzeum Grażyny Kulczyk w Susch rusza wystawa Wandy Czełkowskiej, która zmarła dwa lata temu w wieku 91 lat. To wybitna artystka, na miarę Szapocznikow czy Abakanowicz, ale z racji swojego charakteru i tego, że nie zdecydowała się zostać we Francji w czasach PRL, pozostała nieodkryta. Dopiero po śmierci została zauważona, co do niedawna było standardem. Mirek Bałka mówi na koniec filmu, że fajnie być świadkiem, jak jego prace za jego życia kosztują miliony. To jest też zmiana tego młodego pokolenia. Ci, którzy mają to szczęście i na nie zapracowali, mogą ze swojej działalności artystycznej dobrze żyć i nie robić tylu prac, co np. Edward Dwurnik. Joanna Woś maluje kilka obrazów rocznie. Nad każdym spędza kilka miesięcy, bo ma świadomość, jak są wyceniane.

**Dorobek Dwurnika obejmuje niemal 5 tys. obrazów.**

– Dla porównania Wojtek Fangor zostawił po sobie nieporównywalnie mniej prac. Na aukcjach pojawiają się tylko pojedyncze obrazy. Fangor co prawda należy do najdroższych polskich artystów, ale de facto jego twórczość mogłaby osiągać jeszcze wyższe ceny i być kazusem Marka Rothko, który kosztuje dziesiątki milionów dolarów. Trudniej jest wypromować artystę za granicą, kiedy nie ma jego prac do sprzedania. Nawiasem mówiąc, mamy idiotyczny przepis mówiący o tym, że nie wolno wywozić z Polski prac starszych niż 50 lat bez zezwolenia Ministerstwa

Joanna Woś maluje kilka obrazów rocznie. Nad każdym spędza kilka miesięcy, bo ma świadomość, jak są wyceniane.

PRENUMERATA POCZTOWA PŁAĆ MNIEJ I OSZCZĘDZAJ!
Jeden egzemplarz w prenumeracie 7,50 zł
Zamówienia można składać do 25 maja 2023 r.
We wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy
albo drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl
97,50 zł – III kwartał
195,00 zł – III, IV kwartał



eprasa.pl 674cf1a68f

Zdaniem Mirosława Bałki malarstwo było i zawsze będzie droższe niż rzeźba czy inne formy sztuki.

Kultury. Dotyczy to takich artystów jak Wróblewski, Kantor, Nowosielski. Notabene jest to pozostałość po PRL-owskim przepisie o wywozie towarów wyprodukowanych po 1945 r. W nowej Polsce stał się on jeszcze bardziej absurdalny. To nie jest żadna ochrona polskiego rynku, w tym wypadku to pozbawienie nas możliwości promowania polskich artystów na świecie.

**Ciągle istnieje ryzyko, że tego sukcesu artyście nie uda się osiągnąć. Powołam się ponownie na słowa Radziszewskiego – że zawód artysty to jeden z najtrudniejszych.**

– Krzysiek Grzybacz mówi w naszym filmie o tym, że mama dopiero po jego wystawie na Warsaw Gallery Weekend powiedziała, że go przeprasza, bo nigdy w niego nie wierzyła. Te same słowa 30 lat wcześniej usłyszał Mirek Bałka, który zrobił dyplom na ASP z wyróżnieniem, dostał wszystkie możliwe nagrody, a mimo to mama go pytała: „To fajnie, synku, ale gdzie teraz pójdziesz do pracy?". W pewnym sensie dlatego wybrałem do filmu Monikę Misztal, bo wiedziałem, że jej historia jest podobna. Był taki czas, że wiodła życie szalonej, przebywającej w swoim świecie artystki, a do tego przymierała głodem, jak van Gogh. Z tą postawą też można próbować sobie z tym rynkiem poradzić. Najważniejsze, jak sama mówi, są nie pieniądze, lecz szacunek – żeby ludzie zaczęli doceniać to, co robi.

Monika Misztal kiedyś wiodła życie szalonej artystki, a do tego przymierała głodem.

Trzeba być zauważonym przez ważne instytucje na świecie, zwłaszcza galerie. W przypadku Wilhelma Sasnala to była kolekcja Charlesa Saatchiego.

**Dzisiaj ceny jej obrazów dochodzą do kilku tysięcy euro. W Polsce zapanowała moda na otaczanie się sztuką, rośnie popyt i organizuje się coraz więcej aukcji. Nie daje mi jednak spokoju pytanie, jaka mianowicie jest wiedza Polaków na temat sztuki. Nie ma pan poczucia, że sprowadza się ona do fascynacji twórczością Zdzisława Beksińskiego, która notabene wcale nie cieszy się uznaniem w środowisku, a artyści, o których dzisiaj rozmawiamy, pozostają niedostatecznie znani?**

– Zdecydowanie ma pan rację, że to wciąż ogromna przestrzeń do zagospodarowania. Ciągle jesteśmy na początku drogi. Dopiero teraz jako Polacy dochodzimy do momentu, w którym sztuka zaczyna być ostatnim, jak to nazywam, elementem naszego cywilizacyjnego rozwoju. Paweł Kowalewski mówi, że najpierw musieliśmy sobie pokupować samochody i zbudować domy, w których wreszcie można było zacząć wieszać sztukę. Czekaliśmy na właściwy moment rozwoju. Niefortunnie pomogła w tym pandemia – mieliśmy więcej pieniędzy, bo nie wydawaliśmy ich w trakcie lockdownu, ale mieliśmy też czas na refleksję. Ciągle jednak brakuje wiedzy, która by nam podpowiedziała, którym artystą warto się zainteresować. Ludzie odbierają sztukę intuicyjnie, czego nie można podważać. Beksiński wpisuje się w modę na gatunek tzw. realizmu magicznego, który jest dość efektowny i znajduje klientów. Jego prace należą do najdroższych, jeśli wziąć pod uwagę pokolenie tworzące na przełomie lat 80. i 90. Rzeczywiście są to prace mniej cenione przez galerzystów i historyków sztuki, tylko wie pan – kwestia gustu. Osobiście bardziej cenię Janka Eustachego Wolskiego czy Joannę Woś, ale rozumiem, że można mieć inne zdanie. Jeśli ktoś chce powiesić na ścianie obraz Beksińskiego czy Jacka Yerki, to nie mam z tym żadnego problemu.

*Mateusz Demski*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (5)



eprasa.pl 674cf1a68f

# Jak być dobrymi rodzicami

## Przemoc to nie jest wyłącznie bicie czy zaniedbywanie, ale także nadmierna troska, która uniemożliwia młodemu człowiekowi dojrzewanie

Rozmawia Michał Sobczyk

**JOANNA FLIS**
– psycholożka, pedagożka i psychoterapeutka

**Kiedy możemy powiedzieć, że mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo lub że komuś je zapewniliśmy?**

– Myślę, że wystarczająco dobry dom to taki, w którym dziecko przez większość czasu ma zaspokojoną większość podstawowych potrzeb. Obok fizjologicznych są to potrzeby: bezpieczeństwa, poczucia własnej wartości, przynależności (w tym posiadania więzi i relacji z innymi), autonomii, autoekspresji, realnych ograniczeń (których przestrzeganie służy rozwijaniu samoregulacji) i adekwatności w przeżywaniu emocji. Gdy rodzice umieją zadbać o młodego człowieka w tych wymiarach, owocuje to u niego wewnętrznym spokojem, stabilną samooceną, umiejętnością stawiania granic itd.

Oczywiście nie jest możliwe, żeby w danym momencie każda ze wspomnianych potrzeb była zaspokojona w 100%, ale najważniejsze, by poczucie braku było wyjątkiem, a nie regułą. Jednocześnie nawet jednorazowe, ale drastyczne niezaspokojenie którejś z nich może negatywnie wpłynąć na całą naszą przyszłość – np. gdy dotyka nas przemoc seksualna lub jesteśmy świadkami brutalności między rodzicami. Takie traumatyczne sytuacje mogą, choć nie muszą, trwale nas zranić.

**Napisała pani książkę o tym, co było nie tak z polskimi rodzinami w latach 80. i 90.**

– Olbrzymi wpływ na dzisiejszych 30- i 40-latków miało to, że wychowywały ich osoby, których rodzice na skutek nieprzepracowanych doświadczeń wojennych mieli ogromnie zaburzone poczucie bezpieczeństwa (a dodatkowo ograniczony kontakt z własnym ciałem, wynikający z tego, że musieli zaprzeczać jego potrzebom). To m.in. dlatego wielu z nas, milenialsów, zaszczepiono przekonanie, że świat nie jest bezpiecznym miejscem. Często więc charakteryzuje nas nieufność, w efekcie której chronimy siebie i nasze dzieci przed wpływem innych ludzi.

**Wiele miejsca poświęciła pani ciału, które w tamtych czasach było traktowane opresyjnie.**

– Większość z nas jako dzieci doświadczyła kar cielesnych lub przynajmniej gróźb na tym tle, szarpania za uszy czy zmuszania do wypicia mleka, nawet jeśli go nie znosiliśmy. Powszechne było zawstydzanie w sferze cielesnej, np. wymuszanie obrzydzenia do własnych genitaliów. Miejsca intymne były traktowane po macoszemu, a rozwijające się potrzeby seksualne mocno poddawane ocenie.

**Podkreśla pani też, że od dzieci wymagano dzielności.**

– Duża część z nas była zachęcana do tego, aby w cierpieniu zaciskać zęby i się nie skarżyć. Dopiero niedawno, m.in. przy okazji rozmów o mojej książce, część koleżanek



eprasa.pl 674cf1a68f

i kolegów z podstawówki zaczęła opowiadać o tym, jakie mieli dzieciństwo. Do tego stopnia potrafiliśmy maskować to, co przeżywaliśmy, że nie wiedziałam o trudnej sytuacji niektórych moich przyjaciół i znajomych – że mieli uzależnionych rodziców, byli regularnie bici lub zmuszani do przejmowania ról, które w rodzinie powinni odgrywać dorośli. Dziś borykają się z problemami typowymi dla osób z cechami syndromu DDD, czyli dorosłego dziecka z rodziny dysfunkcyjnej.

**Może on mieć bardzo różne źródła, w tym takie, które nie są powszechnie uważane za patologię.**

– Dysfunkcyjny dom to taki, w którym czegoś ważnego zabrakło na stałe. Przykładowo poczucia bezpieczeństwa, gdyż określone zachowania i postawy dziecka były wymuszane straszeniem (np. piekłem) lub wywoływaniem poczucia winy. Szkodliwe są zarówno postawy rodzicielskie, w których brakuje zainteresowania budowaniem więzi z dzieckiem, przez co czuje się ono nieistotne, jak i nadopiekuńczość, która z kolei zabiera dziecku możliwość budowania własnej sprawczości i autonomii. Bo przemoc to nie jest wyłącznie bicie czy zaniedbywanie, ale także nadmierna troska, która uniemożliwia młodemu człowiekowi dojrzewanie.

Pamiętajmy również, że w okresie transformacji wiele osób popadło w pracoholizm.

**Był on akceptowany społecznie, a wręcz pożądany.**

– Dopiero z czasem zaczęto myśleć o nim jako o uzależnieniu, a od bardzo niedawna trwa dyskusja, czy kultura nieustającego zapracowania aby na pewno nam służy. W latach 90. uważano, że usprawiedliwia ono wieczną nieobecność rodziców, której symbolem stały się klucze na szyi dzieciaków spędzających czas na podwórku.

W jeszcze innym typie domu dysfunkcyjnego wyznawano zasadę, że „dzieci i ryby głosu nie mają", w związku z czym odmawiano młodym osobom prawa do własnych poglądów i stawania w swojej obronie.

**W „Co ze mną nie tak?" wymienia pani jeszcze wiele innych przepisów na niezbyt udane dzieciństwo.**

– Istnieje pewnie nieskończona liczba dysfunkcji rodzinnych, ale ich wspólnym mianownikiem jest to, że młody człowiek nie może zaspokoić tych podstawowych potrzeb, o których mówiłam na początku. Przykładowo nie może się nauczyć szanowania własnego ciała, rozumienia swoich emocji i ich asertywnego wyrażania czy odważnego stawiania czoła życiowym wyzwaniom. Dysfunkcyjny dom poznamy także po tym, że dziecko nie może w nim być sobą, bo musi odgrywać szczególną rolę, pomagającą przetrwać istniejącemu systemowi rodzinnemu – np. maskotki czy bohatera. Stąd tylu dzisiejszych dorosłych, którzy mają wpisaną w swoją historię opiekę nad młodszym rodzeństwem, ale nie taką, która wspierała matkę i ojca, tylko taką, która odbierała dzieciństwo.

**Niedobory, których doznaliśmy w pierwszych latach życia, są w stanie naznaczyć wszystkie kolejne.**

– Osoba z syndromem DDD nadmiernie koncentruje się na brakach, które się w niej wytworzyły, co nazywam dziurą w koszyku potrzeb. Nierzadko wszystko podporządkowuje temu, by ją zapełnić, a jej zapełnić się nie da. Dlatego przeżywa ogromne rozczarowanie, bo bez względu na to, w jakim jest miejscu w życiu, wciąż jej czegoś brakuje. Na przykład wypracowała sobie bezpieczeństwo, ale jest przerażona, bo cały czas spodziewa się jakiejś katastrofy. Jest w dobrym związku, ale nie przestaje marzyć o relacji idealnej. Ma ogrom osiągnięć, a mimo to wciąż uważa, że jest niewystarczająco dobra. Może też być świetnym ojcem lub matką o neurotycznym poczuciu winy wobec dzieci.

**Takie osoby wyobrażają sobie przyszłość jako całkowite zaprzeczenie tego, w czym się wychowały.**

– Jeśli cierpiały z powodu odrzucenia, dążą do stworzenia domu, w którym ich bliscy będą zawsze czuli się mocno kochani, co może prowadzić do postaw nadopiekuńczych. Są często nienasycone, bo wierzą, że możliwe jest osiągnięcie i utrzymanie na stałe pełni szczęścia, a tę iluzję potęgują media społecznościowe, podsuwające wyidealizowane obrazy z życia innych.

**Nierealistyczne oczekiwania to gwarancja rozczarowań.**

– Gdy osoba z cechami syndromu DDD odkrywa, co było nie tak z jej dzieciństwem, często oczekuje od rodziców zadośćuczynienia albo przynajmniej zrozumienia popełnionych błędów i przyznania się do nich, a to prawie nigdy się nie wydarza. Zamiast na to liczyć, dobrze jest poczucie krzywdy zamienić w zaangażowanie w pracę nad sobą: jeżeli jako dziecko nie dostałam tego, co powinnam dostać, spróbuję dać sobie to, na co zasługuję w tej chwili. Koncentracja na przeszłości może nas odciągać od zmieniania swojego życia na lepsze. Warto też własnych rodziców zrozumieć, dali to, co sami

## Koncentracja na przeszłości może nas odciągać od zmieniania swojego życia na lepsze.

## Jesteśmy na maksa egocentryczni, co może doprowadzić do tego, że również nasze dzieci nie będą potrafiły żyć z innymi.

Joanna Flis – prowadzi prywatną praktykę, a na Uniwersytecie Szczecińskim badania nad rodzinami alkoholowymi. Autorka książek „Co ze mną nie tak? O życiu w dysfunkcyjnym domu, środowisku, w Polsce i o tym, jak sobie z tym (nie) radzimy" oraz „Współuzależnieni. Jak zatroszczyć się o siebie i budować zdrowe relacje z osobami uzależnionymi", a także podcastu „Madame Monday".

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



eprasa.pl 674cf1a68f

mieli. Docenić za rzeczy dobre, wybaczyć to, co bolesne.

**Pułapki czyhają na osobę z dysfunkcyjnego domu także w partnerstwie.**

– Często pojawia się w nim paraliżujący lęk przed bliskością lub przed byciem wykorzystanym, albo gigantyczne problemy z rozumieniem potrzeb partnera bądź ujawnianiem, a nawet rozumieniem swoich. Taka osoba może się zatracać w relacjach albo od nich uciekać, w zależności od tego, jaki ma tzw. styl przywiązania. W dzieciństwie tworzymy bowiem matrycę więzi, zgodnie z którą wchodzimy we wszystkie bliskie relacje. Gdy np. podpowiada nam ona, że ludzie, których kochamy, mogą nagle zniknąć albo nas skrzywdzić, robimy wówczas wszystko, żeby to się nie wydarzyło. Co często działa jako samospełniająca się przepowiednia: bardzo nie chcemy być porzuceni, dlatego jesteśmy dominujący i zaborczy, a to ostatecznie doprowadza do rozpadu związku.

Jako rodzice również możemy nieświadomie powtarzać schematy wyuczone w dzieciństwie. Możemy być dla swoich dzieci surowi albo niedostępni emocjonalnie lub przerzucać na nie odpowiedzialność za to, co sami przeżywamy. Albo dawać im za dużo, niczego nie wymagać i nie stawiać granic. Takie może być pokłosie nieznajomości własnych motywów, a osoby z cechami syndromu DDD często nie rozumieją, co nimi kieruje.

**Twierdzi pani, że niektórych deficytów z dzieciństwa nie da się przepracować – zostaną z nami na zawsze. Jak zatem z nimi postępować, by nie zatruwały życia nam ani kolejnym pokoleniom?**

– Jeżeli mamy poczucie, że, obiektywnie patrząc, nasze życie jest całkiem niezłe, a mimo to cierpimy i mamy wrażenie, że kręcimy się w kółko, wtedy warto się przyjrzeć właśnie syndromowi DDD. Dobrze to zrobić ze specjalistą, przynajmniej w pierwszej fazie, żeby zrozumieć swoje schematy i tendencje w postępowaniu. A jeżeli syndrom tak bardzo komplikuje nasze funkcjonowanie, że zaczynamy chorować na depresję albo zaburzenia lękowe, zacznijmy od udania się do psychiatry i przeleczenia tych konsekwencji.

Gdy już odkryjemy dziury w naszym koszyku, takie jak niskie poczucie własnej wartości, warto rozpocząć pracę nad rozpoznaniem, w formie jakich przekonań, postaw i emocji manifestują się one w nas.

**I co wówczas?**

– Wtedy pozostaje nam nauczyć się je akceptować, bez prób siłowania się z nimi czy nadrabiania ich. Bo problem z dziurami w koszyku polega nie tyle na tym, że one tam są, ile na tym, że bardzo próbujemy coś z nimi zrobić albo im zaprzeczyć.

Musimy ponadto być czujni, by nie rzutować swoich problemów na nasze dzieciaki. Na przykład gdy mamy problemy z asertywnością, nie możemy nadmiernie koncentrować się na tym, żeby one były asertywne, bo często przeszkadzamy im w wytworzeniu własnych postaw.

**Czego jeszcze musimy się nauczyć, by być dobrymi rodzicami?**

– Nieodbierania dzieciom sprawczości, a więc niemyślenia i niedecydowania za nie. Bardzo często strasznie się o nie boimy i w związku z tym nadmiernie je kontrolujemy, co może być dla nich w przyszłości ogromnym kłopotem. Już dziś widzimy, że brakuje im motywacji oraz samodzielności, i na to często narzekamy, a z drugiej strony dajemy im mały margines swobody. Obecnie dzieci nie mają nawet okazji pokombinować, jak po swojemu rozwiązywać problemy, bo wszędzie stoi jakiś dorosły, który od razu biegnie z pomocą. Obserwuję to np. na placach zabaw, na których rodzice momentalnie interweniują, kiedy maluchy zaczynają się kłócić o łopatkę.

Druga rzecz, nad którą musimy popracować, to życie we wspólnocie. Odkryliśmy, że nasze potrzeby są ważne, ale zapomnieliśmy, że potrzeby innych również. I że współpraca jest tak samo istotna jak zajmowanie się sobą. Jesteśmy na maksa egocentryczni, co może doprowadzić do tego, że i nasze dzieci nie będą potrafiły żyć z innymi.

**Jakie warunki społeczne sprzyjają byciu dojrzałym i szczęśliwym dorosłym? Wszyscy powinniśmy iść na terapię albo przeczytać pani książkę i wykonać zawarte w niej ćwiczenia?**

– Nie wydaje mi się, żeby wszyscy potrzebowali terapii, ale na pewno każdy z nas potrzebuje nauczyć się uczciwie rozmawiać o tym, co się z nim dzieje. Mamy skłonność do ukrywania nieprzyjemnych emocji i cierpienia w samotności, tymczasem bez przyjaźni i otwarcia się na siebie nawzajem daleko nie zajdziemy. Bez wsparcia drugiego mądrego dorosłego większość z nas nie poradzi sobie z rozczarowaniem swoim życiem.

Często wierzymy w to, że tylko my czegoś nie potrafimy zrobić albo że nasze porażki jako rodziców bądź partnerów są odosobnionymi doświadczeniami, a tak przecież nie jest. Gdy zaczynamy spotykać się z innymi ludźmi, nagle się okazuje, że wszyscy jesteśmy nieco rozgoryczeni i trochę zmęczeni, że wszystkim nam doskwiera poczucie winy i zawstydzenie. Że większość z nas trochę inaczej wyobrażała sobie miejsce, w którym znajdzie się np. w wieku 40 lat. Zrozumienie, że borykamy się z podobnymi trudnościami, jest dobrym punktem wyjścia do zmiany.

Bez wsparcia drugiego mądrego dorosłego większość z nas nie poradzi sobie z rozczarowaniem swoim życiem.

Osoby z dysfunkcyjnych rodzin nierzadko wszystko podporządkowują temu, by zapełnić dziurę, której zapełnić się nie da.

*Michał Sobczyk*
**m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl**



eprasa.pl 674cf1a68f

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

# Jednostka chorobliwa

Złego gnoma w baśni Grimmów można było unicestwić tylko, czym prędzej odgadując jego imię. Baśń to nadzwyczaj żywotna, bo z pokolenia na pokolenie nasila się lęk ludzkości przed tym, co nienazwane. Dziś próżno szukać najdziwaczniejszych nawet upodobań lub przypadłości, które nie miałyby swojego miejsca w katalogu patologicznym. Młode matki licytują się na listy chorób zdiagnozowanych u ich dzieci, które w tym czasie zdrowo i wesoło popylają na placach zabaw. „Mój ma ADHD i zespół niespokojnych nóg, boję się też u niego dysleksji i chyba zdradza objawy awitaminozy", „Mój ma tylko ADD, ale podejrzewam spektrum autyzmu, no i w nocy doskwiera mu bruksizm", „Oj, ja bym nie mogła spać, a wiesz, że przy moim ChAD to byłoby zabójcze", „No, wiem coś o tym, mąż cierpi na insomnię, a teraz ma epizod SA", „Żeby tylko nie sięgnął po alkohol, to byłby cios dla ciebie jako DDA". Zoomerzy już w ogóle za dziwoląga mają kogoś, kto „nie jest w terapii", bo to oznacza nie zdrowie psychiczne, tylko uporczywe unikanie leczenia. Psychoszalbierze w prywatnych gabinetach zacierają ręce, mówiąc: „Dajcie mi człowieka, a znajdzie się dla niego jakaś jednostka chorobowa". Niegdyś hipochondria była objawem nerwicowym, dzisiaj podejrzenia budzi przekonanie o byciu zdrowym (chorobliwe, a jakże).

Owóż, idąc z duchem czasu, zdiagnozowałem u siebie mizofonię. Za pradawnych słowiańskich czasów, w których się wychowałem, nazywano ją dźwiękowstrętem i straszono nią jako jednym z objawów wścieklizny dzieci wiejskie. Posługiwałem się dzięki temu medycznym argumentem w sporach z ojcem, który wiecznie łomotał w drzwi mojego pokoju, domagając się przyciszenia muzyki – „Zbadaj się, stary, bo może masz wściekliznę!". Pomijam całkiem oczywistą i zupełnie niepatologiczną nadwrażliwość na hałasy (nomen omen w przedwojennym tłumaczeniu gnom z baśni Grimmów nosił imię Hałasik). Źle się czuję w dużych miastach, metropolitalny zgiełk kompletnie mnie rozstraja, najbardziej nieznośne są dla mnie odgłosy silników, zwłaszcza kiedy słyszę auta lub motocykle bez tłumików. Zmotoryzowane buhaje pierdzą rurami wydechowymi, oznajmiając swoje panowanie na dzielni, a we mnie budzi się instynkt morderczy. W przedecybelowanym tłumie czuję także lęk, że „nikt nie krzyknie nawet, kiedy upadnę w zgiełku zmotoryzowanym", ale pozostańmy przy tej lirycznej definicji, nie nadając jej nazwy psychiatrycznej.

Mizofonia także zupełnie naturalna, a nawet dowodząca racjonalnego oglądu rzeczy, dotyczy głosu Jarosława Kaczyńskiego. Niestety, nikt jak dotąd nie nazwał po imieniu tego złowieszczego gnoma, bo wciąż truje atmosferę, wymlaskując perory w tembrze Gomułki i Smerfa Marudy. Są równie odpychające fonicznie, co retorycznie. Na przykład charakterystyczne nadużywanie liczby mnogiej w przypadku bożyszcza ludu pisowskiego akurat wynika nie z jego jednojajowego bliźniactwa, ale z megalomanii i paranoicznego utożsamienia się z narodem. Kaczorek używa pluralis maiestatis nie dlatego, że wychowywał się w jednym kojcu ze swoim sobowtórem, lecz dlatego, że za każdym razem, kiedy myśli: „ja", mówi: *„we – people"*, co implikuje te wszystkie „musimy", „zwyciężymy" etc.

Jak żyć spokojnie, pamiętając o tym, że żyjąc, tracimy życie?

Jest jednak jeden objaw mizofonii będący elementem innego lęku, który mi życie uprzykrza i nijak nie da się go uznać za powszechny. Nie zasnę przy tykającym zegarze, nie rozumiem, jak ludzie mogą to nie tylko znosić, ale i uznawać ten odgłos za kojąco-kołysankowy. Dla mnie każdy ruch wskazówki jest jak piekielnie wyszeptywane memento mori – zegar cyka co sekundę: „śmierć, śmierć, śmierć". Zarabiam za mało, by „być w terapii", więc po prostu, sypiając w gościach, wystawiam wszystkie zegary ścienne lub wyjmuję im baterie, w ciężkich przypadkach zegarów antyków blokuję wahadła na czas snu, nie bacząc na zgubne skutki wobec zabytkowego mechanizmu. Zarabiam za mało, aby „być w terapii", więc sam się domyślam, że doskwiera mi niejaka chronofobia – jak bowiem żyć spokojnie, pamiętając o tym, że żyjąc, tracimy życie? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 674cf1a68f

# Seks w epoce zmian

## Mężczyźni mają słabszy popęd niż kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu, andropauza dotyka ich wcześniej niż przed laty

Wojciecha Harpula,
Maria Mazurek

**DR N. MED. ANDRZEJ DEPKO**
– neurolog oraz seksuolog, prezes Polskiego Towarzystwa Medycyny Seksualnej, członek Europejskiego oraz Światowego Towarzystwa Medycyny Seksualnej

**Czy to prawda, że mężczyźni coraz częściej unikają seksu?**

– Zanim odpowiem, zróbmy krok wstecz. Przez wieki panowało przekonanie, że to mężczyznom bardziej zależy na seksie. Taki osąd wynika z faktu, że przez kilka tysięcy lat patriarchalny system wprowadzał szereg ograniczeń dla kobiecej seksualności. Narzędziami represyjnymi stały się religia i kultura, dzięki którym możliwe były kontrola i reglamentacja seksualności kobiet. Nakładano na nie gorset norm moralnych, obyczajowych i prawnych. Mężczyźni w tym zakresie cieszyli się o wiele większą swobodą. Mogli mieć kochanki, nałożnice. Przygodne kontakty seksualne mężczyzn były zasadniczo tolerowane. Natomiast kobieta miała być wierna.

**Może mężczyźni ograniczali seksualność kobiet, bo podświadomie odczuwali lęk, że są one tak samo „rozwiązłe" jak oni?**

– Motywacją mógł być lęk mężczyzn przed wychowywaniem nie swoich dzieci. Istotną rolę odgrywał problem dziedziczenia. Gdyby kobiety mogły czerpać przyjemność seksualną bez ograniczeń, wówczas nie do końca byłoby wiadomo, kto jest sprawcą ciąży. Który mężczyzna jest ojcem urodzonego dziecka?

Brak efektywnej antykoncepcji wymuszał inne rozwiązania w kontrolowaniu kobiecej seksualności. Kaganiec moralności nadawał się do tego najlepiej. Wystarczyło narzucić społeczeństwu określone rygory. Dlatego przez wieki mężczyźni zabraniali kobietom korzystania ze spektrum zachowań seksualnych na równych z nimi prawach.

**A teraz?**

– Teraz, po dekadach zmian wyrównujących pozycje obu płci, kobiety mogą funkcjonować w sferze erotyki w taki sam sposób jak mężczyźni. Są wyemancypowane, w dużym stopniu niezależne finansowo od nich, uwolniły się od strachu przed niepożądaną ciążą i w związku z tym mają prawo i możliwości, by działać zgodnie z zasadami, które piszą same dla siebie. To dla mężczyzn nowa sytuacja. Do tej pory to oni ustanawiali reguły obowiązujące kobiety, także te dotyczące seksualności. Teraz to kobiety zarządzają tą sferą życia, jak chcą, formułują oczekiwania i wymagania. Na tę sytuację nakłada się biologiczny kryzys męskości. W efekcie mężczyźni uprawiają seks coraz rzadziej. I coraz rzadziej są w stanie to robić. Liczba mężczyzn, także będących w stałych związkach, którzy unikają seksu, się zwiększa. Widzę to w swoim gabinecie.

**Ilu jest w Polsce mężczyzn, którzy unikają seksu?**

– Mężczyzna może unikać seksu z powodów zdrowotnych lub psychicznych. Tę pierwszą grupę można szacować na ok. 20%. Drugą – kolejne 10%. W sumie ok. 30% mężczyzn w Polsce mierzy się z problemami związanymi z seksualnością.

**Sporo.**

– To prawda. Prawdopodobnie będzie ich jeszcze więcej.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI



eprasa.pl 674cf1a68f

**Dlaczego?**

– Bo nic nie wskazuje na to, żeby miały zmienić się czynniki środowiskowe wpływające na biologiczny kryzys męskości.

**A jak on się przejawia?**

– Gdybyśmy zajrzeli do podręczników medycznych sprzed 40 lat, zobaczylibyśmy, że za normę uważano liczbę plemników w ejakulacie wynoszącą 60-200 mln w jednym mililitrze. A według aktualnych wytycznych Światowej Organizacji Zdrowia mężczyzna musi mieć zaledwie powyżej 15 mln plemników w jednym mililitrze ejakulatu, aby jego wynik był prawidłowy. To ogromna różnica. Naukowcy obserwują ten obniżający się wskaźnik z dużym niepokojem. Powszechnie obecne w środowisku substancje chemiczne, w tym żeński hormon estrogen, powodują zaburzenia funkcjonowania męskiego układu hormonalnego. Mężczyźni mają słabszy popęd niż kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu, andropauza dotyka ich wcześniej niż przed laty. Obniżenie libido wynika też z coraz bardziej intensywnego stylu życia i pracy. Stres powoduje wyrzut kortyzolu, który jest wrogiem testosteronu. Kiedy rośnie stężenie kortyzolu, spada stężenie testosteronu, odpowiadającego m.in. za popęd seksualny. Pod wpływem permanentnego stresu wydziela się również więcej prolaktyny, która skutecznie wygasza potrzeby seksualne.

Ponadto ogromna liczba bodźców trafiająca codziennie do naszego układu nerwowego niezwykle go obciąża. Mózg przestaje sobie radzić z przetwarzaniem wszystkich impulsów. Psychiczna przestrzeń, którą możemy wykorzystać np. na sferę intymności i seksu, się kurczy.

**Faceci nie mają siły na seks?**

– Przemęczenie i przebodźcowanie z pewnością nie wpływają korzystnie na libido. Niektórzy mężczyźni wybierają też drogę na skróty.

**Czyli?**

– Sięgają po pornografię. Olbrzymi sukces ekonomiczny serwisów pornograficznych nie wziął się z niczego. Zapotrzebowanie na tego typu materiały jest bardzo wysokie. Dzięki internetowi i smartfonom w każdej chwili możemy mieć dostęp do dowolnego typu pornografii. Wystarczy kliknąć. Sięgając po pornografię, można zaspokoić się samemu. Jeżeli ktoś rozładowuje napięcie w taki sposób, to nie będzie zainteresowany budowaniem więzi z drugą osobą.

**Bo po co zabiegać, starać się, martwić, czy da się radę, jeśli można odpalić stronę w internecie i wybrać jakąś z miliona kobiet?**

– Zabieganie, staranie się i myślenie o potrzebach drugiej osoby to zupełnie normalne elementy budowania i utrwalania relacji. Owszem, kobiety są coraz bardziej świadome, znają własne potrzeby i pragnienia w sferze seksualnej, coraz częściej potrafią je artykułować. Ale czy to źle? Przecież mężczyzna może wyjść naprzeciw tym oczekiwaniom. Dzięki temu ich relacja seksualna może się niezwykle wzbogacić, znaleźć na wyższym poziomie. Jeżeli mężczyzna nie chce podjąć wyzwania, bo uznaje, że łatwiej i szybciej jest samemu zrobić sobie dobrze przed ekranem monitora, to świadomie rezygnuje z możliwości pogłębienia więzi z kobietą. I ryzykuje, że ta więź może coraz bardziej się osłabiać.

Poza tym pornografia zaspokaja tylko powierzchowną potrzebę rozładowania napięcia. Dlatego czasem korzystanie z niej staje się kompulsywne. Pojawia się bodziec powodujący napięcie – niekoniecznie seksualnej natury – więc sięgam po pornografię i się masturbuję. Napięcie spada, jestem przez chwilę odprężony. Ale demotywuje mnie to do podejmowania współżycia z partnerką. Nie mam ochoty, nie zależy mi na tym. Ona traktuje to jako odrzucenie, pojawiają się pytania z jej strony, więc jeszcze bardziej się od niej odwracam.

Czynników, które wpływają na to, że mężczyźni mogą przedkładać masturbację nad seks z partnerką, jest o wiele więcej. W dużej mierze zależą od konkretnej osobowości wiążą się z procesem wychowania, kształtowania priorytetów i umiejętności radzenia sobie z problemami. Świat stawia przed współczesnymi mężczyznami zupełnie inne wymagania niż przed ich przodkami. Czego potrzebował człowiek pierwotny, żeby przetrwać?

**Siły?**

– Tak. Siły, wytrzymałości, umiejętności polowania. To decydowało, czy przeżyje i będzie w stanie nakarmić swoją kobietę i dzieci. Priorytety były jasne – przyniósł mięso, więc stanął na wysokości zadania. Dał radę. Dziś otoczenie stawia mężczyznom zupełnie inne wymagania, dotyczące przeróżnych płaszczyzn życia. Mężczyzna dowolnie wybiera, które chce realizować, a które nie. Ustala priorytety. Z niektórych spraw jest w stanie całkowicie zrezygnować, by poświęcić się innym.

Do tej pory to mężczyźni ustanawiali reguły obowiązujące kobiety, także te dotyczące seksualności. Teraz to kobiety zarządzają tą sferą życia, jak chcą.

I może się okazać, że jeżeli w wyniku zaburzeń hormonalnych popęd danego mężczyzny nie jest na wysokim poziomie, to po prostu przestaje on być zainteresowany osiąganiem sukcesów w sferze seksualnej. Skupia się bardziej na karierze czy hobby.

**Dajmy na to rekonstrukcja historyczna staje się ważniejsza od seksu?**

– Skompletowanie pięknej zbroi z danej epoki może być dla jakiegoś mężczyzny istotniejsze niż miłosne podboje. Potrzeby seksualne załatwia przed komputerem. Tyle że w ten sposób rezygnuje z pięknej i ważnej części ludzkiego życia, jaką może być seks.

**A czy powodem braku ochoty na seks ze strony mężczyzn może być skupianie się przede wszystkim na potrzebach partnerki? Mężczyźni zewsząd dziś słyszą, że nie mogą być w łóżku egoistami i muszą zadbać na wszelkie sposoby o przyjemność kobiety.**

– Tak? Zewsząd? Może w magazynach kobiecych próbuje się prezentować taką zmianę podejścia. Z punktu widzenia gabinetu seksuologa nie widzę w tym zakresie



eprasa.pl 674cf1a68f

wielkich zmian. Mężczyznom zawsze zarzucano skupianie się na własnych potrzebach i to, że po osiągnięciu orgazmu nie są zainteresowani kontynuacją aktywności seksualnej. Kobiety skarżyły się na egocentryzm seksualny mężczyzn wcześniej i skarżą się nadal. Na pewno są mężczyźni, którzy troszczą się o przyjemność partnerek. Są pewnie i tacy altruiści, dla których stanowi ona priorytet i przedkładają ją nad własne spełnienie. Ale z pewnością nie jest to dominująca postawa.

**Powiedział pan, że kobiety są coraz bardziej samoświadome, znają swoje potrzeby i pragnienia w sferze seksualnej i artykułują je. Mężczyźni nie nadążają za kobietami w sferze seksualności?**

– Nie nadążają. Musimy przy tej okazji wrócić do rozmowy o pornografii. Żyjemy w kraju, w którym nie istnieje edukacja seksualna. To, co przekazuje się młodym ludziom w szkołach, jest kpiną. Młody chłopak musi tę wiedzą zdobywać sam. Po poradnik seksuologiczny czy poczciwą „Sztukę kochania" nie sięgnie, bo to wymaga pewnego zaangażowania – po co czytać, skoro można obejrzeć. Więc wpisuje na smartfonie w wyszukiwarkę jakieś hasło i po sekundzie jest zalewany twardą pornografią. Atakuje go cały dorobek światowego biznesu porno. Widzi idealne ciała modelek i modeli, silikonowe piersi, wielkie członki, nienaturalne pozy, jęki, udawane orgazmy, seks oralny, analny, grupowy, kobiety chude, grube, wysokie, niskie… Do wyboru, do koloru. Pornografia kreuje nieprawdziwy obraz seksu, a nikt młodym ludziom nie mówi, że to, co widzą, jest ściemą. Bajką dla dorosłych. Nikt nie mówi, że seks tak nie wygląda. Wyobrażenia na temat seksualności kształtują się mniej więcej od 11. do 20. roku życia. I jeżeli chłopak w tym okresie będzie faszerował się wygibasami aktorek i aktorów porno, to wejdzie w życie z szeregiem fałszywych przeświadczeń na temat seksu.

**Na przykład?**

– Że kobiety zawsze chcą seksu, że oczekują „ostrego rżnięcia", by osiągnąć satysfakcję, a najlepsze doznania może zapewnić im członek o długości co najmniej 20 cm we wzwodzie. Takie przekonania mogą blokować młodego człowieka…

## Liczba mężczyzn, także będących w stałych związkach, którzy unikają seksu, się zwiększa.

**Który nie ma członka o długości 20 cm.**

– Pewnie, że nie ma, bo mało kto ma. Ale jak się naogląda takich penisów w internecie, to może dojść do wniosku, że lepiej w ogóle nie startować do dziewczyn, bo jeszcze go wyśmieją. A jeżeli wystartuje, to jak zachowa się przy pierwszych próbach seksualnych? Będzie starał się naśladować kompletnie nienaturalne zachowania, które widział w serwisach pornograficznych. Dziewczyna nie chce seksu analnego? Nie lubi połykać spermy? No jak to, przecież w pornolach wszystkie kobiety to uwielbiają. Pornografia uczy bezosobowego seksu, który polega na uprzedmiotowieniu drugiej osoby. Zupełnie nie widać w niej integracji między seksualnością i uczuciowością. (…) Potem młodzi mężczyźni, którzy wychowali się „od małego" na pornografii, trafiają do mnie do gabinetu, bo nie radzą sobie w kontaktach z realnymi kobietami.

**Z jakiego powodu?**

– Bo np. oglądając pornografię, zafiksowali się na jakimś konkretnym szczególe anatomicznym kobiety i jeżeli kobieta, z którą idą do łóżka, od tego wzorca odstaje, to nie są w stanie osiągnąć podniecenia. A oczywiste jest, że odstaje, bo nie jest aktorką porno wyrzeźbioną przez chirurgów plastycznych. Do mnie i tak trafiają ci, którzy chcą uporać się z problemem, zmierzyć ze szkodami, jakie wyrządziła im pornografia. Wielu nie będzie nawet widziało takiej potrzeby. W ich przypadku seks z dziewczyną, partnerką czy żoną może nie będzie satysfakcjonujący i częsty, ale zawsze będą mogli skorzystać z pornografii. (…) Zasadniczo żyjemy w okresie dekonstrukcji tradycyjnych postaw „męskich" i „kobiecych" w obszarze związanym z seksualnością. Płcie wymieniają się wzorcami.

**To znaczy?**

– Są kobiety, które lubią „zaliczać dla sportu" kolejnych mężczyzn i czerpią z tego satysfakcję. Pokolenie temu mogłyby usłyszeć, że są puszczalskie. Teraz dziewczyny przestały się przejmować etykietkami. Bo jak ktoś im będzie chciał je przyczepić, to i tak to zrobi. Nie muszą iść cztery razy przed seksem na randkę tylko po to, by wyjść na porządną. Nie wstydzą się mówić, że mają potrzeby seksualne.

## W tej chwili kobiety zdradzają równie często jak mężczyźni. Nie mają powodu, by powstrzymywać się z realizacją swoich pragnień i potrzeb.

**Co jeszcze kobiety przejmują z tradycyjnego męskiego repertuaru zachowań seksualnych?**

– Zdradzanie. Kobieta miała być jak Penelopa, która grzecznie czeka w domu na powrót swojego Odysa. W tej chwili kobiety zdradzają równie często jak mężczyźni. Nie mają powodu, by powstrzymywać się z realizacją swoich pragnień i potrzeb. Świetnie funkcjonują na różnych płaszczyznach, odnoszą sukcesy i dają sobie prawo do czerpania przyjemności seksualnej w sposób najbardziej dla nich odpowiedni. Okazjom do zdrad sprzyja duża aktywność zawodowa kobiet i funkcjonowanie w męsko-damskich środowiskach pracy.

**Fragment rozmowy z książki Wojciecha Harpuli i Marii Mazurek *Panie przodem. O co walczą kobiety i mężczyźni we współczesnej Polsce*, Znak Literanova, Kraków 2023**



eprasa.pl 674cf1a68f

# Begonia z gruntu dobra

## Przed rozpoczęciem kalendarzowego lata wyraźnie widać, jak przyroda łapie oddech i robi małą przerwę

Łukasz Skop

### Lato w ogrodzie

Zaczyna się całkiem niewinnie dokładnie tam, gdzie dopiero co szalała wiosna. Kwiaty cebulowe kończą już swoje kwitnienie, przekwitły dawno drzewa owocowe w sadach i ogrodach, a wiosenne krzewy skupiają się na rozwoju liści. Przełom maja i czerwca zaznaczają co prawda mocnym uderzeniem lilaki i piwonie, lecz przed rozpoczęciem kalendarzowego lata wyraźnie widać, jak przyroda łapie oddech i robi małą przerwę.

Pod koniec wiosny kwitną jeszcze obficie rośliny alpejskie zdobiące skalniaki, murki i skarpy, jeszcze mniszki zażółcają łąki, ale kiedy lato naprawdę przychodzi, niemal słychać ten moment ciszy tuż po nabraniu powietrza w płuca, a przed wypuszczeniem go pełną parą. Lato zaczyna się z tym wydechem.

Zaskakująco wyraźnie widać to w świecie roślin. Wiosną kwitną rośliny cebulowe posadzone jesienią poprzedniego roku, a latem – letnie rośliny cebulowe posadzone wiosną. Na wiosnę zakwitają gatunki jednoroczne, które wysiały się poprzedniego roku, a tuż na początku lata – te, które zasialiśmy wiosną. Wczesnowiosenne krzewy i drzewka, jak pigwowce, forsycje, wiśnie ozdobne i różaneczniki, spieszą się z kwitnieniem, ponieważ ich pąki czekały na to całą zimę. Jaśminowce, ketmie, budleje – wręcz przeciwnie, zakwitną latem z pąków na młodych, tegorocznych przyrostach. Wiosna przekazuje latu pałeczkę i przez krótką chwilę, kiedy dotykają jej obie dłonie, zapada cisza. Chwilę później rozpoczyna się letni maraton.

Pierwsze letnie kwiaty to niecierpliwe, krótkowieczne byliny. Często zachowują się jak rośliny dwuletnie, ale w sprzyjających warunkach potrafią przeżyć dłużej. To łubiny i orliki, które jako jedne z pierwszych roślin lata przynoszą do ogrodów głębokie fiolety. Mogą towarzyszyć im ostatnie wielkokwiatowe czosnki ozdobne, które wyglądają już na mocno zmęczone istnieniem: ich kuliste kwiatostany są nieziemskie, lecz rozeta liści przy ziemi jest zbrązowiała i sucha.

W pełni lata na dobre rozkręca się festiwal kolorów i zapachów, których dostarczają kwiaty. Niestety, nie zawsze możemy wziąć w nim udział tak, jak byśmy tego chcieli. Letnie susze sprawiają, że rośliny muszą walczyć o przetrwanie, a my, starając się im w tym pomóc, skupiamy się na utrzymaniu ich przy życiu, zamiast cieszyć się tym dobrobytem, na który od wczesnej wiosny pracujemy. Mimo wszystko lubię, kiedy lato nie jest monotonnie doskonałe. Bez mocnych kontrastów, także pogodowych, zgubiłoby się w jednostajnej, spokojnej zieleni, a może nawet trwało cały rok. Okropność. Nie da się porządnie odpocząć, będąc cały rok na wakacjach.

Skoro jednak lato trwa w najlepsze, zatrzymaj się na chwilę, żeby się nim nacieszyć. Kwitnie właśnie kolejna porcja niezwykłych kwiatów.

**Zarówno domowe begonie doniczkowe, jak i begonie ogrodowe, w tym bulwiaste, można rozmnażać na wiele sposobów.**

### Begonia

Jest taki czas w roku, kiedy każdy ogród ma urok zużytej myjki do naczyń. Stopy toną w błocie, nogawki fajdają się po kałużach, a ziemia jęczy

FOT. SHUTTERSTOCK



eprasa.pl 674cf1a68f

od wilgoci. Nie chcę odbierać jej dobrej reputacji, ale na tym w dużej mierze polega wiosna. Ogrodnicy czują ją w kościach – za młodu telepatycznie, a na starość także dosłownie, bo lat grzebania rękami w zimnej ziemi nie da się odwołać. Na szczęście latem można rozrabiać w ogrodzie do woli w znacznie przyjemniejszych warunkach. Istnieje całkiem duża szansa, że w to rozrabianie będzie zamieszana przynajmniej jedna begonia – w tak zróżnicowanym i licznym rodzaju roślin (ponad 2 tys. gatunków, nie biorąc pod uwagę odmian, co daje begoniom miejsce w pierwszej dziesiątce najliczniejszych rodzajów roślin na świecie) na pewno znajdziesz przynajmniej jedną, która ci się spodoba. Moja ulubiona to begonia bulwiasta *(Begonia × tuberhybrida)*, która przez całe lato tak stroi się w kwiaty, jakby nieustannie szykowała się na bal.

Obserwując uważnie kwiaty tej i wielu innych begonii, można zauważyć, że nie wszystkie wyglądają tak samo: okazałym kwiatom z wieloma płatkami towarzyszą zawsze mniejsze kopciuszki o zaledwie kilku płatkach i ze skrzydlatym wyrostkiem przy szypułce. Te drugie to kwiaty żeńskie, a w skrzydlatym wyrostku po zapyleniu zawiązują się nasiona. Kiedy zauważysz tę różnicę, możesz ją wykorzystać i mieć jeszcze ładniejsze begonie niż do tej pory. Chociaż zabrzmi to jak barbarzyństwo i sposób na pozbycie się połowy kwiatów (na szczęście tych mniej atrakcyjnych), przez całe lato spróbuj usuwać wszystkie kwiaty żeńskie. W ten sposób pobudzisz roślinę do zawiązywania kolejnych pąków, a kwiaty męskie, które odtąd staną się główną ozdobą rośliny, będą jeszcze większe – tak wielkie jak u konkursowych begonii na targach i wystawach ogrodniczych.

Szkoda byłoby się jednak pozbywać tych wszystkich niepotrzebnych już kwiatów. Żeby więc nic się nie zmarnowało, zerwane żeńskie begonie możesz wykorzystać w kuchni. Chociaż kwiaty jadalne przeważnie nie mają wyrazistego smaku i używa się ich głównie dla ozdoby, pod tym względem begonie, podobnie jak magnolie, nie mają się czego wstydzić. Ich kwiaty mają wyjątkowy, elektryzująco kwaśny smak – doskonale pasują do deserów ze słodkich letnich owoców. Wszystkie begonie mają jadalne kwiaty, chociaż z niektórymi, w tym z begonią bulwiastą, należy uważać i nie spożywać ich zbyt dużo, ponieważ zawierają kwas szczawiowy, który z jonami wapnia tworzy w organizmie nierozpuszczalne szczawiany wapnia, osadzające się w nerkach w postaci kamieni. Za kwaskowaty smak begonii odpowiada właśnie kwas szczawiowy, który występuje także w liściach szczawiu i rabarbaru.

**Żeńskie begonie możesz wykorzystać w kuchni. Ich kwiaty mają wyjątkowy, elektryzująco kwaśny smak – doskonale pasują do deserów ze słodkich owoców.**

Begonie bulwiaste to tylko wierzchołek olbrzymiej góry lodowej, jaką jest cały rodzaj *Begonia*. W ogrodach, ale przede wszystkim na miejskich klombach, nieustającą popularnością cieszy się jeszcze begonia stale kwitnąca *(Begonia × semperflorens)*, która nie wytwarza bulw i jest rośliną rabatową kwitnącą od czerwca do przymrozków. Jest niezmordowana, jeśli chodzi o produkcję kwiatów (nazwa zobowiązuje), bardzo niewymagająca i bardzo wytrzymała, a jednocześnie… wygląda sztucznie i staromodnie, przez co wielu ogrodników nie darzy jej sympatią.

Ciekawym przeciwieństwem begonii stale kwitnącej jest begonia koralowa *(Begonia maculata)*, o liściach w grochy, która niedługo przed pandemią koronawirusa i w czasie jej trwania była jedną z najbardziej poszukiwanych i hołubionych roślin doniczkowych. Nieraz łatwiej trafić w totka niż w gusta ogrodników.

## Zejdź na ziemię

Moja ulubiona begonia bulwiasta (a lubię szczególnie te o krwistoczerwonych kwiatach) poza doniczką i bez ziemi wygląda wyjątkowo niezachęcająco. Bulwy u begonii mają wielkość przeciętnego kotleta mielonego i kształt taki, jakby temu kotletowi przyłożył pięścią wyjątkowo niezadowolony amator mięsiwa. Kiedy dodać do tego ciemnobrunatny kolor i świńską szczecinkę, czyli liczne zaschnięte korzenie z ubiegłego roku, którymi pokryte są bulwy, trudno

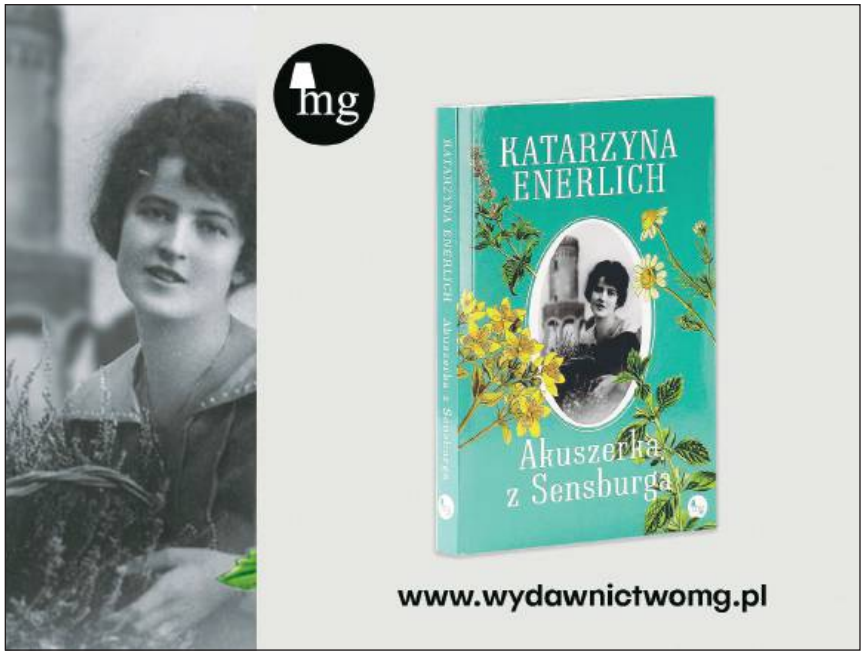




eprasa.pl 674cf1a68f

spojrzeć na nie przychylnym okiem. Ale właśnie z takich brzydactw wyrastają jedne z najpiękniejszych letnich kwiatów.

Bulwę należy posadzić na głębokość kilku centymetrów do ziemi, która może być uniwersalnym podłożem do roślin kwitnących. Odwracamy bulwę zawsze wypukłą stroną do dołu. Z wklęsłej, skierowanej ku górze części wkrótce wyrośnie kilka pędów. Po posadzeniu i podlaniu bulwy nie należy od razu jej nawozić. Tę zasadę warto też zastosować podczas sadzenia wszystkich innych roślin, chociaż doskonale rozumiem, jak bardzo kusząca może być potrzeba natychmiastowej aplikacji nawozu każdej nowej sadzonce. W świeżej ziemi prosto z worka znajduje się jednak tyle składników odżywczych, że powinno ich wystarczyć na jakieś sześć tygodni wzrostu. Po tym czasie można zacząć nawozić, jeśli pragnienie to jest nie do pokonania.

Myślę o tym zawsze ze sporą dozą wahania, bo sam rzadko nawożę swoje rośliny. Znacznie bardziej skupiam się na zapewnieniu im odpowiedniego nasłonecznienia i prawidłowego nawodnienia, ponieważ te czynniki w naturze rzeczywiście są zmienne, a dokarmianie nawozem jest zawsze zależne tylko od ogrodnika. Inaczej mówiąc, dzikich roślin nikt nie tuczy nawozem i taki sposób traktowania kwiatów jest mi zdecydowanie bliższy. Warto o tym pomyśleć, zwłaszcza jeśli później begonia ma trafić na talerz.

Żadne begonie nie przetrwają polskiej zimy w gruncie, dlatego bulwy najczęściej sadzi się do donic lub wiszących koszy. Begonie bulwiaste, szczególnie te o przewieszających się pędach i wielkich kwiatach, wyglądają w nich niezwykle efektownie. Gdy jesienią przymrozek zwarzy liście i kwiaty, bulwę trzeba będzie wyjąć z ziemi, oczyścić i przechować do wiosny w suchym i chłodnym, ale pozbawionym mrozu miejscu.

Zarówno domowe begonie doniczkowe, jak i begonie ogrodowe, w tym bulwiaste, można rozmnażać na wiele sposobów, m.in. przez ukorzenianie sadzonek pędowych, ale też z fragmentów liści. Nie jest to może najbardziej niezawodny ani najszybszy sposób rozmnażania, lecz z pewnością zdumiewający – dzięki niemu otrzymasz kilka nowych sadzonek z zaledwie jednego liścia. Jeśli chcesz spróbować, wybierz zdrowy, dobrze wyrośnięty i w pełni rozwinięty liść begonii. Będziesz też potrzebować ostrego skalpela ze sterylnym ostrzem oraz jałowego podłoża – dobrze do tego celu nadaje się czysty perlit. Liść odetnij od rośliny matecznej razem z ogonkiem, a następnie umieść go w pojemniku wypełnionym zwilżonym perlitem, zagłębiając w nim ogonek. Alternatywnie możesz odciąć ogonek, a sam liść pociąć na kilka fragmentów, tak aby każdy miał część głównego nerwu. Kawałki liści poukładaj na podłożu i przyciśnij je czystymi, małymi kamykami lub przyszpil do podłoża zakrzywionymi w kształt litery U spinaczami biurowymi. Ustaw pojemnik w miejscu, do którego nie dochodzą bezpośrednie promienie słońca, i utrzymuj stałą, wysoką wilgotność – foliowy woreczek nałożony na doniczkę sprawdzi się doskonale. Cierpliwie obserwuj swoją hodowlę, a kiedy pojawią się już małe sadzonki, przesadź je do osobnych doniczek. Wystarczy, że będą na tyle duże, aby podczas przesadzania ich nie uszkodzić.

Begonie otrzymały niegdyś polską propozycję nazwy, którą wciąż jeszcze można znaleźć w wielu starszych podręcznikach i albumach: ukośnica.

## Razem raźniej

Begonie bulwiaste są na tyle ekspresyjnymi roślinami, że dobrze będą się prezentować posadzone w pojemnikach bez żadnego towarzystwa. W dużych donicach lub skrzynkach możesz jednak stworzyć z nimi ciekawe aranżacje. Z begoniami dobrze połączą się gatunki o drobnych liściach i kwiatach, np. bakopa (zwyczajowa nazwa sutery rozpierzchłej, *(Sutera diffusus)*, tojeść rozesłana *(Lysimachia nummularia)*, wilczomlecz dziurawcolistny *(Euphorbia hypericifolia)* czy lobelia przylądkowa *(Lobelia erinus)*.

Dla odmian o wyprostowanych i przysadzistych łodygach dobrymi kompanami będą ozdobne odmiany batata – wilca ziemniaczanego *(Ipomoea batatas),* które wytwarzają długie i zwisające pędy, podobnie jak różne odmiany plektrantusa koleusowatego *(Plectranthus glabratus)* zwanego komarzycą. Do barwnych kwiatów begonii mogą też pasować wybrane odmiany koleusa Blumego *(Plectranthus scutellarioides),* chociaż takie kompozycje warto wcześniej dobrze przemyśleć, ponieważ będą niezwykle jaskrawe i pstrokate – czasem nawet za bardzo.

## Mów łaciną

Begonie należą do prestiżowego grona roślin nazwanych przez francuskiego botanika i podróżnika Charles'a Plumiera (1646-1704) – na cześć jego samego nazwano natomiast cudownie kwitnącą plumerię. To właśnie Plumier dla upamiętnienia wybitnych osobistości nazwał dobrze dziś znane i lubiane kwiaty: fuksje od Leonharta Fuchsa, lobelie od Matthiasa de l'Obela, magnolie od Pierre'a Magnola czy właśnie begonie po Michelu Bégonie, francuskim gubernatorze Haiti.

*Tuberhybrida* w nazwie *Begonia* × *tuberhybrida* pochodzi od łacińskich słów *tuber* – „bulwa, sęk, guz, garb" oraz *tuberósus* – „bulwiasty". Begonie otrzymały niegdyś także polską propozycję nazwy, którą wciąż jeszcze można znaleźć w wielu starszych podręcznikach i albumach: ukośnica. Zwraca ona uwagę na asymetryczne liście tej rośliny, jednak zupełnie się nie przyjęła.

**Fragmenty książki Łukasza Skopa *Kwiaty bez ogródek. Jak dbać o rośliny przez cały rok*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023**



eprasa.pl 674cf1a68f

# Łoś – rezydent mokradeł

## Powrót łosia do krainy biebrzańskich bagien to też skutek niedostępności pewnych zakątków tej krainy

Grzegorz Kłosowski,
Tomasz Kłosowski

Państwo C. przyjechali wraz z nastoletnią córką do Gugien z dalekiego Szczecina. Zjedli śniadanie i orzekli, że właściwie to już mogliby wracać. Cel wyprawy został bowiem natychmiast osiągnięty. Ledwo skręcili z szosy w piaszczystą drogę prowadzącą do wioski, a tuż przed maską ich samochodu przedefilował łoś. Tu, na piaszczystym ugorze na przedpolu wsi, wraz z zarzuceniem gospodarki i wypasu krów, zaczęły masowo wyrastać sosnowe samosiejki – zimowy przysmak łosi. Łatwiej je tu dziś spotkać niż kiedyś krowy. A oni przyjechali tu po to, aby córka mogła zobaczyć łosia, bo jest w tym gatunku wprost zakochana.

Oczywiście nie wyruszyli w drogę powrotną, bo córka miała właśnie ferie zimowe, a to pierwsze spotkanie zdawało się zwiastować kolejne. Ale z tym już nie było tak łatwo, bo zwierzęta nie pokazują się nam ot tak, na zawołanie – nawet gdy są w pobliżu.

Gdy przyjechaliśmy po raz pierwszy nad Biebrzę i rozbiliśmy namiot na skraju polany Kopciowe, już na drugi dzień łoś niemal nas odwiedził – defilował wzdłuż skraju lasu parę kroków od namiotu. W pierwszej chwili myśleliśmy, że to któraś z krówek, często wtedy puszczanych samopas, by się za darmo pożywiły. Potrafiły maszerować drogą przez całe kilometry albo i ugrzęznąć w bagnach.

To jednak był najprawdziwszy łoś. Później, choć zaczęliśmy zjeżdżać tu co roku i zostawać coraz dłużej, prawie nie spotykaliśmy tych okazałych rezydentów mokradeł. Nie dlatego, że brakowało nam szczęścia – po prostu w tym czasie nie było ich zbyt wiele.

Powrót łosia do krainy biebrzańskich bagien to nieledwie powstanie z martwych, ale też skutek niedostępności pewnych zakątków tej zwierzem słynącej krainy. II wojna światowa straszliwie przetrzebiła naszą faunę – łosi pozostała garstka ukryta w przepaścistych rojstach Czerwonego Bagna, za zasłoną tutejszych sośnin i brzezin przesiąkniętych brunatną wodą. Emerytowany nadleśniczy Edward Komenda



FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 674cf1a68f

twierdzi wprawdzie, że z tym matecznikiem na Czerwonym Bagnie to legenda, bo niedobitki łosi pozostały też w innych puszczach wschodniej Polski. Ale jest to legenda zapewne godna uwagi – tym bardziej że Czerwone Bagno już w latach 30. ubiegłego stulecia zostało uznane za rezerwat łosi. Mirosław Kobeszko, którego ojciec pełnił funkcję szefa strażników rezerwatu, opowiada, że stada pilnowano bardzo starannie, a za kłusownictwo groziły surowe kary. Z tamtych czasów zachował się nawet dziennik łosiowego stadka pisany ręką Kobeszki seniora albo jego współpracowników – z rysunkami ukazującymi formę i wielkość poroża byków, z datami narodzin cieląt i innymi szczegółami. Mirosław Kobeszko mówi o tym dziełku z szacunkiem: Księga Łosi.

Gdy po wojnie zwierzęta te rozmnożyły się, zaczęły pojedynczo opuszczać swój matecznik i zaglądać na peryferie wsi. Tam wzbudzały sensację, wszak chłopi nie widzieli ich tu od dziesięcioleci. We wsi Zabiele koło Dolistowa Starego szeptano nawet, że oto pojawiły się jakieś amerykańskie konie. Z dala łoś może przypominać pomieszanie konia z osłem, ale nie ma z nimi nic wspólnego – poza tym, że jest roślinożernym ssakiem. To bliższy krewniak jelenia, a zarazem największy przedstawiciel rodziny jeleniowatych w Europie.

Okres powojenny sprzyjał ekspansji łosi, zaczęto bowiem odnawiać zniszczone przez okupanta lasy, a na bagnach, coraz rzadziej wykaszanych przez rolników, rozrastały się gaje młodych brzóz, olch i wierzb. Zarówno sadzonki i samosiejki sosny, jak i wymienione tu drzewa liściaste stanowią wymarzoną stołówkę dla łosi. Szybko ich przybywało. Nie uszło to uwadze kłusowników, ale też myśliwych zrzeszonych w kołach łowieckich, jako że od 1968 r. łosia uznawano za zwierzynę łowną. Ale nowy, atrakcyjny cel polowań należał się przede wszystkim osobom wysoko postawionym w państwie. Najładniejsze byki, koronowane przez naturę efektownymi porożami, zachowywano dla innych koronowanych głów – sekretarzy partii, premierów, ministrów. (…)

Ta palba – legalna i nielegalna, oficjalna i nieoficjalna – doprowadziła do stopniowego spadku liczebności cenionego zwierza. Padały zwłaszcza byki łopatacze, nazywane tak ze względu na płaskie, przypominające łopaty poroże, które stanowi formę rzadszą, choć wcale nie musi mieć związku z kondycją tego, kto je nosi. Dwie formy poroża – łopatacz z porożem o płaskim przekroju i badylarz z porożem o przekroju owalnym – to dwie różne postaci genetyczne. Niemniej łopaty uchodziły za cenniejsze trofeum, także wśród zawołanych zbieraczy. Ta presja sprawiła, że łopatacze stawały się rzadkością, ale i dorodnych badylarzy było coraz mniej. W latach 80. łosie zaczęły przeżywać liczebny i kondycyjny kryzys. My z tamtego dziesięciolecia nie mamy prawie żadnych zdjęć tych zwierząt.

Badacze wyliczyli, że łosie przekraczają szosę tysiące razy w roku, bo na zimę wychodzą z bagien do sąsiednich borów sosnowych.

Po pewnym czasie jednak relacja łosie-myśliwi osiągnęła pewną stabilność, nieco zbliżoną do naturalnego układu ofiara-drapieżnik, tym bardziej że dla myśliwych te potężne ssaki stanowiły najcenniejsze trofeum w dolinie Biebrzy. Nie chcieli się go pozbywać. Równowaga zachwiała się z chwilą powstania parku narodowego, czyli w 1993 r. Park narodowy musi wszak wziąć pod swoje skrzydła wszystkie gatunki, a nie tylko jeden czy kilka wartościowych jako zdobycz. Pomagając zaś jednym, często trzeba odebrać to i owo drugim. By chronić najcenniejsze gatunki ptaków, trzeba odkrzaczać i wykaszać bagna, zabierając łosiom część naturalnego żeru. Myśliwi, przynajmniej ci zrzeszeni, a zarazem etyczni, skupili się na obronie tych roślinożernych ssaków przed kłusownikami.

Koła łowieckie musiały jednak opuścić tereny zajęte przez park, który nie był w stanie bez przerwy nadzorować zwierzyny. Paradoksalnie wprowadzenie ochrony tego terenu pogorszyło sytuację łosi. Na początku nowego stulecia wprowadzono moratorium wyłączające tego ssaka z – mówiąc językiem oficjalnych raportów – łowieckiego użytkowania. To znów zmieniło sytuację tych legendarnych zwierząt, choć podobno nie przyczyniło się do zwiększenia ich liczebności. (…)

Czując się bezpiecznie, te wielkie ssaki poczęły dość beztrosko wędrować po drogach, zapuszczać się do wsi, między bydło, a wręcz na podwórka. Kilka osobników oswoiło się do tego stopnia, że pozwalały się oglądać z odległości kilku kroków i niemal karmić z ręki. Prawdopodobnie jako cielęta jakimś sposobem znalazły się w rękach ludzi, a potem zostały wypuszczone – i stąd ich zaufanie do nas. Zazwyczaj dochodzi do niego chęć pożywienia się przy drogach, gdzie roślinność krzewiasta jest bujna i urozmaicona, znacznie pożywniejsza niż na otwartych bagnach. Widok łosia spokojnie objadającego młode pędy i świeże listowie na poboczu Carskiej Drogi lub w przydrożnym rowie stał się codziennością, przyciągającą w pogodne wiosenne weekendy tłumy gapiów z aparatami przy oku i komórkami w dłoniach.

Prawdziwą sławę zdobyła klępa o imieniu Matylda. Urządzano jej nawet imieniny, podczas których otrzymywała prezenty w postaci smakowitej zieleniny i świeżych warzyw, a niektórzy próbowali jej nawet wręczać bukiety kwiatów. Byli tak zachwyceni bliskością czworonogiej solenizantki, że nie przychodziło im na myśl, iż to jednak dzikie zwierzę i może źle zrozumieć jakiś gest. Ofiar jednak nie było. Podobnie zachowywała się córka Matyldy o imieniu Agata. (…)

Z czasem przybywało tych swojskich, bez obaw pokazujących się ludziom łosi, zwłaszcza że klępy wychodziły do swoich przydrożnych „barów szybkiej obsługi” z cielętami, co utrwalało poufałość względem



eprasa.pl 674cf1a68f

człowieka w kolejnych pokoleniach zwierząt. Znawcom życia ssaków nie podobała się ona zbytnio – woleli, by zwierzęta nabrały większego dystansu wobec ludzi, z roku na rok tłumniej przybywających w okolice Carskiej Drogi, a także by oddaliły się od coraz ruchliwszej szosy. Dobra nawierzchnia po remoncie zachęcała bowiem do rozwijania większej prędkości wbrew nakazywanemu przez znaki ograniczeniu do 50 km/godz. Na skutki nie czekaliśmy długo.

Pewnego majowego popołudnia dostałem wiadomość, że na szosie zginęła właśnie klępa – ulubienica publiczności. Stało się to w jedną z weekendowych nocy, prawdopodobnie nad ranem, i początkowo przeszło niezauważone. Popędziłem we wskazane miejsce. Zrazu nie dostrzegłem żadnych śladów wypadku. Dopiero wysiadłszy z samochodu, wśród odurzającej woni majowego kwiecia, osiągającej właśnie swoje apogeum, poczułem nagle smród padliny. Idąc za coraz mocniejszym zapachem, znalazłem w przydrożnych zaroślach szczelnie nakryty zielonymi gałęziami zewłok łosia.

Czując się bezpiecznie, te wielkie ssaki poczęły dość beztrosko wędrować po drogach, zapuszczać się do wsi, między bydło, a wręcz na podwórka.

Zawiadomiony Piotr Dombrowski natychmiast nadjechał i, zatykając nos oraz usta, dokonał oględzin. Wyszło na jaw, że leży tu tylko głowa, resztka tułowia i wnętrzności. Mięso zostało natomiast fachowo wykrojone i zabrane.

Piotr odnalazł nieco śladów, które mogły ewentualnie pomóc w rozpoznaniu samochodu, sporządził służbową notatkę, a ja dość makabryczne zdjęcia. I tyle. Dochodzenie utknęło w martwym punkcie i o ile wiem, ostatecznie rozeszło się po – tym razem łosiowych – kościach. Tak to szosa straciła jedną ze swoich zwierzęcych ikon.

Podobne wypadki zaczęły się powtarzać.

Jeżeli nawet łosie nie korzystają z przydrożnego żerowiska, to i tak ciągle przekraczają szosę. Badacze wyliczyli, że czynią to tysiące razy w roku, bo też na zimę wywędrowują z bagien do sąsiadujących z nimi borów sosnowych. Przez całe lata takie wędrówki były stałym elementem łosiowego repertuaru – zwłaszcza w Basenie Dolnym Biebrzy, gdzie obserwujemy bardzo wyraźny pasmowy układ siedlisk: od zalewisk rzecznych przez otwarte torfowiska i olszyny po wstęgi wydm piaszczystych porośniętych przez bory. Na bagnach zimą jest bowiem zbyt ubogo, zwłaszcza odkąd są one uporczywie i na wielkich powierzchniach ogołacane z młodych brzóz i wierzb, których pędy stanowią podstawę diety łosi. W najzimniejszych miesiącach mogą je zastąpić tylko pędy oraz igły sosen, świerków i jałowców.

Taki łosiowy „rozkład jazdy" ułatwiał nam, fotografom, życie, a i przybywającym na krótko turystom gwarantował upragnione spotkanie z symbolicznym zwierzem. Zwłaszcza byki po bukowisku lubiły się na dłużej zadomowić w jakimś zakątku iglastego boru, najlepiej prywatnego, bo w takim zwykle zimą gospodarze coś wytną i zostawią na ziemi gałęzie. Byk o imieniu Gustaw zdobył tą drogą sławę nie mniejszą niż kiedyś klępa Matylda, ale nie mogąc już znieść natręctwa gapiów i fotografów, zaszywał się w gęste młodniki, aż wreszcie wyraźnie obrażony poszedł w siną dal.

Nim do tego doszło, w związku z jego postacią zdążyło rozkwitnąć lokalne przekupstwo. Pan Rysio, samotny mieszkaniec stojącej blisko lasu chaty, zaczął śledzić każdy krok mało płochliwego byka, ilekroć zaś ten zawitał do lasu będącego jego własnością, zagradzał wjazd drutem i dopiero za opłatą w postaci papierosów i piwa otwierał ów szlaban, jako że do łosia najłatwiej się zbliżyć samochodem, wystawiwszy aparat przez okno. Tym, którzy hojnie płacili, pan Rysio gwarantował precyzyjne dane o aktualnym miejscu pobytu Gustawa. A wypić lubił. Było pewne, że jak tylko przyjdzie łoś, a za nim stado jego fanów, pan Rysio pójdzie w tango.

To wszystko nie mogło trwać wiecznie. W ostatnich latach łosie przestały wychodzić do suchych lasów sosnowych, zniknęły też z asfaltowej drogi, przestały nawet być widoczne w jej pobliżu. Niepocieszeni przybysze, którzy już zdążyli się nasłuchać od bywających w biebrzańskiej ostoi przyjaciół o łosiach „na wyciągnięcie ręki", rozpaczliwie wypytywali o tych kultowych rezydentów bagien. Czyżby ich ubyło? Nie całkiem. Coroczne zimowe liczenie tych zwierząt nie wykazuje na razie znaczącego spadku populacji, choć zauważono, że zaczynają coraz śmielej wychodzić poza swój biebrzański matecznik.

– Łosie nam uciekają! – stwierdził Piotr Dombrowski podczas swojego wystąpienia w ramach Wszechnicy Biebrzańskiej.

Pracownicy parku postanowili – przynajmniej w części – zapobiec tej ucieczce.

Gra wydawała się tym bardziej warta świeczki, że tutejsza populacja łosi jest genetycznie jednolita i odmienna od innych, ościennych, a przez to unikatowa. By ją zatrzymać, skorzystano z pomocy natury. Wokół otoczonego niedostępnymi bagnami uroczyska Kobielne wyznaczono obszar, który nieoficjalnie wyłączono z odkrzaczania. Żadnych ratraków, ciągników czy nawet spalinowych kos. Pomogło to, co biebrzańskiej przyrodzie na ogół nie pomaga: susza. Spadek poziomu wody na torfowiskach ułatwił wysiewanie się i ukorzenianie wierzb i brzóz. Wyznaczony około 1000-hektarowy obszar błyskawicznie pokrył się zieloną szczotką młodych drzewek o żywotnych, smakowitych pędach. Dla łosi to prawdziwy raj i obfita stołówka czynna przez cały rok. Już nie muszą ruszać „za chlebem" do lasów sosnowych, gdzie jesienią niepokoją je grzybiarze, a potem ciekawscy wędrowcy i fotografowie. W ten sposób w krótkim czasie jesienne czy wczesnowiosenne peregrynacje łosi, łącznie ze spacerami po coraz ruchliwszych drogach, ustały. (…)



eprasa.pl 674cf1a68f

Od lat łosie stanowią też przedmiot badań. Telemetria pozwoliła nakreślić elektroniczne mapy wędrówek tych zwierząt, które po krótkotrwałym uśpieniu zaopatrzono w obroże z nadajnikiem. Taka oznakowana klępa przez długi czas kursowała w pobliżu Osowca, wciąż niemal tą samą trasą przecinającą drogi, co nieraz zmuszało ją do ucieczki przed nadjeżdżającymi samochodami. Naukowcy sięgają jednak także w głąb historii tego gatunku, badają nawet bardzo stare kości, wyłuskują z nich izotopy niektórych pierwiastków, o których wiadomo, że w pewnych środowiskach są liczniejsze i częściej trafiają do przewodów pokarmowych zwierząt. Badania te wskazują, że łoś nie jest zbyt mocno związany ze zwartym lasem, w którym najwyraźniej tylko okresowo poszukuje schronienia. Hektary pozostawionych dlań zarośli wydają się zatem tym, czego ten majestatyczny ssak potrzebuje najbardziej.

Czasem wybuchają mniejsze i większe sensacje. Oto w brzydki wietrzny dzień jesienny otrzymuję elektryzującą wiadomość: „Łoś w centrum powiatowych Moniek!". Na miejscu zastaję już wszelkie służby w gotowości bojowej. Na wietrze fruwają taśmy zagradzające wyłączone z ruchu ulice, dostępu do innych bronią radiowozy. Tylko jakoś nie widać w tym wszystkim sprawcy całego alarmu. Ach, wreszcie widzę, gdzie jest. Zapewne tam, na ciasno ogrodzonym podwórku. Kilku policjantów korzystających z prawa wstępu do niebezpiecznych miejsc celuje w zwierzę swoimi telefonami. Tam, zza ścianki garażu, stojącego przed nim samochodu i kilku nieodzownych iglaków, ledwo wystają podobne jesiennym liściom łosiowe uszy. To młodzik, którego historia jest już znana i wędruje przez miasto z ust do ust.

Klępa matka zginęła na szosie w wyniku zderzenia z samochodem, a towarzyszący jej wyrośnięty potomek ruszył na oślep przed siebie, aż trafił do miasta. Nogi ma już wystarczająco długie, a mięśnie silne, by bez trudu przesadzać metalowe, najeżone ostrymi szpicami ogrodzenia niezliczonych podwórek. Nie pozostaje nic innego, jak go pojmać i wywieźć. Ale jak, skoro usypiające pociski nań nie działają? Jeden, drugi, trzeci. Policjanci odganiają coraz liczniejszych gapiów. W sąsiedztwo zwierzęcia zostaje dopuszczone tylko wąskie grono osób uznanych za fachowców. Przyjechała białostocka telewizja, kilka stacji lokalnych, na rogach ulic stoją wozy strażackie w pełnej gotowości. Nawet tabun rumaków nie zrobiłby tutaj takiego zamieszania jak ten łoś, a właściwie łoszak. Twarda sztuka! Dopiero o zmierzchu udaje się go wreszcie odurzyć i wywieźć w nadbiebrzańskie ostępy.

## W ostatnich latach łosie przestały wychodzić do suchych lasów sosnowych, zniknęły też z asfaltowej drogi, przestały nawet być widoczne w jej pobliżu.

Trasa kolejowa Ełk-Białystok. Sylwestrowe popołudnie. Ludzie jadą na zabawę, w torbach szampan, w głowach bal. Koło stacji w Osowcu nagłe hamowanie. Pociąg wpadł na łosia. Nim wyhamował, wciągnął tuszę ofiary aż pod ostatni wagon, blokując przy tym układ hamulcowy. Linia jednotorowa, więc cały ruch stanął. I jak tu wydobyć martwe zwierzę spod wagonu? Chyba tylko podnosząc wagon specjalnym kolejowym żurawiem, na który trzeba poczekać dobrych parę godzin. Pociąg nie ruszy. Przybyli na miejsce strażnicy z nadleśnictwa dobywają ostrych myśliwskich noży i kawałek po kawałku wycinają łosia spod pociągu. Wreszcie skład może ruszyć. (…)

Kiedyś w pierwszych dniach stycznia w ten sposób zginęły trzy łosie z rzędu. Sam przypominam sobie SMS-a, który obudził mnie bladym jesiennym świtem. Pisał znajomy podróżujący akurat koleją z Białegostoku w stronę Mazur: „Właśnie wjechaliśmy na łosia. Drużyna pociągu poinformowała przez megafon, że czeka nas dłuższy postój z powodu kolizji ze zwierzęciem".

Kolizje z pojazdami na szosie kończą się fatalnie nie tylko dla łosi, lecz także dla ludzi. Jadąc od Białegostoku w stronę Ełku i mijając miejscowość Downary, przecina się szerokie pasmo sosnowych borów biegnące równolegle do Biebrzy. To idealny szlak dla łosi. Nie tylko szlak – do niedawna także przydrożny bar. Z przyległych do szosy ścian lasu nisko zwieszają się gęste sosnowe gałęzie. Zimą łosie oskubują je tym łatwiej, im grubsza jest pokrywa śniegu, dzięki której mogą sięgnąć wyżej. Raz trzymają się ściany lasu z jednej strony, raz z drugiej, a więc co rusz przekraczają drogę „w niedozwolonym miejscu". Na tym odcinku zderzenia zbierały okrutne żniwo – ofiary śmiertelne zdarzały się też wśród kierowców i pasażerów. (…)

Moratorium na odstrzał łosi, które wprowadzono na przełomie poprzedniego i obecnego stulecia, stopniowo naprawiło straty z lat 90. Ostatnio słychać dochodzące z kół ministerialnych i łowieckich pomruki, że łosi zaczyna być zbyt dużo, że pojawiają się wypadki na drogach, że zwierzęta czynią różne szkody – więc może czas przywrócić polowania? Te głosy prędko wywołały falę protestów. Ludzie nie chcą strzelania do ich ulubieńców. Myśliwi, którzy „przeszli do cywila", porzuciwszy broń, wskazują wręcz, że to hańba strzelać do zwierzęcia, które stoi i ufnie patrzy nam w oczy. Żaden to sukces ani zaszczyt dla nemroda, a dla przyrody wielka strata. Nie będzie łatwo wyjąć spod ochrony zwierzę tak lubiane, którego losy bywały dramatyczne i pełne meandrów.

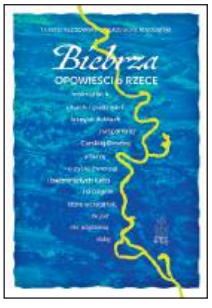


**Grzegorz Kłosowski, Tomasz Kłosowski, *Biebrza. Opowieści o rzece, mokradłach, olsach i grądzikach, leśnych duktach i wspaniałej Carskiej Drodze, a także o życiu zwierząt i biebrzniętych ludzi na bagnie, które wciąga tak, że już nie pójdziesz dalej,* Paśny Buriat, Kielce 2023**



eprasa.pl 674cf1a68f

# JOLKA

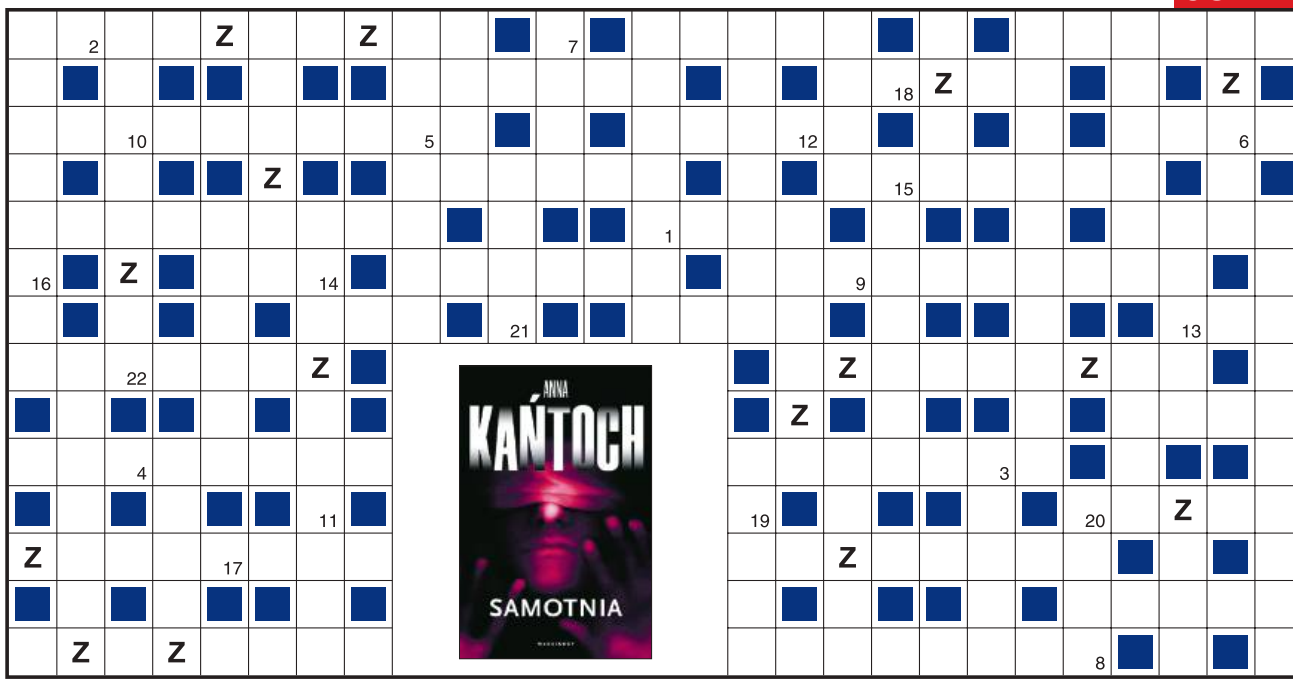


| 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 | 21 | 22 |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | | |

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- całkowite przeciwieństwo eleganta
- Słodowy lub Wajrak
- brat Zetosa, Niobe jego żoną
- kierownicy, kontynentalna lub etatów
- on dobry, źli bojarzy
- na dziecięcej główce
- ma je i człowiek, i pochód
- koc dla konia
- gryzący z papierosa
- biokatalizator, dawniej ferment
- ogół biskupów
- …z wojny trojańskiej treścią „Iliady”
- grecki bóg miłości
- nosi go dyrygent i tancerz na turnieju
- „…za wodą, kaczki za wodą”
- wieńczy Pałac Kultury i Nauki
- imię kompozytora „Pietruszki”
- wyobraźnia, fantazja
- chwat, też w hufcu pracy
- szkocka wspólnota rodowa
- pulpit sterowniczy
- skakała, to i nóżkę złamała
- autor i opiekun wystawy
- uzdrowisko, wczasowisko
- solny lub siarkowy
- pani badająca krew
- zielony dla świeżego kierowcy
- …kucmerka z selerowatych
- wyrabia mąkę
- patrzeć jak w niego – zachwycać się
- okrasa
- słodka i gazowana
- dużo go w powietrzu po burzy
- skończy w popielniczce
- i mielizna, i miałkość
- lekceważąco o dobrodusznym
- przeszkoda dla skaczącego wzwyż
- tygodnik z Profesorem Filutkiem
- Adler, Jung lub Kępiński
- widać na nim samoloty, rakiety
- serial z Wilkowyjami
- a, e, i lub o
- Bombi albo Trąbalski
- lubi dobrą kuchnię
- u krabów często asymetryczne
- wywiadowca, szpicel
- zbiór rysunków tworzących całość
- słowa piosenki
- na nim podwiązka
- cierpienie, zgryzota, katusze
- zniewaga, skaza na honorze
- pierożek w barszczu
- gaszone – palone łączone z wodą
- spis rozpraw na dany dzień
- nieprzyjaciel
- roli, melodii, na korcie
- można być ostrzyżonym na…
- tuja

## KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1118”. Do rozlosowania książki „Samotnia” ufundowane przez Wydawnictwo Marginesy. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 maja 2023 r.

**Rozwiązanie „JOLKI-1115” z nr. 18: *Nikt się mistrzem nie rodzi*.**
**Nagrody otrzymują: Stanisław Komorowski z Kielc, Janina Pyra ze Stalowej Woli, Piotr Tymofiejski z Rynu.**



eprasa.pl 674cf1a68f

# Dyplomata Czarnek

Parę osób zauważyło Jana Dziedziczaka w składzie delegacji premiera, gdy Morawiecki przebywał z wizytą na Litwie. I może dobrze, że mignął w jednym czy drugim kadrze, bo przypomniał, jak Polska PiS traktuje dziś sprawy Polonii i Polaków mieszkających za granicą.

Że robi wiele, by ich głos w wyborach był maksymalnie cichy i bez większego znaczenia – o tym już pisaliśmy. Ale działa tu jeszcze inny mechanizm. Przez wiele lat sprawami Polaków mieszkających za granicą zajmowały się przede wszystkim Senat i Stowarzyszenie Wspólnota Polska. Ten system został rozmontowany. Najpierw z Senatu sprawy Polonii, razem z budżetem, zostały przeniesione do MSZ. Znalazły się w gestii Departamentu Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą. To on przejął finansowanie imprez czy szkół polonijnych, w których w weekendy uczono języka polskiego, i różne granty.

Gdy nastało PiS, wiceministrem, który nad tym departamentem sprawował nadzór, był właśnie Jan Dziedziczak. Ale później odszedł z MSZ. Niedaleko – bo odnalazł się w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów jako sekretarz stanu, pełnomocnik rządu ds. Polonii i Polaków za granicą. Z zadaniem koordynowania działań wobec Polonii. W ten sposób po cichu z MSZ wyprowadzona została kolejna domena. Bo co prawda dotychczasowy departament pozostał, ale bardziej jako szyld.

Jednak wyprowadzenie spraw Polonii do KPRM okazało się tylko wstępem do dalszych działań. Bo w ostatnich miesiącach do gry wkroczył minister Przemysław Czarnek ze swoim Ministerstwem Edukacji. Otóż 15 listopada 2022 r. powołany został do życia Instytut Rozwoju Języka Polskiego im. św. Maksymiliana Marii Kolbego. Wbrew temu, co sugeruje nazwa, nie jest to organizacja kościelna, pozarządowa, ale jak najbardziej rządowy, podległy ministrowi Czarnkowi instytut. To on ma sprawować nadzór nad nauczaniem języka polskiego za granicą, opiekować się polonijnymi szkołami i szkółkami. Dużo tego. Jak mówił w Sejmie prezes Wspólnoty Polskiej Dariusz Bonisławski, ok. 60% działalności stowarzyszenia to były zadania z zakresu oświaty. „Funkcjonujący od kilku lat Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli Stowarzyszenia Wspólnota Polska przygotowywał co roku przez kilkanaście lat z rzędu światowe zjazdy Polonii i Polaków – wyliczał Bonisławski. – Szkolimy nauczycieli i dotowaliśmy w imieniu państwa polskiego szkoły polonijne, bardzo mozolnie przekazując środki, które delegowały Senat czy Ministerstwo Spraw Zagranicznych, czy Kancelaria Prezesa Rady Ministrów".

Teraz te 60% zadań przejął Instytut im. św. Maksymiliana Marii Kolbego. On ma przydzielać granty, szkolić nauczycieli, objąć pomocą budynki i świetlice, w których odbywa się nauka. Instytut będzie miał 30 etatów, ma już siedzibę w Warszawie i własną radę, w której jest Andrzej Przyłębski, ksiądz i pani doktor z KUL.

Tak oto elegancko Polska wyzbyła się polityki wobec Polonii, bo jak zajmuje się nią tyle podmiotów, to nie zajmuje się nią nikt. Zwróćmy również uwagę na nazwę instytutu i na członków jego rady – to jednoznacznie wskazuje, do jakiej grupy Polaków państwo polskie chce się zwracać, a których pomija.

Ale w sumie czy kogoś to zaskakuje?

*Attaché*

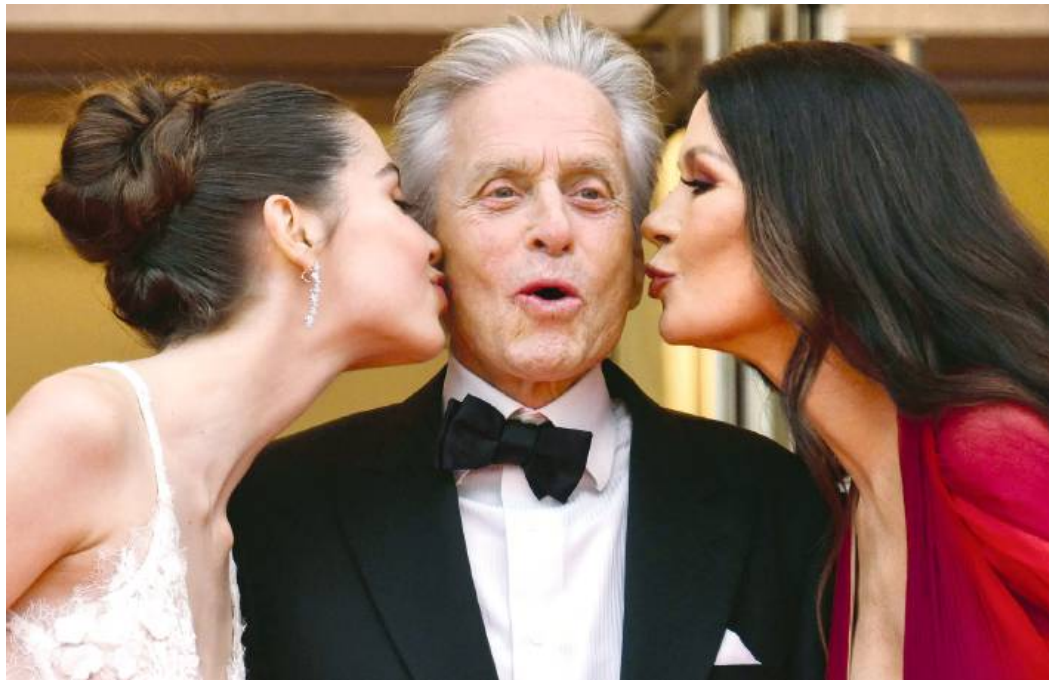

Michael Douglas z żoną Catherine Zeta-Jones i córką Carys podczas ceremonii otwarcia 76. festiwalu w Cannes. Aktor otrzymał Honorową Złotą Palmę.

FOT. AFP/EAST NEWS



eprasa.pl 674cf1a68f

# PENETRACJE

TYGODNIK POWSZECHNY

## PROF. RYSZARD KOZIOŁEK,
REKTOR UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO

Przekleństwa Strajku Kobiet przyszły po długich próbach rzeczowej rozmowy, która została odrzucona lub zlekceważona. Przekleństwo wyraża wtedy gniew w obliczu niesprawiedliwości i komunikuje, że wyczerpał się kulturalny dyskurs; okazał się on nieskuteczny, więc epoka grzeczności na jakiś czas dobiegła końca. Zaniedbaliśmy edukację w jej funkcji przygotowywania dzieci i młodych ludzi do rozmowy publicznej z tymi, którzy nie podzielają naszych przekonań. To szkoła powinna być wprowadzeniem do demokracji, a w niej szczególnie czytanie książek i rozmowa o nich, co z kolei prowadzi do refleksji o tym, co muszę i co mogę zrobić, aby pokojowo żyć z innymi.

FORUM MYŚLI WOLNEJ

## PIOTR AUGUSTYNEK,
SEKRETARZ REDAKCJI

Wszyscy znamy kolejne pomysły menedżerów oświaty (na różnych szczeblach). Z początku przejmowały grozą. Potem stały się memami. Gdy ucichły fale śmiechu nad miałkością tych pomysłów, miałem wrażenie, że nasze społeczeństwo po prostu się przyzwyczaiło do tego, że najbardziej delikatną dziedziną zarządzają ludzie, którzy nigdy w normalnym państwie nie powinni tego robić. Przyzwyczajenie – oto najsolidniejszy sprzymierzeniec niekompetentnej władzy. Społeczeństwo (pardon – naród) najpierw pyskuje, może nawet będzie protestować, potem się zmęczy, znudzi, w końcu się przyzwyczai. Co zatem czynić? A MOŻE TAK TAJNE KOMPLETY? Zanim będzie za późno.

POLITYKA

## MARCIN PIĄTEK,
PUBLICYSTA

Urzędowanie w PKOl Piesiewicz zaczął od zwolnień. Na razie pracowników średniego szczebla, ale nowa miotła sięgnie głębiej – najpewniej po Igrzyskach Europejskich, zaplanowanych na czerwiec w Krakowie (do ich sprawnego przeprowadzenia przydadzą się merytoryczni pracownicy PKOl). Z budżetu państwa zarezerwowano na organizację tej trzeciorzędnej imprezy miliard złotych. Przygotowania koordynuje minister aktywów państwowych Jacek Sasin, który jako bliski znajomy Piesiewicza gwarantował pompowanie publicznych pieniędzy do koszykówki i teraz będzie nieodzowny w realizowaniu obietnicy nowego prezesa wtłoczenia do PKOl 300 mln zł.

VIVA!

## ADAM WAJRAK,
DZIENNIKARZ, PRZYRODNIK

Moim wielkim pragnieniem było zobaczyć rysia. Obiecałem sobie, że jak to się wydarzy, rzucę palenie. Wracamy kiedyś z moją żoną Nurią do domu. Na siedzeniu w samochodzie leży właśnie kupiony karton papierosów. I nagle… wychodzi wielki, wspaniały ryś. Zgasiłem ostatniego papierosa i od tamtej pory nie palę. Poza tym, żeby spotkać jakieś zwierzę w lesie, trzeba dużo się nachodzić. To też plus dla organizmu. A jeśli chodzi o zdrowie psychiczne, wydaje mi się, że człowiek, który obcuje z przyrodą, jest lepiej zbilansowany. Gdyby mi ktoś to zabrał, odciął od domu na Podlasiu, byłbym po prostu strasznym, zgorzkniałym frustratem. Obcowanie z przyrodą daje mi prawdziwą radość. Pobudza produkcję hormonu szczęścia.



FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, POLSKA ORKA POLITYCZNA (2), FACEBOOK

eprasa.pl 674cf1a68f

## UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.

| | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | | D | | | | |

* włókno z kokosów

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | | G | | | | |

* egipski ssak plujący na węże

| | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | R | | | | | | | |

* zagrała jagnię w „Chłopach”

ROZWIĄZANIA: JEDWAB, MANGUSTA, KRAKOWSKA

# Aby język giętki…

**ARKADIUSZ JAKUBIK**
**O ODDAWANIU PIENIĘDZY**

Jeśli ktoś zdobył wykształcenie w Polsce, to powinien je tutaj odpracować. Albo niech odda pieniądze za edukację.

**EWA SAPIEŻYŃSKA**
**O POSTRZEGANIU POLAKÓW**

Kiedy Norweg mówi „Polak”, zasadniczo ma na myśli kogoś, kto jest głupi, tani, źle opłacany. Przymiotnik „polski” oznacza, że coś jest przestarzałe, byle jakie.

**ILONA ŁEPKOWSKA O FEMINISTKACH**

Feministki i osoby walczące o prawa kobiet mają zazwyczaj zerowe poczucie humoru.

**DANIEL OLBRYCHSKI O STAROŚCI**

Już ją czuję i walczę z nią codziennie, opóźniam. Chociaż psychicznie i fizycznie czuję się, jakbym miał 40 lat.

**ANDRZEJ CHYRA O SWOJEJ PRACY**

To robota dla kreatywnego, skutecznego – niech będzie – dojrzałego człowieka, z pełną pasji duszą dziecka.

**EWA SZYKULSKA O GŁOSIE**

W związku z chrypą kazali mi iść do foniatry i przynieść zaświadczenie – co z moim głosem.

**DOROTA POMYKAŁA O POKORZE**

Nigdy się nie zniechęciłam i nie zniechęcam. Pokora jest moją towarzyszką od zawsze.

**IGA ŚWIĄTEK O SAMOTNOŚCI**

To mimo wszystko samotna droga, a tenis to samotny sport pod wieloma względami.


**ADRES REDAKCJI**
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
**Telefony** +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
**fax** +48 22 635 84 10 wew. 119
**przeglad@tygodnikprzeglad.pl**

**tygodnikprzeglad.pl**

**Redaktor naczelny:** Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
**Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:** Paweł Dybicz
**Zastępcy redaktora naczelnego:** Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
**Sekretarz redakcji:** Agata Gogołkiewicz
**Zastępca sekretarza redakcji:** Aleksandra Pańko

**ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:** Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

**Stali felietoniści:** Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
**Rysownicy:** Grzegorz Bąkowski, Kain May
**Studio graficzne:** Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
**Dyrektor artystyczny:** Izabela Mierzejewska
**Fotoedytorzy:** Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
**Fotoreporter:** Krzysztof Żuczkowski

**Dział wydawnictw i reklamy:**
**Dyrektor**: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
**Wicedyrektor**: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
**Dział kolportażu:** tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
**e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl**
**Wydawnictwa książkowe:** tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
**e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl**

**Sprzedaż elektroniczna:** sklep.tygodnikprzeglad.pl



Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
**Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione.** Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
**Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.**



**Druk:** Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

**WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta**
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
**NIP:** 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
**KOD SWIFT:** WBKPPLPP, **IBAN:** PL
**Nr konta:** 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA





eprasa.pl 674cf1a68f

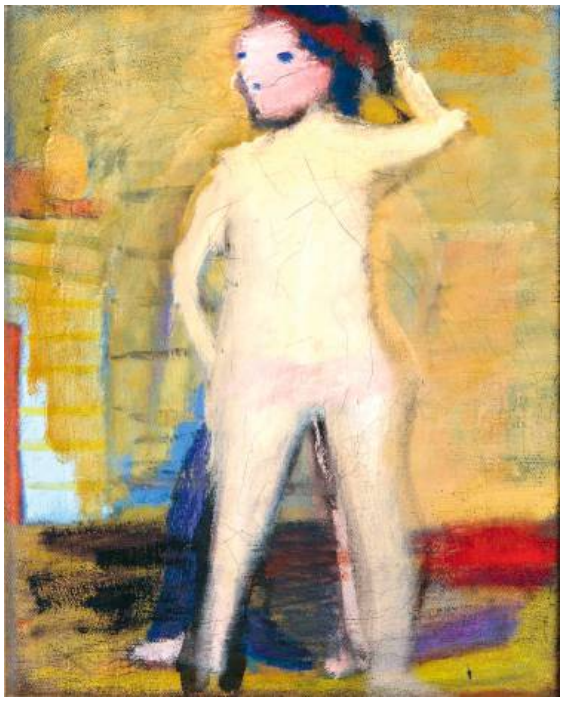

Akt kobiety stojącej z uniesioną ręką

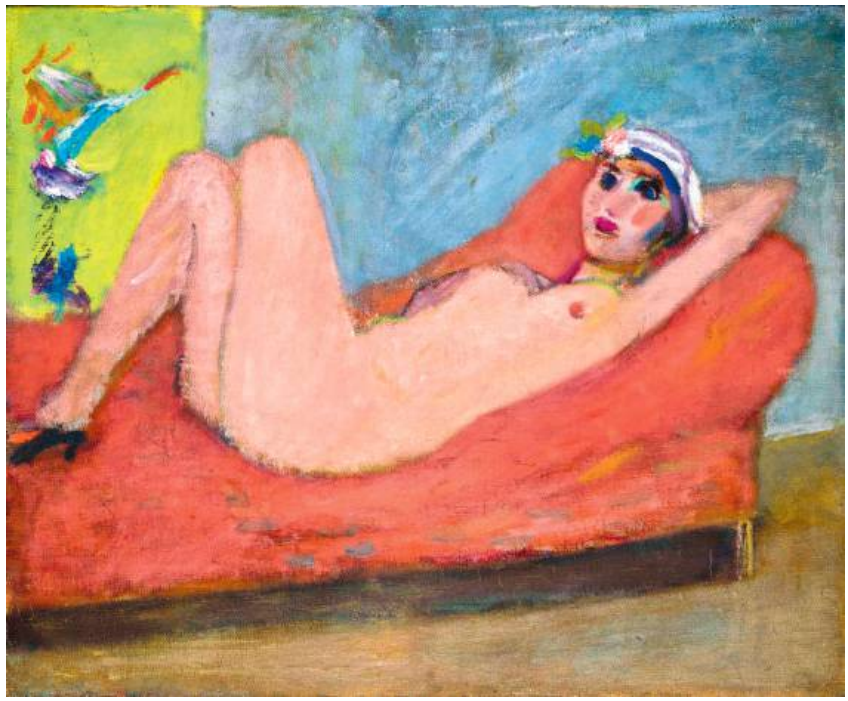

Akt kobiety na czerwonej sofie

# Artur Nacht-Samborski – akty

**Galeria aTAK**
**Warszawa, ul. Mazowiecka 11**
**od 26 maja do 29 lipca**

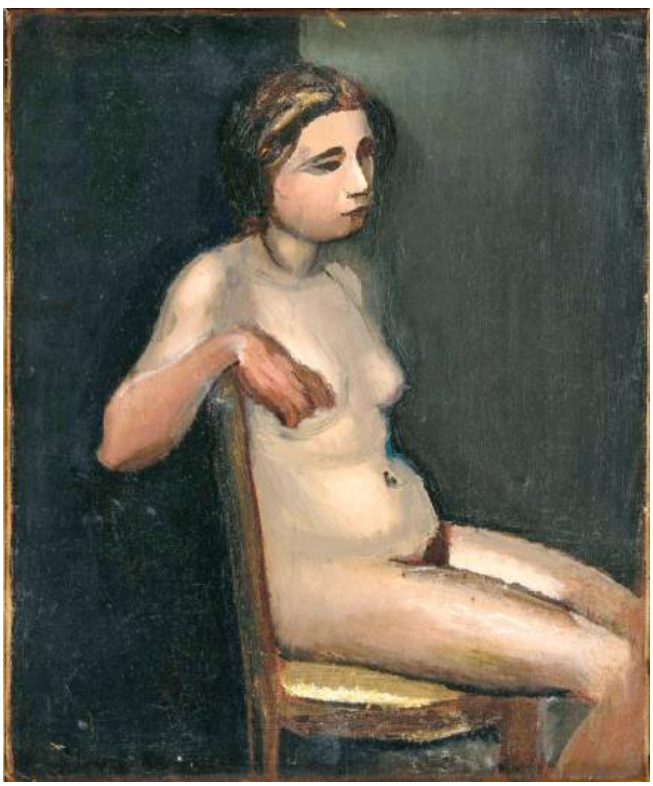

Akt kobiety siedzącej na krześle

Studium aktu

W 125. rocznicę urodzin artysty zaliczanego obecnie do klasyków współczesnego polskiego malarstwa Galeria aTAK prezentuje jego prace, zarówno znane z muzeów, jak i obrazy oraz rysunki dotąd niewystawiane. Są wśród nich i te bardzo rzadkie, z okresu przed II wojną światową. Nacht-Samborski był uczniem Wojciecha Weissa, niedoścignionego mistrza aktu, nie dziwi więc, że i na początku artystycznej drogi, i później poświęcał temu tematowi wiele uwagi. Już w latach studenckich pisał o swoim malowaniu, że stara się „znaleźć najkrótszą i najprostszą drogę od siebie do obrazu". Ta deklaracja tłumaczy uproszczenia, syntezę; w procesie twórczym akt się uogólniał, podporządkowywał dyktatowi farb, spontanicznym ruchom pędzla, artystycznej intuicji.

FOT. JACEK KUCHARCZYK/MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 674cf1a68f

Warszawska OPERA Kameralna

# 32. Festiwal Mozartowski

14 maja – 2 lipca 2023

25 lat Mazowsze

eprasa.pl 674cf1a68f

JAPOŃSKI KANDYDAT DO OSCARA

**MFF W SALONIKACH**
NAGRODA BRĄZOWY ALEXANDER,
NAGRODA FIPRESCI,
NAGRODA HUMAN VALUES

**MFF QCINEMA**
NAGRODA AKTORSKA,
NAGRODA ZA OSIĄGNIĘCIA
ARTYSTYCZNE

**MFF W TORONTO**

**MFF W BUSAN**

**MFF W CHICAGO**

FESTIVAL DE CANNES
**ZŁOTA KAMERA**
*(WYRÓŻNIENIE)*

DYSTOPIJNA
I NIEPOKOJĄCO REALNA
WIZJA NAJBLIŻSZEJ
PRZYSZŁOŚCI

# PLAN 75

REŻYSERIA I SCENARIUSZ
CHIE HAYAKAWA

W KINACH OD 26 MAJA

Kreatywna Europa MEDIA

CNC

AURORA

eprasa.pl 674cf1a68f